PRZEKLĘTY REJS NA WSCHÓD
Dlaczego rosyjska flota uległa zagładzie w starciu z Japonią

PÓŁKSIĘŻYC W APOGEUM
Jak muzułmanie uratowali spuściznę starożytności

POTĘGA „GWIAŹDZISTEGO SZTANDARU"
Pieśń, która stała się symbolem USA, powstała podczas zapomnianej wojny

NR 10(140)/2024 PAŹDZIERNIK 2024

CENA 12,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY



Stalinizm po polsku

KRWAWY BIERUT

DO RZECZY HISTORIA
Nr indeksu 296 031
ISSN 2299-9515

eprasa.pl 200053611

REPUBLIKA

Wrześniowe produkty Republiki!



KOSZULKA "HITY W SIECI"



KOSZULKA REPUBLIKA GRANATOWA



KUBEK REPUBLIKI GRANATOWY mat - 400ml

ZAMÓW NA:
sklep.tvrepublika.pl
lub telefonicznie
22 280 99 39 wew. 4

RepublikaTV | @RepublikaTV | Telewizja Republika | @RepublikaTV

W lipcu REPUBLIKA rozpoczęła nadawanie na ósmym multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej MUX-8 na kanale 51, dzięki czemu dociera już do 80% Polaków. Nadal można nas oglądać przez satelitę, w sieciach kablowych oraz w lokalnych multipleksach w Katowicach, Warszawie, Trójmieście, Wrocławiu, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, Legnicy, Głogowie, na Śląsku oraz w części woj. opolskiego i małopolskiego. REPUBLIKĘ obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 20df05361f

ADRES:
HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.HISTORIA.DORZECZY.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA „DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Piotr Włoczyk**
Redaktorzy: **Tomasz Stańczyk, Anna Szczepańska**

STUDIO GRAFICZNE:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**

KOREKTA: Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska

OKŁADKA: Krzysztof Wyrzykowski

PORTAL DORZECZY.PL
redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA:
Orle Pióro SA
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

ZARZĄD PMPG POLSKIE MEDIA SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

ZARZĄD ORLE PIÓRO SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA
Adam Borzęcki
a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631
Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl
https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna)
tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl
www.kolporter.com.pl
Garmond, tel.: +48 (12) 422 14 85
e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl
www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o., tel.: +48 (22) 649 41 61
www.glm.pl
Poczta Polska
https://prenumerata.poczta-polska.pl/

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, 1953 r.

Pałac Kultury i Nauki im. Józefa Stalina, „dar narodu radzieckiego dla narodu polskiego", w trakcie budowy



FOT. NAC, ARCHIWUM WOJCIECHA TUSZKO

Od redaktora



Piotr Włoczyk

Bierut w garści Stalina

Różnie można przedstawiać Bolesława Bieruta. My zdecydowaliśmy się pokazać go jako pionka w rękach Stalina. Bierut nie był bowiem żadną znaczną figurą wśród polskich komunistów. Był działaczem z drugiego, a może i z trzeciego szeregu. Jednak w wyniku niezwykłego zbiegu okoliczności to właśnie on stał się w rękach Stalina pionkiem, który miał zmieść z szachownicy pozostałe jeszcze figury II RP i wygrać dla swojego mocodawcy z Kremla tę kluczową partię o przyszłość Polski.

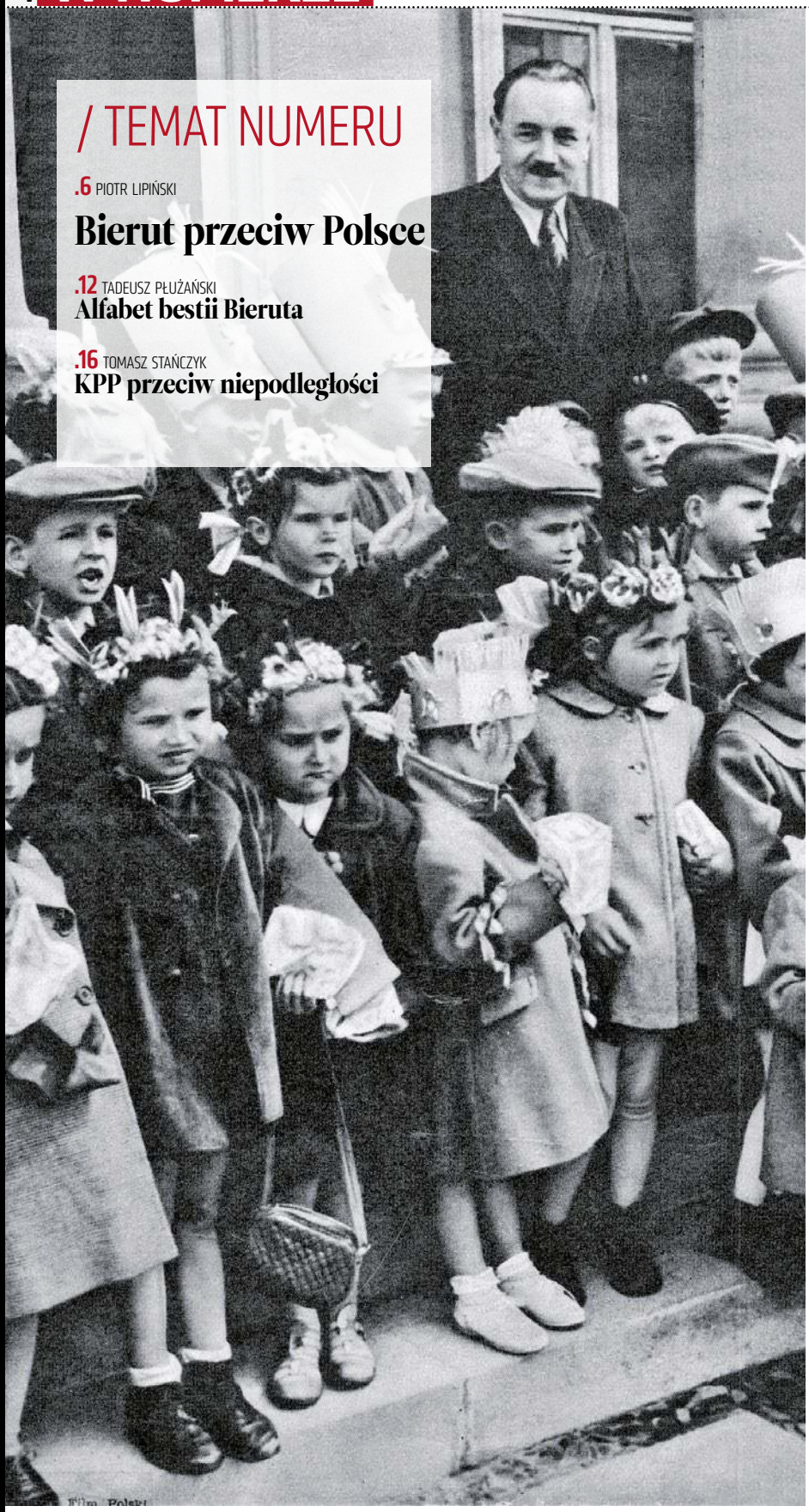
Przyglądając się życiorysowi Bieruta, nietrudno dostrzec, że człowiek ten właściwie kompletnie nie nadawał się do roli przywódcy. Wycofany, bez jakiejkolwiek charyzmy, o zupełnie bezbarwnej osobowości. Bierut miał jednak cechę, która w oczach Stalina czyniła z niego świetnego kandydata na kremlowskiego namiestnika w czerwonej Polsce: był ślepo posłuszny przywódcy swojej „ideowej ojczyzny" – ZSRS. I nie wahał się przelewać krwi rodaków.

Na biurko Bieruta trafiło blisko 3 tys. wniosków o ułaskawienie. Człowiek Stalina w Warszawie wyjątkowo rzadko korzystał jednak z tego prawa.

– Bierut zazwyczaj odrzucał prośby o ułaskawienie, ponieważ uważał, że w imię budowy nowej Polski trzeba pozbyć się ludzi, którzy hamowaliby ten proces. Przyglądając się bliżej okolicznościom tych tragicznych spraw, zrozumiemy, że Bierut był przerażająco zapiekłym komunistą – powiedział w wywiadzie z „Historią Do Rzeczy" Piotr Lipiński, autor książki „Bierut. Kiedy partia była bogiem".

Przyjrzyjmy się więc, jak ten pionek w rękach Stalina trafił na kremlowską szachownicę i jak wykonywał misję zleconą mu przez sowieckiego dyktatora: zniszczenie tradycyjnej Polski i utopienie we krwi wszelkich przejawów oporu. ©℗

eprasa.pl 20df05361f



/ TEMAT NUMERU

.6 PIOTR LIPIŃSKI
Bierut przeciw Polsce

.12 TADEUSZ PŁUŻAŃSKI
Alfabet bestii Bieruta

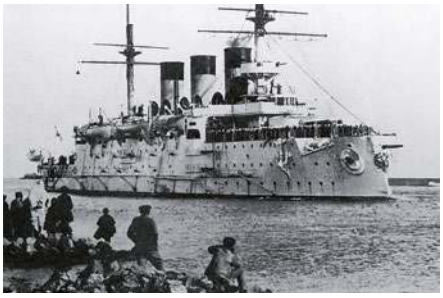
.16 TOMASZ STAŃCZYK
KPP przeciw niepodległości

/ CZASY I LUDZIE

.20 LESZEK LUBICKI
Czeski potop

.26 JAKUB OSTROMĘCKI
Hitler w okopach

.30 MIKOŁAJ IWANOW
Pogrom pod Cuszimą



.34 SŁAWOMIR KOPER
„Kleopatra" z Palmyry



.38 ARKADIUSZ KARBOWIAK
Finowie w Waffen-SS

.42 RAFAŁ ŁATKA
Proboszcz w „mieście bez Boga"

.46 ŁUKASZ CZARNECKI
Półksiężyc w apogeum



.50 MAREK GAŁĘZOWSKI
Odraza do nieludzkiego ustroju

eprasa.pl 20df05361f



.54 ANNA SZCZEPAŃSKA
Z okładek „Vogue" do Dachau

.58 PIOTR WŁOCZYK
Akcja na 100 milionów

.61 PIOTR SEMKA
Najcenniejszy łup Hitlera

/ CO CZYTAĆ

.64 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Wańkowicz: Czytelnicy go kochali

.68 RECENZJE

/ FELIETONY

.70 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Nie było, ale było

.71 PIOTR SEMKA
Diabeł o anielskich oczach

/ BATALIE I WODZOWIE



.72 GRZEGORZ JANISZEWSKI
Siła „Gwiaździstego Sztandaru"

/ TECHNIKA

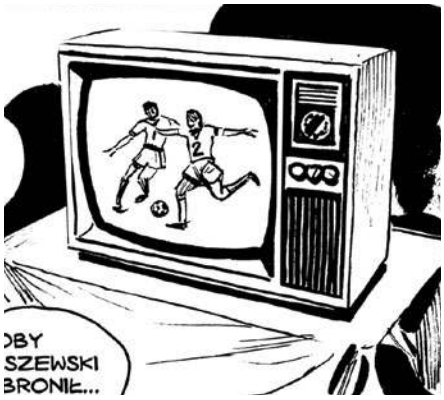
.78 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Wielka kariera katany

/ POD PRĄD

.80 PIOTR ZYCHOWICZ
Masakra w Hebronie

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
Gra Deyny



REKLAMA



PODRÓŻ ROMANTYCZNA
Marcin Król



PARYŻ. PRZEWODNIK LITERACKO-HISTORYCZNY
Krzysztof Lubczyński



FLIRT Z PARALIPOMENĄ. MITOLOGIE
Jan Gondowicz



ORKIESTRA ULICZNA Z CHMIELNEJ
Maciej Klociński



TRZECI ADAM. OPOWIEŚĆ O MARIAWITACH
Jerzy Pietrkiewicz



ŻYCIE POLSKIE W XIX WIEKU
Stanisław Wasylewski

ISKRY

ZAJRZYJ NA:
www.iskry.com.pl
Wydawnictwolskry
wydawnictwoiskry

CZYTAJCIE KSIĄŻKI ISKIER

eprasa.pl 20df05361f



Józef Stalin i Bolesław Bierut na propagandowym plakacie

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Wywiad / Z Piotrem Lipińskim, reportażystą, autorem książki „Bierut. Kiedy partia była bogiem”

rozmawia Piotr Włoczyk

Bierut przeciw Polsce

eprasa.pl 20df05361f

PIOTR WŁOCZYK: Czy 5 sierpnia 1944 r. był najbardziej niesamowitym dniem w życiu Bieruta?

PIOTR LIPIŃSKI: Możemy podejrzewać, że tak. Bierut mógł wtedy dostać zawrotu głowy od tempa, w jakim przyspieszyła jego kariera. Dopiero co ukrywał się w Warszawie, był jednym z szefów PPR, partii, która miała marginalne znaczenie w Polsce, a teraz na moskiewskim lotnisku był witany przez kompanię reprezentacyjną jak głowa państwa. Stalin tak przyjmował przewodniczącego Krajowej Rady Narodowej (KRN).

Ile było w tym przypadku?

Bardzo dużo. To był przełomowy moment w życiu Bieruta. Co ciekawe, sam zainteresowany wzbraniał się, by zostać przewodniczącym KRN. Można wręcz powiedzieć, że został nim wbrew swojej woli. To Gomułka wypychał go na to stanowisko, tymczasem Bierut bał się, że jego konkurent chce go w ten sposób zmarginalizować. I raczej miał dobrego „nosa", bo Gomułka, który szczerze go nie znosił – zresztą ze wzajemnością – faktycznie próbował skierować swojego konkurenta na boczny tor.

Początkowo bowiem KRN nie miała pełnić tak istotnej roli, którą instytucja ta później odgrywała. Gomułka musiał w końcu zagrozić Bierutowi, że partia wyda mu polecenie, iż ma zostać szefem KRN. Tymczasem wbrew planom Gomułki KRN zyskała szybko na znaczeniu. Moskwa wykorzystała tę instytucję, by odwrócić uwagę Polaków, a także reszty świata od faktycznego procesu przejmowania władzy przez komunistów. Do KRN wciągnięto przedstawicieli innych partii, więc niezorientowany człowiek mógł sobie pomyśleć, że jest to instytucja odzwierciedlająca sympatie polityczne społeczeństwa.

Rola KRN urosła i w konsekwencji jej przewodniczący został głową państwa. To rzeczywiście zabawne, że początek tej wielkiej kariery był tak naprawdę wbrew woli głównego aktora.

Czego Bierut mógł się spodziewać, lecąc wtedy do Moskwy?

Na początku sierpnia 1944 r. z pewnością nie mógł liczyć na wielkie honory, bo musiał zdawać sobie sprawę z tego, jak mizerne poparcie miała PPR i ile znaczyła w ówczesnej Polsce. Już samo to, że miał wylądować w stolicy ZSRS, musiało na nim robić wrażenie. Mógł się spodziewać, że Stalin wesprze jakoś PPR. Ale że będzie ją kreował na największą siłę polityczną w Polsce i otaczał splendorem, którego nie udzielił nawet premierowi Mikołajczykowi podczas jego wizyty w Moskwie? Bierut musiał rozumieć, w której lidze grał. Stalin jednak postawił sprawy na głowie i Bierut musiał być w szoku, że nagle trafił na salony władzy. Niestety, prezydent KRN nie zostawił żadnych wspomnień dotyczących tego okresu.



Policyjne zdjęcie Bolesława Bieruta po aresztowaniu w 1933 r. FOT. ARCHIWUM AKT NOWYCH

Czy Bierut w ogóle czuł się Polakiem?

To pytanie dotyczy tak naprawdę całej generacji polskich komunistów: Na ile oni czuli się patriotami, a na ile ich to w ogóle nie obchodziło? Cała historia przedwojennej KPP to historia ludzi, którzy odcinali się od polskości. W ZSRS widzieli w siłę ponadnarodową, progres…

… a II RP była jednym wielkim hamulcem.

Dokładnie tak to widzieli. Polska, w której – z ich perspektywy – robotnik wciąż był gnębiony, tym razem przez rodzimych kapitalistów, była dla nich wrogim krajem.

Bierut miał przed wojną dwa okresy: mistyczny i komunistyczny. Obydwa były związane z Janem Hemplem, wielkim guru Bieruta. Był to lubelski dziennikarz, podróżnik, niesłychanie silna osobowość. Hempel najpierw wprowadził Bieruta w świat mistycyzmu hinduskiego, a potem, kiedy zafascynował się komunizmem, jego uczeń podążył za nim.

Hempel wygląda na człowieka, który wypełniał Bieruta jak pusty dzban. Można sobie wyobrazić, że guru pozostaje przy swoich wschodnich fascynacjach i Bierut zamiast komunistą zostaje gorliwym propagatorem Hemplowego mistycyzmu.

(Śmiech). To byłoby bardzo prawdopodobne, znając wierność Bieruta. Co ciekawe, Hempel zginął podczas czystek stalinowskich. I te same czystki przyczyniły się później do niesłychanego przyspieszenia kariery Bieruta. Ale też nie da się powiedzieć, że on się z tego cieszył. Bierut do końca życia łudził się, że aktywni przed wojną polscy komuniści siedzą gdzieś w łagrach i zostaną w końcu zwolnieni. On nawet ich szukał, starał się ich sprowadzić do kraju.

Bierut w 1921 r. wstąpił do Komunistycznej Partii Robotniczej Polski, a potem jeździł do Moskwy pobierać nauki w prowadzonej przez Komintern Międzynarodowej Szkole Leninowskiej. Od lat 20. był już etatowym pracownikiem sprawy sowieckiej?

Gdy trafił do Moskwy na szkolenie, to stał się tym samym funkcjonariuszem międzynarodowego ruchu komunistycznego. Potem wysyłano go za granicę w charakterze nadzorcy z ramienia Kominternu. W ten sposób kontrolował m.in. pierwszego sekretarza partii komunistycznej w Bułgarii.

eprasa.pl 20df05361f



Bolesław Bierut i Józef Cyrankiewicz podczas otwarcia Trasy W-Z, 1949 r.
FOT. CAF/PAP

Często słyszymy, że Bierut był agentem Moskwy. Nie ma na to wprawdzie namacalnych dowodów, ale w stosunku do Bieruta „agent Moskwy" jak najbardziej pasuje, bo był jej człowiekiem. Oczywiście nie w znaczeniu, że był agentem NKWD, ale właśnie systemu. Był całkowicie oddany komunizmowi.

Po powrocie do Polski niedługo nacieszył się wolnością. W 1933 r. został aresztowany, a następnie skazany na siedem lat więzienia za współpracę z sowieckim wywiadem wojskowym. Tym samym II RP najprawdopodobniej uratowała mu życie...

Bierut nie mógł być wezwany do Moskwy i rozstrzelany, bo siedział w sanacyjnym więzieniu.

Podobnie jak Gomułka i niemała część przyszłego kierownictwa PRL. Chociaż trzeba też powiedzieć, że niektórzy z polskich komunistów, którzy przebywali w ZSRS w drugiej połowie lat 30., przeżyli czystki, ale to były jednak wyjątkowe przypadki.

Gdy Bierut siedział w więzieniu, KPP wykluczyła go ze swoich szeregów, argumentując, że w trakcie procesu nie zachował się właściwie. To musiał być dla niego szok...

Usunięcie z partii było dla Bieruta czymś niesłychanie bolesnym i dlatego z taką determinacją odwoływał się do Moskwy, przekonując, że to wszystko pomyłka.

Początkowo, po upadku II RP w 1939 r., Bierut nie robił w ZSRS specjalnie porywającej kariery.

Wszyscy polscy komuniści, którzy znaleźli się na początku wojny w Związku Sowieckim, w gruncie rzeczy nie robili wielkich karier politycznych. Bierut uczestniczył w akcji referendalnej mającej oderwać Kresy od Polski.

Wtedy mogło się chyba wydawać, że to Wanda Wasilewska będzie grała pierwsze skrzypce w tym środowisku?

Tak, i to w znacznej mierze za sprawą Wasilewskiej polscy komuniści zostali przywróceni do łask. To ona była wtedy supergwiazdą wśród polskich komunistów. Wasilewska przed wojną była socjalistką, być może kryptokomunistką, ale nigdy nie należała do KPP. Dlaczego to ją namaścił Stalin? Najprawdopodobniej dlatego, że nie miał zaufania do przedwojennych polskich komunistów. Chwilę wcześniej rozpędził KPP, bo uważał, że ta partia jest przeżarta agentami, i dlatego postawił wyjątkowo na socjalistkę Wasilewską. Swoje zrobiło też to, że była pisarką – Stalin czytał jej książki wydawane w ZSRS – a na dodatek jej ojcem był Leon Wasilewski, jeden z głównych architektów polityki wschodniej II RP, z którym sowiecki dyktator konkurował w dwudziestoleciu międzywojennym. Satysfakcja z wciągnięcia do współpracy córki swojego wroga również mogła tu odgrywać pewną rolę.

Alfred Lampe zgłosił się do Wasilewskiej z propozycją, by napisać list do Stalina i zwrócić jego uwagę, że w ZSRS marnuje się wielu polskich komunistów, więc dobrze byłoby umożliwić im wstępowanie do Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików) – WKP(b). Problemem była jednak kwestia stażu partyjnego.

Gdy w latach 90. i 2000. przeprowadzałem wywiady z czołowymi polskimi komunistami, oni wszyscy zwracali na to uwagę. Przy okazji dołączania do sowieckiej partii niezwykle ważne dla nich było, żeby liczył się ich przedwojenny staż w KPP. Bez tego czuliby się jak nowicjusze, a do tego byliby pozbawieni niemałego fragmentu swojego życiorysu. Nawiasem mówiąc, spośród Polaków

eprasa.pl 20df05361f

pierwsza do WKP(b) przyjęta została wtedy Wasilewska, i to bez koniecznego stażu kandydackiego – to był rozkaz Stalina.

W trakcie wojny niemiecko-sowieckiej w życiorysie Bieruta pojawił się niezwykle humorystyczny, z perspektywy jego późniejszej pozycji w PRL, element. Dlaczego w tamtym okresie za biurkiem Bieruta wisiał portret Adolfa Hitlera?

Po niemieckiej napaści na ZSRS Bierut pozostał na terenach okupowanych przez Niemców. Sporą rolę odegrał wówczas przypadek, ponieważ w trakcie wojennej zawieruchy rozdzielił się on z Małgorzatą Fornalską, swoją drugą nieformalną żoną. Ona z córką odjechały w głąb ZSRS, a Bierut pozostał w Mińsku.

Nie wiadomo zbyt wiele na temat tego rozdziału życia Bieruta. Faktem jest, że pracował w urzędzie miasta, gdzie nadzorował sprawy aprowizacyjne. Kurier AK Jan Kosowicz pozostawił relację, według której za biurkiem Bieruta wisiał portret Hitlera. Jednak jego praca w niemieckiej administracji nie była czymś niezwykłym – wielu Polaków w trakcie okupacji pracowało w ten sposób i samo to nie sprawiało to, że po wojnie byli okryci infamią. Pytanie, jak w tej pracy się zachowywali.

Gomułka pisał po wojnie, że Sowieci stworzyli koncepcję podwójnego agenta, która miała uciszyć dyskusję wokół mińskiego okresu Bieruta – pracując dla Niemców, miał on tak naprawdę wykonywać polecenia Moskwy. Gomułka ewidentnie sugerował, że jego polityczny wróg ochoczo poszedł na współpracę z Niemcami.

Musimy jednak pamiętać, że Gomułka mógł mieć interes w tym, by w swoich wspomnieniach przedstawić konkurenta jak najgorzej. Tak jak powiedziałem – bardzo niewiele wiadomo o tym etapie życia Bieruta.

Bezspornym faktem jest natomiast, że to Małgorzata Fornalska, nieformalna żona Bieruta, z którą miał córkę Aleksandrę (urodzoną w 1932 r. w Moskwie), wyciągnęła go z Mińska. Gdy tylko Fornalska dowiedziała się, że Bierut mieszka w Mińsku, przekazała tę informację swoim sowieckim zwierzchnikom. PPR dramatycznie brakowało w Warszawie działaczy, więc wysłano kuriera Jana Krasickiego, żeby sprowadził Bieruta z Mińska. Fornalska cieszyła się zaufaniem Moskwy, poręczyła za „męża" i w ten sposób wyciągnęła go z Mińska. To ciekawe, że to właśnie jego kobieta utorowała dla niego drogę do najwyższych urzędów – to Fornalska otworzyła zupełnie nowe perspektywy przed tym urzędnikiem reżimu hitlerowskiego (śmiech). Sama Fornalska miała wtedy mocną pozycję w Moskwie, należała do tzw. Drugiej Grupy Inicjatywnej przerzuconej do Polski. To była wyselekcjonowana grupa działaczy, którym Stalin powierzył tworzenie struktur PPR i przygotowanie gruntu pod przejęcie kraju.



Zdjęcie z obchodów 59. urodzin Bolesława Bieruta, 1951 r.

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Patrząc na życiorys Bieruta, nie mogę oprzeć się wrażeniu, że miał on w sobie coś z komunistycznego Dyzmy.

Coś tu jest na rzeczy. Mnie osobiście bardziej kojarzy się on z Forrestem Gumpem, choć dużo mniej sympatycznym. A wszystko zaczęło się wraz ze zniszczeniem przez Stalina KPP. Gdy Kreml w połowie wojny znów postawił na polskich komunistów, musiał wyciągać ludzi z drugiego, trzeciego szeregu. I tam stali m.in. Bolesław Bierut czy Władysław Gomułka. Zresztą właściwie całe kierownictwo nowej, komunistycznej Polski nie było przed wojną szczególnie znane. To, że Stalin wymordował przed wojną czołówkę polskich komunistów, utorowało kariery wszystkim tym, którzy objęli władzę w powojennej Polsce.

Karierę Bieruta można byłoby opisywać też przez pryzmat konfliktu z Gomułką...

Obaj działacze szczerze się nie znosili. Gdy Bierut w 1943 r. został sprowadzony przez Fornalską do Warszawy, powierzono mu rolę nadzorcy prasy komunistycznej. Od razu zaczął się konfliktować z Wacławem Bieńkowskim, redaktorem PPR-owskich pism. Bieńkowski któregoś razu zarzucił Bierutowi, że ten chce opublikować grafomański tekst własnego autorstwa. Gomułka wziął stronę Bieńkowskiego i Bierut przestał nadzorować prasę. Przyszły prezydent KRN poczuł się poniżony. Przy czym wierzę, że to, co napisał, mogło być grafomanią. Znalazłem w Archiwum Akt Nowych siedem stron jego wspomnień i – prawdę mówiąc – nie jest to zbyt przyjemna lektura.

Bierut napisał w czerwcu 1944 r. donos na Gomułkę, w którym zarzucał mu odchodzenie od linii partii. Wysłał go potajemnie do Moskwy przez Rolę-Żymierskiego. To jest coś ohydnego nawet jak na warunki tamtego środowiska i pokazało jego małość.

W każdym razie od sierpnia 1944 r. to Bierut przyjął

eprasa.pl 20df05361f

na siebie rolę człowieka od kontaktów ze Stalinem i rozmawiał z nim zdecydowanie częściej niż Gomułka.

Stalin chyba wolał Bieruta – dużo mniej problematyczne narzędzie.

Raczej tak. Patrząc z punktu widzenia totalitarnego władcy, Bierut był „wygodniejszy", bo zawsze zgadzał się ze swoim wodzem. Z kolei Gomułka potrafił się postawić, wspomnijmy choćby o awanturze związanej z aresztowaniem w marcu 1945 r. przywódców polskiego podziemia, którzy zostali potem wywiezieni do Moskwy. Nie chodziło oczywiście o to, że ci ludzie zostali aresztowani. Gomułka nie miał nic przeciwko temu – dla niego byli to wrogowie. Chodziło o to, kto to zrobił. Ponieważ aresztowali ich Sowieci, Gomułka obawiał się, że takie działania będą potwierdzały panujące w społeczeństwie przeświadczenie, iż polscy komuniści są w pełni zależni od Moskwy. Bierut był na tyle zsowietyzowany, że nie widział w tym żadnego problemu. Gomułka natomiast potrafił dać odczuć, że w polskich sprawach czuje się mądrzejszy od Stalina.

Widać, że oskarżenia formułowane wobec Gomułki o prezentowanie „odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego" były jak najbardziej trafne.

Oczywiście. Pamiętam, jak w rozmowie ze mną prof. Andrzej Werblan śmiał się, że w latach 70., podczas pewnego spotkania z Gomułką, powiedział mu wprost: „Mieli rację, że was o to oskarżyli".

Czy Stalin nazwał Bieruta suki.synem?

W protokole Biura Politycznego PPR jest ślad, że delegacja polskich komunistów we wrześniu 1944 r. została bardzo ostro skrytykowana przez Stalina. Widać, że było to trudne przeżycie dla tych ludzi. To, że Stalin powiedział do Bieruta per „suki.synu", znamy tylko z plotek, ale trudno, żebyśmy przeczytali o tym w dokumentach Biura Politycznego. Uważam jednak to za wysoce prawdopodobne. Być może był to element pokazywania mafijnego oblicza przez Stalina, żeby Polacy wiedzieli, że wszystko może się zdarzyć.

Nie podobało mu się tempo sowietyzowania Polski?

Stalin chciał przyspieszenia. Niedługo po tamtej wizycie doszło do tzw. zwrotu



Bolesław Bierut odznacza marszałka Konstantego Rokossowskiego

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

październikowego i kurs został zaostrzony.

Na ile Bierut był w kierowaniu państwem autonomiczny wobec swoich towarzyszy partyjnych?

Historycy generalnie uważają, że choć Bierut zajmował najbardziej eksponowane stanowisko, to w pierwszych latach komunistycznej Polski krajem rządził triumwirat: Bolesław Bierut, Hilary Minc i Jakub Berman. Ci dwaj ostatni postrzegani byli za dużo sprawniejszych intelektualnie od Bieruta. Myślę, że prezydent KRN zdawał sobie z tego sprawę. Jednak z powodu ich żydowskiego pochodzenia nie było szans, by Minc i Berman mogli sięgnąć po najwyższe stanowisko. Bierut był przedwojennym działaczem spółdzielczym i to był chyba jego pułap.

Można sobie wyobrazić, jak Bierut zmuszał się, żeby odgrywać swoją rolę w budowanym wokół niego kulcie jednostki.

Wydaje mi się, że nie do końca pewnie czuł się w roli, którą dostał. Pytanie, na ile zdawał sobie sprawę z tego, że historia w bardzo zaskakujący sposób powierzyła mu rolę grubo ponad jego możliwości.

To był nudnawy urzędnik, ślepy wykonawca poleceń prawdziwego wodza. Gomułka mówił, że Bierut świecił światłem odbitym Stalina, jak księżyc. Prezydent KRN nie był „słońcem" jak inni przywódcy państw bloku wschodniego. Propaganda próbowała wprawdzie rozkręcić wokół niego kult jednostki, ale on nie za bardzo się do tego nadawał. Bierut nie chodził obwieszony medalami jak Stalin, a przecież ruch komunistyczny w Polsce potrzebował silnego przywódcy symbolizującego centralną ideę.

Ludzie, którzy się z nim stykali, mówili, że był wycofany, nawet nieśmiały, nie było w nim niczego, co by go wynosiło ponad przeciętność. Choć trzeba też zauważyć,



Grobowiec Bolesława Bieruta na cmentarzu wojskowym na Powązkach

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ALINA ZIENOWICZ

eprasa.pl 20df05361f

że cieszył się ponadprzeciętnym powodzeniem u kobiet, i to jeszcze w czasach, gdy jego nazwisko niewiele znaczyło. Czyli jednak miał w sobie jakąś „iskrę", która potrafiła zafascynować płeć piękną.

Jednym z jego koników na pewno była odbudowa Warszawy. Coś jeszcze go zajmowało?

Jeżeli przejrzymy dokumenty spraw politycznych przeciwko kierownictwu partii, które prowadzone były w Departamencie X MBP, to widać na marginesie uwagi Bieruta. Pisał m.in., o co trzeba pytać oskarżonych, na jakich wątkach się skupiać. Miał olbrzymi wpływ na funkcjonowanie bezpieki i myślę, że można go nazywać pierwszym ubekiem Polski Ludowej. Bardzo twórczo się zajmował tą dziedziną.

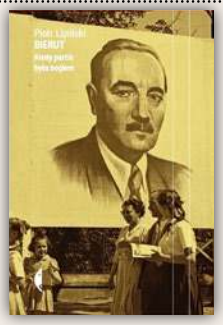
Stalin kazał mu porzucić partię, żeby oficjalnie był bezpartyjnym prezydentem. Ciekawe, czy się wzbraniał przed takim krokiem?

Na pewno źle się z tym czuł. Pierwsze dwa lata po wojnie były wielkim udawaniem, że będzie inaczej, niż w rzeczywistości miało być. Wicepremierem był Mikołajczyk, a PSL jakoś działało. To Gomułka bardziej niż Bierut zdawał sobie sprawę, jak nikłe jest poparcie społeczne, i dlatego komuniści przed dwa lata udawali, że nie są komunistami. Bierut przecież początkowo chodził nawet w procesjach Bożego Ciała. Po 1947 r. polscy komuniści porzucili już wszelkie pozory.

Na biurko Bieruta trafiło niemal 3 tys. wyroków śmierci, w sprawie których mógł się wypowiedzieć...

To są przerażające historie. Bierut zazwyczaj odrzucał prośby o ułaskawienie, ponieważ uważał, że w imię budowy nowej Polski trzeba pozbyć się ludzi, którzy hamowaliby ten proces. Kara śmierci miała też działać odstraszająco na innych.

Przyglądając się bliżej okolicznościom tych tragicznych spraw, zrozumiemy, że Bierut był przerażająco zapiekłym komunistą. Kiedyś rozmawiałem z Kazimierzem Mijalem, bliskim współpracownikiem Bieruta. Był to jeden z działaczy, którzy po zwrocie w 1956 r. pozostali stalinistami. Według niego prawdziwy komunizm był tylko w Chinach, a potem już tylko w Albanii. Zapytałem go, jak to jest z tą rewolucją. Ile osób można zabić, żeby innym żyło się lepiej. Mijal zwracał się do mnie z przyzwyczajenia tak, jak mówił do ludzi przez całe życie: „Towarzyszu, tak nie można o tym myśleć. Rzecz nie w liczbach! Rewolucja wymaga krwi, ofiar! Słuchajcie, towarzyszu, rewolucja burżuazyjna też była krwawa". Ci ludzie tak właśnie myśleli – godzili się, by mordować jednych, by innym żyło się rzekomo lepiej.



Bierut zmarł czy został zamordowany?

Zmarł. Ale Polacy są w stanie współczuć nawet zbrodniarzowi, jeżeli podejrzewają, że to Rosjanie maczali palce w jego śmierci. I dlatego część żałoby po śmierci Bieruta nie była udawana. Wtedy wielu Polaków uważało, że Bieruta wykończyli Sowieci.

Zapoznałem się z jego dokumentacją medyczną, która obejmuje dłuższy okres. Bierut chorował od kilku lat. Był już po sześćdziesiątce, niedomagały mu płuca, nerki. W Moskwie miał parę zapaści. Pod względem fizycznym był w złej kondycji, ale dodatkowo dobijała go psychika. Na jego oczach walił się świat stalinizmu i referat Chruszczowa mógł być gwoździem do jego trumny. Można sobie wyobrazić, że Bierut nie miał już po co żyć. To jak sytuacja, gdy tracimy kogoś bardzo bliskiego.

Ale można też snuć rozważania, czy śmierć stalinowskiego przywódcy PRL wobec zmiany kursu w ZSRS nie byłaby czymś pożądanym przez Kreml Chruszczowa.

Gdy Chruszczow przyleciał do Polski w październiku 1956 r., powiedział: „Wyście zabili waszego wspaniałego Bieruta". Oczywiście użył tego słowa w sposób metaforyczny. Chruszczow bardzo pozytywnie wypowiadał się o Bierucie. Trzeba pamiętać, jak Kreml postrzegał wtedy politykę w PRL. Chruszczowowi wydawało się, że Gomułka wprowadza w Polsce kontrrewolucję. Dla Sowietów wszelkie próby zmiany linii Bieruta byłyby kontrrewolucją. Podejrzewam, że dla Chruszczowa jeszcze przez dłuższy czas Bierut byłby najlepszym wyborem: gwarantował on bowiem zerowe ryzyko kontrrewolucji nad Wisłą.

Dlaczego Bierut na dobre nie wyeliminował Gomułki, gdy mógł to zrobić?

Gomułka był do 1948 r. postacią niemal równorzędną z Bierutem. Obaj bezpardonowo konkurowali ze sobą, ale w końcu to Bierut odsunął go w cień swoimi intrygami politycznymi.

Wydaje się, że Bierut nie chciał uruchamiać maszyny ścinającej głowy sekretarzy generalnych. Gdyby zlikwidował Gomułkę, przywódcę partii, to ustanowiłoby precedens i następnym razem sam Bierut mógłby zostać wyeliminowany. Gomułka nie został przy tym źle potraktowany w porównaniu z innymi aresztowanymi, wówczas komunistami, np. Wacławem Komarem.

Na Powązkach Wojskowych wciąż stoi monumentalny grób Bieruta. Od strony głównej alei zasłaniają go na szczęście drzewa, ale jednak można go dostrzec. Razi pana obecność tego grobu?

Od lat słychać głosy, teraz już może rzadziej, żeby „zaorać" to miejsce. Ja nie mam aż tak mocnego przekonania w tej sprawie. Myślę, że to całkiem dobre świadectwo naszej historii, szczególnie z wciąż widocznym na grobie słowem „kat", które ktoś domalował kilka lat temu. To miejsce daje do myślenia. A poza tym zastanówmy się nad kwestią praktyczną: Kto chciałby leżeć w miejscu, gdzie spoczywał Bierut?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Piotr Lipiński jest reportażystą, autorem wielu tekstów i książek na temat ciemnych kart historii PRL i komunistycznych działaczy, m.in. „Bicia nie trzeba było ich uczyć. Proces Humera i oficerów śledczych Urzędu Bezpieczeństwa", „Bierut. Kiedy partia była bogiem" i „Gomułka. Władzy nie oddamy".

eprasa.pl 20df05361f



1945–1956 / Ubecy, prokuratorzy, sędziowie i kat z Rakowieckiej

Kwatera „Łączka" i mauzoleum zamordowanych w czasach Bieruta. Cmentarz Wojskowy na Powązkach

FOT. LOWDOWN/WIKIPEDIA

Alfabet bestii Bieruta



Tadeusz M. Płużański

Oto 10 sylwetek najstraszniejszych funkcjonariuszy służących systemowi przeszczepionemu z Moskwy

JÓZEF BIK VEL BUKAR, VEL GAWERSKI, MORDERCA „INKI" Więźniowie zapamiętali, że „miał ciężką rękę". Okładał ich nogą od stołka po plecach, gumą po gołych piętach, kopał w jądra i bose stopy. Z zeznań świadka: „Bik spytał mnie, co to jest demokracja. Odpowiedziałem, że to musi być coś dobrego, bo o tym w gazetach piszą. Wtedy on z całej siły uderzył mnie pięścią w zęby, wybijając mi obie górne jedynki". Zmienił nazwisko na Bukar, bo Buk miało jego zdaniem „ośmieszające brzmienie". Potem został Gawerskim.

2 sierpnia 1946 r., jako naczelnik wydziału śledczego WUBP w Gdańsku, w piśmie do tamtejszej prokuratury wojskowej informował: „Przesyłam akta sprawy przeciwko Siedzikównie Danucie, ps. Inka, w celu przekazania do Wojskowego Sądu Rejonowego w trybie postępowania doraźnego".

Sześć dni po egzekucji „Inki" Bik, zapewne w nagrodę, został śledczym w centrali MBP. Rok później wylądował, jako porucznik, w bezpiece w Katowicach, odznaczony Srebrnym i Złotym Krzyżem Zasługi oraz Orderem Odrodzenia Polski.

Po 1968 r. uciekł do Szwecji, ale z Polską czuł się nadal związany – za pośrednictwem sądu wyżebrał od ZUS podwyżkę emerytury. Mógł się o nią starać dzięki zaświadczeniu o pracy w bezpiece w latach 1945–1953, o które



FOT. ARCHIWUM TADEUSZA PŁUŻAŃSKIEGO

wystarał się w IPN. Wtedy też ruszyło śledztwo przeciwko Bikowi (wcześniej prokuratorzy Instytutu nie znali miejsca jego zamieszkania). Józef Bik-Bukar-Gawerski zmarł w 2008 r. w Szwecji.

EUGENIUSZ CHIMCZAK, OPRAWCA PILECKIEGO Najpierw śledczy PUBP w Tomaszowie Lubelskim, potem pułkownik w warszawskiej centrali MBP, w bezpiece aż do 15 czerwca 1984 r. Na Mokotowie miał opinię jednego z największych morderców.

eprasa.pl 20df05361f

Przesłuchiwany kilkanaście lat temu przez prokuratora IPN w sprawie mordu sądowego na rtm. Witoldzie Pileckim twierdził, że tej sprawy „nie pamięta". Nie przeszkadzało mu to mówić: „O tym, w co był zamieszany Pilecki, mogłem się zorientować z wyjaśnień, jakie mi złożył [...]. Moich zwierzchników interesowały wyjątkowo »sprawy szpiegowskie«, a sprawa Pileckiego do takich została zaliczona". Pytany o stosowanie przymusu fizycznego i psychicznego odpowiadał: „Nie było żadnego". Nie bił, nie słyszał również, aby robili to inni.

Chimczak pozwalał sobie nawet na dalej idące dowcipy: „Nie widziałem żadnych obrażeń na ciele przesłuchiwanych i o nich nie słyszałem [...]. Owszem, zostałem przez Tadeusza Płużańskiego [mojego Ojca – przyp. T.P.] oskarżony o znęcanie się nad nim w czasie przesłuchań, ale to nieprawda". Ojciec wspominał: – Kiedy bicie nie skutkowało, krzyczał: „My wiemy, że masz twardą d…, ale w celi obok jest twoja żona, z której wszystko wyciśniemy". Kiedy w latach 70. spotkałem go na Nowym Świecie, mogłem mu tylko napluć w twarz, ale tego nie zrobiłem. On nawet na to nie zasłużył.

Chimczak żalił się, że miał ciężką pracę. Przesłuchiwał od godz. 9 do północy z trzy–czterogodzinną przerwą w ciągu dnia. Ujawniał mechanizmy śledztwa: „Zawsze sporządzałem protokół przesłuchania, nawet gdy podejrzany nie chciał wyjaśniać. W marcu 1948 r. przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Warszawie Pilecki i Płużański odwoływali zeznania złożone w śledztwie, tłumacząc, że protokołów przesłuchania przeważnie nie czytali, gdyż „byli bardzo zmęczeni".

Eugeniusz Chimczak uważał za „sprawę polityczną" skazanie w 1996 r. na 7,5 roku więzienia w procesie Adama Humera. Zmarł w październiku 2012 r., pochowany został na cmentarzu komunalnym Północnym w Warszawie.

ZBIGNIEW DOMINO Z SYBERII NA RAKOWIECKĄ Jako 15-latek, w pierwszej wielkiej wywózce mieszkańców Kresów Wschodnich II RP, trafił wraz z rodziną do obwodu irkuckiego. Na nieludzkiej ziemi spędził sześć lat. Ze zsyłki wrócił odmieniony – Zbigniew Domino to Wojciech Jaruzelski w mikroskali.

Domino jako stalinowski prokurator wojskowy oskarżał polskich żołnierzy i uczestniczył w ich egzekucjach w katowni bezpieki przy ul. Rakowieckiej w Warszawie. Przełożeni pisali o nim: „Do reakcji odnosi się z nienawiścią", jego wystąpienia „odznaczają się dużą bojowością i podnoszeniem strony politycznej". Wcześniej, po powrocie z Syberii, z ową „reakcją" walczył w Korpusie Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Zwieńczeniem kariery była praca w Głównym Zarządzie Politycznym WP. W latach 80. załapał się jeszcze na posadę radcy ambasady PRL w Moskwie. Później nastąpił kolejny zwrot, bo pojawił się na salonach jako wzięty pisarz, autor „Syberiady polskiej", działacz Związku Literatów Polskich.

W maju 2017 r. Społeczny Trybunał Narodowy uznał go za infamisa – człowieka niegodziwego, pozbawionego czci, wykluczonego ze społeczeństwa. Symboliczne orzeczenie tego obywatelskiego gremium nie mogło zastąpić odpowiedzialności karnej przed sądem Rzeczypospolitej.

14 marca 2019 r. o nieściganiu Domina (choć sam publicznie mówił, że liczy się z zarzutami) mówiłem razem z dr. Krzysztofem Szwagrzykiem podczas konferencji „Historyczne źródła kryzysu zaufania do sądownictwa w III RP" w Krajowej Radzie Sądownictwa. Obecny na sali szef pionu śledczego IPN prokurator Andrzej Pozorski 19 marca ogłosił, że postawiono Dominie zarzuty „podżegania do bezprawnego pozbawienia wolności". Zbigniew Domino zmarł 11 czerwca 2019 r.

KAZIMIERZ GRAFF OSKARŻAŁ KPT. „WARSZYCA" Chcieliśmy odwiedzić go z kamerą, żeby wobec niewydolności sądów III RP (Sąd Najwyższy, oddalając zażalenie IPN, stwierdził, że „w działaniu Kazimierza G. brak było cech przestępstwa") przynajmniej opowiedział o swojej karierze w stalinowskim systemie bezprawia.

Pułkownik Kazimierz Graff w powojennej machinie terroru był zastępcą naczelnego prokuratora wojskowego, Stanisława Zarako-Zarakowskiego. Po okresie „błędów i wypaczeń" kierował prokuraturą Warszawskiego Okręgu Wojskowego, by w końcu zostać wziętym adwokatem i radcą prawnym.



FOT. IPN

W grudniu 1946 r. żądał kar śmierci dla dowódcy poakowskiego Konspiracyjnego Wojska Polskiego kpt. Stanisława Sojczyńskiego „Warszyca" i jego żołnierzy. Prawo III RP uznało to za mord sądowy, a KWP za jednostkę walczącą o niepodległość kraju przeciwko sowieckiemu zniewoleniu. Potem Graff brał udział w sprawach o tzw. spisek w wojsku, w których przedwojenni oficerowie WP, torturowani w śledztwie przez Informację Wojskową, byli skazywani na wieloletnie więzienie, z karą śmierci włącznie. Jako człowiek inteligentny musiał mieć świadomość swoich czynów. W III RP zaprzeczał: „Nie mogłem sądzić, że przedwojenny oficer zeznaje nieprawdę, a zeznania są wymuszone; w aktach sprawy nie było żadnych dowodów na represyjny charakter tamtego śledztwa".

Ten najmłodszy z trzech synów bogatego kupca Maurycego i nauczycielki Gustawy z Simonbergów ukończył elitarne gimnazjum im. Mikołaja Reja, a w 1939 r. prawo na Uniwersytecie Warszawskim. Po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej wstąpił do Armii Czerwonej, a potem do LWP. Pracę w prokuraturze wojskowej w 1945 r. rozpoczął dobrowolnie – do przełożonych pisał, że znalazł swoje miejsce w życiu.

Kilkanaście lat temu udało mi się porozmawiać telefonicznie z Kazimierzem Graffem.

– Mordował pan polskich patriotów…

– To tylko sugestia. Kiedyś były inne oceny, teraz są inne.

– Dla Stanisława Sojczyńskiego domagał się pan kilku kar śmierci...

eprasa.pl 20df05361f

– Może to dużo, a może mało. Sprawę ocenią historycy.

– Niczego pan nie żałuje?

– Udziału w procesie „Warszyca" nie. Żałuję tylko, że w ogóle były takie sprawy, że mordowano ludzi.

– Nie czuje się pan winny morderstwa?

– Morderstwo? Przecież to nie ja mordowałem, tylko oni.

– Kto?

– Przepraszam, ale muszę już kończyć.

Kazimierz Graff zmarł w 2012 r., pochowany na Powązkach Wojskowych w Warszawie.

KAZIMIERZ JEZIERSKI, UBECKI LEKARZ Jako porucznik UB Kazimierz Jezierski jest podpisany pod protokołem wykonania wyroku śmierci z 25 maja 1948 r. na rtm. Witoldzie Pileckim w więzieniu mokotowskim w Warszawie. Prawie trzy lata później, 1 marca 1951 r., już jako kapitan uczestniczył w egzekucji członków IV Zarządu WiN. Od strzału w tył głowy zginęli: Łukasz Ciepliński, Adam Lazarowicz, Mieczysław Kawalec, Józef Rzepka, Franciszek Błażej, Józef Batory, Karol Chmiel.

Rok później, 7 czerwca 1952 r., także przy Rakowieckiej, Jezierski brał udział w mordzie na Karolu Sęku, komendancie Okręgu Podlaskiego Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. Na śmierć skazał go Stefan Michnik, który po odmowie ekstradycji przez Szwecję do śmierci żył spokojnie w Uppsali.

Dlaczego komuniści dopuścili Jezierskiego do egzekucji kluczowych wrogów?

„Jan Sęk już dawno usiłować odnaleźć Kazimierza Jezierskiego. Dowiedział się, że lekarz wyemigrował do USA, ma szeroką praktykę w stanie New Jersey" – napisała dziennikarka Małgorzata Szejnert („Śród żywych trupów", Londyn 1990). A więc Jezierski był lekarzem, dodajmy: ubeckim lekarzem. W takim razie co robił u boku słynnej piosenkarki Wiery Gran (Weroniki Grynberg)? Justyna Daniluk w tekście „Czy istnieje prawda o Wierze Gran?" w „Dzienniku Polskim" napisała: „Z getta w ostatniej chwili wyciągnął ją Jezierski [był synem lekarza jej matki], który sam, chociaż też był Żydem (co do końca życia ukrywał), funkcjonował jako Aryjczyk, na legalnych papierach". Wcześniej „niejednokrotnie ratował jej życie. Nigdy nie dziękowała, w końcu dostał to, co chciał – ją, na parę naście ładnych lat". Kazimierz Jezierski zmarł w 1994 r. w Podkowie Leśnej; Wiera Gran w 2007 r. w Paryżu.

JERZY KĘDZIORA, „MANIKIURZYSTA" PATRIOTÓW Do bezpieki trafił w lutym 1945 r. z GL/AL. Do grudnia 1947 r. walczył z „bandami reakcyjnego podziemia". Tak o Jerzym Kędziorze pisali przełożeni: „[...] pochodzenia rzemieślniczego, przynależności społecznej inteligencji pracującej [...], z zawodu pracownik umysłowy". Matka, Lucyna Gajewska, była krawcową. Ojciec, Daniel, z zawodu szewc, w II RP siedział za działalność w KPP, po wojnie w PPR.



FOT. WFACEBOOK.COM/FUNDACJANONNOTUS

Szef wszystkich ubeków, Jacek Różański (Józef Goldberg), miał jednak uwagi: „[...] mocno zarozumiały, posiada manię wyższości, wobec podwładnych niewyrozumiały – co ujemnie odbija się na wychowaniu podległych mu oficerów".

Kędziora znęcał się nad więźniami przy Rakowieckiej, ale też w tajnym więzieniu bezpieki (kryptonim Spacer) w Miedzeszynie pod Warszawą, co tak opisywał: „Podczas przesłuchań używano takich metod jak: klęczenie na stołku, karcer czy wkładanie ołówka między palce. Pierwszy wypadek z ołówkiem zastosował Światło [Józef Światło, zastępca dyrektora X Departamentu MBP] [...]. Słyszeliśmy w tym czasie opowiadania na temat metod stosowanych w »dwójce« i dlatego wydawało się nam, że nasze postępowanie było łagodne".

W III RP prowadzący proces Kędziory Sąd Rejonowy dla Warszawy-Mokotowa uznał, że nie ma wiedzy historycznej, aby właściwie ocenić zarzuty. Sąd wyższej instancji też odmówił, gdyż... oskarżony nie jest osobą znaną i nie budzi zainteresowania opinii publicznej.

Ostatecznie Jerzy Kędziora został skazany na kilka lat więzienia, wyrok odsiadywał na warszawskiej Białołęce, ale szybko wyszedł na wolność, zasłaniając się chorobą oczu. Prawdopodobnie żyje do dziś pod Warszawą.

WŁADYSŁAW LITMANOWICZ, MISTRZ SZACHÓW Stalinowski morderca sądowy Marian Frenkiel był mistrzem brydża. Z kolei Władysław Litmanowicz – jednym z najsłynniejszych powojennych szachistów.

Urodził się w 1918 r. jako Abram Wolf w nauczycielskiej rodzinie Marka i Róży z Birencwajgów. Ten przedwojenny prawnik po Uniwersytecie Warszawskim został w sierpniu 1941 r. zmobilizowany do Armii Czerwonej, a w sierpniu 1944 r. przeniesiony do LWP.

W latach 1947–1952 był sędzią Wojskowego Sądu Rejonowego w Krakowie, Kielcach i Warszawie. Wielu polskich oficerów skazał na karę śmierci, w tym 32-letniego por. Edmunda Bukowskiego. Ten wilnianin, uczestnik Powstania Warszawskiego, odznaczony m.in. Krzyżem Walecznych, po 1945 r. nie złożył broni, by przez całą Europę wozić rozkazy i fundusze służące walce o niepodległość. W ciężkim śledztwie przy Rakowieckiej nie przyznał się do antypolskiej działalności, stracony został na Mokotowie 13 kwietnia 1950 r.

W przerwach między skazywaniem ludzi na śmierć Litmanowicz zdobywał laury na krajowych i zagranicznych turniejach. Jako sędzia klasy międzynaro-



FOT. IPN

eprasa.pl 20df05361f

dowej brał udział w wielu prestiżowych imprezach, w tym w olimpiadach (1980, 1984, 1986).

Zmarł w 1992 r., pochowany został na cmentarzu komunalnym Północnym w Warszawie. Jego żona, Mirosława Litmanowicz, była czołową polską szachistką, mistrzynią Polski i świata.

HENRYK PODLASKI, ZBRODNIARZ BEZ TWARZY Zdjęć Henryka Podlaskiego, w latach 50. zastępcy naczelnego prokuratora wojskowego do spraw szczególnych, jednego z najbardziej wpływowych i okrutnych funkcjonariuszy komunistycznego systemu bezprawia, nie ma na wystawach przedstawiających krwawych stalinowców.

W dokumentach czytamy: Podlaski Hersz, syn Mojżesza i Szpryncy Austern, ur. 7 marca 1919 r. w Suwałkach. Później zmienił imię na Henryk, ojciec Mojżesz został Maurycym, a matka Szprynca Stanisławą. Kiedy podczas „odwilży" do więzienia trafiali w celach propagandowych niektórzy stalinowcy, Podlaski zaczął używać imienia Bernard, aż w końcu przepadł bez wieści. Przez dłuższy czas szukała go KG MO, ale bezskutecznie. Mówiło się, że utonął w nurtach Bugu. Miał to być wynik nieudanej przeprawy przez rzekę podczas ucieczki na Wschód albo akt samobójczy. W 1966 r., po 10 latach starań, żona krwawego prokuratora, Zyta Podlaska, uzyskała potwierdzenie jego zgonu. Oficjalna wersja głosiła, że umarł 31 grudnia 1956 r.

Istnieją jednak relacje, że cała sprawa została sfingowana, a Podlaski... zamieszkał w swojej drugiej, po Izraelu, ojczyźnie – ZSRS, u boku siostry, która wyszła za mąż za wysokiego funkcjonariusza NKWD. Niektórzy twierdzą, że Podlaski żył jeszcze w latach dwutysięcznych. W Urzędzie Stanu Cywilnego w Suwałkach, gdzie się urodził, nie ma informacji o jego zgonie.

MARIAN RYBA, Z PROKURATURY DO PZPN Po wojnie brał udział w sesjach wyjazdowych Wojskowego Sądu Rejonowego w Warszawie (często pod przewodnictwem krwawego sędziego Mieczysława Widaja). Nawet za drobne „winy" wymierzano – w trybie doraźnym – drakońskie wyroki, z karą śmierci włącznie. I tak np. 13 stycznia 1947 r. w Ostrowi Mazowieckiej Ryba



FOT. COMMONS.WIKIMEDIA, WOJSKOWA AGENCJA FOTOGRAFICZNA

oskarżał Władysława Kornelewskiego ps. Grunt, Orlicz, żołnierza NOW i NZW, oraz jego adiutanta Henryka Olczaka ps. Lew. Wyrok wykonano już następnego dnia, 14 stycznia 1947 r., o godz. 11, łamiąc nawet sowieckie „prawo" pozwalające wystąpić do Bieruta o łaskę.

W latach 1956–1968 Marian Ryba był naczelnym prokuratorem wojskowym, a równolegle działaczem Polskiego Związku Piłki Nożnej, by w 1960 r. zostać także wiceprezesem CWKS Legia Warszawa.

W stanie wojennym był wiceszefem Centralnej Komisji do Walki ze Spekulacją oraz przewodniczącym Centralnej Komisji Specjalnego Postępowania Porządkowego. 13 grudnia 1981 r. jako specjalny wysłannik Jaruzelskiego poinformował abp. Józefa Glempa o zarządzeniach władz. Wcześniej, w latach 1971–1981, w Sztabie Generalnym WP zajmował się „sprawami specjalnymi", m.in. „problematyką rozbrojenia". W latach 1969–1970 był w Korei, a w 1973 r. w Wietnamie. W stan spoczynku przeszedł w 1987 r.

Choć w stalinizmie podżegał do wielu zbrodni sądowych, to tzw. III RP pion śledczy IPN oskarżył go jedynie o niedopełnienie obowiązków, co doprowadziło do bezprawnego pozbawienia wolności 17 działaczy niepodległościowych w latach 1951–1954. Jednak nawet w tej sprawie Marian Ryba został w listopadzie 2013 r. uniewinniony przez Wojskowy Sąd Okręgowy w Warszawie. Zmarł 27 lutego 2018 r., pochowany został na cmentarzu Bródnowskim w Warszawie. Do końca pobierał prawie 6 tys. zł emerytury – za 10 lat „służby" w UB i prokuraturze wojskowej.

PIOTR ŚMIETAŃSKI, KAT MOKOTOWA W latach 1944–1956 w więzieniu przy ul. Rakowieckiej stracono ponad tysiąc osób. Strzałem w tył głowy mordowali Aleksander Drej, a także jego poprzednik, Piotr Śmietański, sądząc z podpisów na protokołach wykonania wyroków śmierci – ledwo piśmienny. Choć w dokumentach widnieje jako „dowódca plutonu egzekucyjnego", to strzelał sam.

10 marca 1948 r. zamordował ks. Rudolfa Marszałka, 25 maja 1948 r. rtm. Witolda Pileckiego, 7 marca 1949 r. mjr. Hieronima Dekutowskiego „Zaporę", a 29 sierpnia 1949 r. Adama Doboszyńskiego.

W wojewódzkim UBP w Warszawie Śmietański zaczynał tak jak Drej – na początku 1945 r. jako wywiadowca (kapuś). I również był „oficerem do zleceń" i „do dyspozycji szefa".

Doktor Adam Cyra, historyk z Muzeum Auschwitz, pisał: „Podobno za pozbawienie życia więźnia otrzymywał tysiąc złotych. Pensja nauczycielska w tym czasie wynosiła sześćset złotych".

Informacji o kacie z Rakowieckiej szukano wszędzie. Nie było ich jednak w żadnej polskiej ewidencji, dlatego śledztwo przeciwko niemu zostało w 2004 r. umorzone. Ostatecznie udało się ustalić, że Piotr Śmietański zmarł na gruźlicę jeszcze w 1950 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. IPN

eprasa.pl 20df05361f



Aleksander Zawadzki (zdjęcie policyjne), w latach 1952–1964 przewodniczący Rady Państwa

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ARCHIWUM AKT NOWYCH

1918–1939 / Komunistyczna Partia Polski

Przeciw niepodległości



Tomasz Stańczyk

Bolesław Bierut był w latach II Rzeczypospolitej gorącym zwolennikiem niepodległości. Jak każdy komunista uważał jednak, że niepodległą Polską będzie dopiero Polska Republika Rad w składzie Związku Sowieckiego…

Wrogość przedwojennych polskich komunistów wobec niepodległości i ich działania, by ją zniszczyć, miała korzenie w początkach polskiego socjalizmu. Partia Proletariat Ludwika Waryńskiego negowała potrzebę niepodległości. Ale część jej działaczy, jak Stanisław Mendelson, zmieniła zdanie. Proletariatczycy byli reprezentowani jako przedstawiciele jednej z kilku grup socjalistów, którzy w 1892 r. utworzyli PPS. Kwestia niepodległości nie budziła kontrowersji. W programie PPS zawarto więc walkę o socjalizm, a także o niepodległość.

Rok później powstała Socjaldemokracja Królestwa Polskiego. Ideologiem SDKP (potem SDKPiL) była Róża Luksemburg, która uważała, że ziemie polskie, podzielone między Austrię, Rosję i Niemcy, zrosły się ekonomicznie z państwami zaborczymi, że nie ma już co podnosić kwestii niepodległości Polski, a proletariusze polscy mają jeden cel – walkę o socjalizm w Rosji, Rzeszy i Austro-Węgrzech.

Podczas rewolucji w latach 1905–1907 ujawniła się zasadnicza różnica zdań w PPS, która doprowadziła do rozła-

eprasa.pl 20df05361f



Komunistyczna ulotka z czasów wojny z Rosją sowiecką FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

mu. Tak zwani młodzi widzieli przyszłość Polaków w socjalistycznej Rosji, na zasadzie autonomii. Wśród przywódców „młodych" dominującą rolę odgrywali towarzysze pochodzenia żydowskiego, m.in. Maksymilian Horwitz-Walecki, Feliks Sachs, Feliks Kon, Paweł Lewinson. Nie ma w tym nic dziwnego. Nie mogli przecież wynieść z domu – jak Józef Piłsudski – polskiego patriotyzmu, pamięci o powstaniach i pragnienia niepodległości. Piłsudski stał na czele „starych" trzymających się programu paryskiego PPS: socjalizm i niepodległość.

Gdy w listopadzie 1918 r. Józef Piłsudski, uwolniony z magdeburskiej twierdzy, przyjechał do Warszawy, na wieży Zamku Królewskiego zawisł czerwony sztandar. Nie był to jednak sztandar komunistów, lecz socjalistów z PPS, którzy wspierali Komendanta. Piłsudski chciał stworzyć Rząd Jedności Narodowej, jednak to się nie udało. Wobec tego powołał rząd Jędrzeja Moraczewskiego, o jednoznacznie lewicowym obliczu. Najpewniej właśnie dzięki temu Polska uniknęła zarazy komunizmu, gdyż socjalistyczny program tego rządu był doskonałą szczepionką przeciw tej chorobie.

Miesiąc później, w grudniu 1918 r., w warszawskiej kamienicy Stowarzyszenia Wzajemnej Pomocy Subiektów Handlowych Wyznania Mojżeszowego zebrali się delegaci SDKPiL oraz PPS-Lewicy. Założyli Komunistyczną Partię Robotniczą Polski, znaną później pod zmienioną nazwą Komunistyczna Partia Polski.

Pierwsze wybory w niepodległej Polsce odbyły się w 1919 r. Komuniści, nieuznający państwa polskiego, zbojkotowali je. Konsekwentnie nie próbowali zarejestrować partii, stąd też KPRP/KPP była uznawana przez władze Rzeczypospolitej za partię nielegalną. Za działalność w niej groziło więzienie. Nie znaczyło to jednak, że komuniści nie brali udziału w życiu politycznym. Kandydowali do Sejmu – oczywiście nie pod szyldem partyjnym – i zdobywali mandaty poselskie. W wyborach w 1928 r. głosowało na nich – nie tylko na KPP, lecz także na białoruską i ukraińską partię o obliczu komunistycznym – 930 tys. wyborców na ogólną liczbę 11,3 mln. W rezultacie w liczącym 444 posłów Sejmie zasiadło 21 komunistów. Inna sprawa, że Sejm wydawał niektórych z nich, m.in. Stanisława Łańcuckiego, Tomasza Dąbala i Jerzego Czeszejkę-Sochackiego, w ręce wymiaru sprawiedliwości za działalność antypaństwową.

Pomoc dla Armii Czerwonej

Komuniści nie mieli złudzeń, że polski rząd bolszewicki może powstać w wyniku wyborów do parlamentu. Ale nie tyle na rewolucję w Polsce, ile na bolszewickie bagnety liczyli polscy komuniści latem 1920 r. W Białymstoku, zdobytym przez Armię Czerwoną, powstał Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski – przyszły rząd Polskiej Republiki Rad. W sierpniu Armia Czerwona stanęła na przedpolach Warszawy. Podczas wojny Polski z bolszewicką Rosją komuniści nie siedzieli z założonymi rękami, wychodzili ze skóry, by pomóc Armii Czerwonej, m.in. próbując – bez skutku – doprowadzić do strajku generalnego.

Komunistyczna Partia Polski była uzależniona od zagranicznego dysponenta – Międzynarodówki Komunistycznej z siedzibą w Moskwie, gdyż była sekcją tej organizacji. A Międzynarodówka była z kolei narzędziem Związku Sowieckiego. Tak więc KPP była agenturą obcego państwa, opłacaną przez nie i wykonującą jego polecenia.

Na ławie oskarżonych zasiadali często sami Żydzi (lub w większości Żydzi). Na przykład w procesach, które odbyły się od września 1927 r. do grudnia 1929 r., Żydzi stanowili 61 proc. oskarżonych w Warszawie i w Łodzi („Walka z bolszewizmem" 1930 r., z. 26). Z kolei w 1929 r. w całej Polsce Żydzi stanowili 46 proc. oskarżonych („Walka z bolszewizmem" 1930 r., z. 31).

Ale nie znaczy to, że KPP była „żydokomuną". Nad zniszczeniem lub choćby tylko osłabieniem niepodległej Polski solidarnie pracowali z towarzyszami żydowskimi również Polacy, a także Ukraińcy i Białorusini. Ci ostatni jako członkowie autonomicznych, lecz wchodzących w skład KPP – Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy i Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi.

W procesach komunistów zapadały zwykle wyroki kilku lat więzienia, zdarzały się jednak także znacznie surowsze, kilkunastoletnie. W latach 30., po wejściu w życie nowego kodeksu karnego, zapadały one często z art. 93 par. 2 (usiłowanie zmiany przemocą ustroju państwa). Marian Buczek – wcześniej polski patriota, członek Polskiej Organizacji Wojskowej – dzierżył rekord, jeżeli chodzi o długość czasu spędzonego za kratami – 16 lat.

Aleksander Zawadzki, były polski patriota, walczył z najazdem Rosji bolszewickiej jako ochotnik i został odznaczony Krzyżem Walecznych – także miał trafić za kraty (na 15 lat), ale dopiero w 1938 r., więc przesiedział niespełna rok. Był kierownikiem „wojskówki" KPP, próbującej prowadzić komunistyczną agitację w Wojsku Polskim.

Za taką agitację i szpiegostwo przed sądem stanęło w 1923 r. kilkunastu młodych ludzi ze Związku Młodzieży Komunistycznej. Najwyższe wyroki – siedem i sześć lat więzienia – otrzymali Leon Toeplitz, syn znanego przemysłowca, i Antoni Piwowarczyk (znany też jako Władysław Wolski), członek wydziału wojskowego partii komunistycznej.

Jeden z najgłośniejszych procesów komunistów, tzw. proces świętojurski we Lwowie – sądzono wówczas 39 działaczy KPZU: Polaków, Ukraińców i Żydów – zakończył się łagodnymi wyrokami (najwięcej, trzy lata więzienia, dostali Stefan Królikowski, Kazimierz Cichowski oraz Osyp Kriłyk).

W 1934 r. w Łucku odbył się proces komunistów z KPZB. Jednym z oskarżonych był Ozjasz Szechter, który dostał najwyższy wyrok (wraz z innym oskarżonym). Szechter miał odsiedzieć osiem lat w więzieniu, ale po dwóch latach został wypuszczony na wolność na mocy amnestii. Jak pisał wtedy Józef Mützenmacher (ważny członek KPP, a jednocześnie współpracownik policji politycznej, uważany za autora demaskatorskiej książki

eprasa.pl 20df05361f

o KPP, napisanej pod pseudonimem Jan Alfred Reguła): „Wśród aresztowanych komunistów znalazło się wielu, którzy pod wpływem rozczarowania do całej działalności KPZB jęli wydawać władzom politycznym tajemnice partyjne (odznaczał się w tym zwłaszcza Ozjasz Szechter, ps. Jerzy)".

Być może jednak nie było to tylko rozczarowanie, lecz także skutek niezbyt łagodnego traktowania aresztowanych w śledztwie, na które skarżyli się komuniści. Adam Michnik, syn Ozjasza Szechtera, oburzył się, gdy w jednej z publikacji IPN napisano, że jego ojciec był sowieckim szpiegiem, i wytoczył proces w tej sprawie. Sąd przyznał mu rację: w istocie Szechter był skazany „tylko" za próbę obalenia przemocą ustroju państwa polskiego, czyli za próbę wprowadzenia w Polsce ustroju komunistycznego.

Kary śmierci

W 1930 r. za zdradę stanu zostali skazani przez sąd we Lwowie na karę śmierci Izrael Hirsch, Samuel Jugend i Naftali Propper. Ale na skutek kasacji pierwszy z nich został ostatecznie skazany tylko



Stanisław Łańcucki na komunistycznej ulotce
FOT. COMMONS WIKIMEDIA



Józef Mützenmacher, agent defensywy w kierownictwie KPP FOT. COMMONS WIKIMEDIA

na półtora roku więzienia, drugi – na rok, a trzeciego uniewinniono.

Trzy lata później w procesie kobryńskim prokurator zażądał kar śmierci dla ośmiu chłopów, którzy należeli do KPZB. Zarzuty były ciężkie: napad na posterunek policji w Nowosiółkach (część uczestników napadu zbiegła do Związku Sowieckiego), tworzenie oddziałów zbrojnych w celu wywołania powstania i oderwania części ziem od Rzeczypospolitej. Zapadły wyroki dożywocia. Regina Kaplan (vel Zofia Cytryn), funkcjonariuszka KPZB, została skazana na 15 lat więzienia. W Związku Sowieckim otrzymała medal za zasługi wojskowe, którym odznaczano walczących z wrogami państwa Stalina, w wypadku Kaplan – z Polską.

Wykonano natomiast karę śmierci orzeczoną w 1925 r. wobec Władysława Kniewskiego, Henryka Rutkowskiego i Władysława Hibnera (bohaterów męczenników w Polsce Ludowej). Zostali oni skazani za zabicie policjanta, ranienie kilku innych osób, w tym również kobiety z dzieckiem, gdy uciekali z obławy. Zamierzali wówczas zlikwidować agenta policyjnego w swoich szeregach, zdrajcę Józefa Cechnowskiego, którego ostatecznie skutecznie dopadł Izaak Naftali Botwin. Także na nim wykonano wyrok śmierci. Taka kara należała się Wacławowi Komarowi, który przeszedł do KPP z młodzieżowej organizacji Haszomer Hacair i przybierając pseudonim Kucyk, stał się likwidatorem ludzi uznanych w szeregach partii za prowokatorów. Jak pisał Witold Bagieński na łamach „Historii Do Rzeczy", Komar samodzielnie lub z udziałem współtowarzysza zastrzelił Eugeniusza Ulricha, Konstantego Kryńskiego i Zdzisława Niewiarowskiego. „Kucykowi" sprzyjało szczęście – uniknął aresztowania, a kiedy opublikowano list gończy z jego fotografią, umknął do ZSRS.

Wybuch w Cytadeli

KPP, poza likwidowaniem zdrajców, nie dokonywała spektakularnych aktów terroru politycznego, w przeciwieństwie do nacjonalistów ukraińskich. Potężny wybuch w prochowni Cytadeli Warszawskiej w 1923 r. był przypisywany komunistom, choć sprawa nie jest do końca jasna. Dwa miesiące przed eksplozją zostali aresztowani komuniści – podporucznik rezerwy Antoni Wieczorkiewicz i porucznik Walery Bagiński. Zostali oni skazani na karę śmierci za przygotowywanie aktów terrorystycznych wymierzonych m.in. w infrastrukturę kolejową. Jak pisał Mariusz Żuławnik w artykule „Eksplozja w Cytadeli 13 października 1923. Przyczynek do działalności komunistów w garnizonie warszawskim", terroryści komunistyczni podłożyli ładunek wybuchowy w lokalu Bratniej Pomocy na Uniwersytecie Warszawskim (zginął prof. Roman Orzelski), a także w budynkach wojskowych komend uzupełnień w Białymstoku i Częstochowie (tam jednak bomby nie wybuchły).

Policja oskarżała o te przestępstwa Bagińskiego i Wieczorkiewicza. Skazano ich na karę śmierci, wyroku uniknęli dzięki aktowi łaski prezydenta Stanisława Wojciechowskiego. Mieli długie lata spędzić w więzieniu. Związek Sowiecki zabiegał, by zostali odesłani do swej ideowej ojczyzny w ramach wymiany więźniów, i tak się stało. A to, że zostali zabici przed przekroczeniem granicy z Krajem Rad przez konwojującego ich policjanta, to już zupełnie inna sprawa, niemająca nic wspólnego z władzami państwowymi.

Trudno natomiast wypowiedzieć się kategoryczne, czy rzeczywiście polscy komuniści mieli – z inspiracji rezydenta sowieckich służb w Warszawie Mieczysława Łoganowskiego – dokonać zamachu terrorystycznego podczas uroczystości 3 maja 1923 r. na placu Saskim, na której byli Józef Piłsudski, członkowie rządu oraz marszałek Francji i Polski – Ferdinand Foch. W przygotowa-

eprasa.pl 20df05361f



Julian Leński-Leszczyński, sekretarz generalny KPP
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ARCHIWUM AKT NOWYCH

nia do tego aktu terrorystycznego mieli być zamieszani właśnie Wieczorkiewicz i Bagiński. Podobnie brak żelaznych dowodów, by stwierdzić, czy faktycznie Łoganowski zamierzał rękami polskich komunistów zamordować w Sulejówku marszałka Piłsudskiego, ale w taki sposób, by winę zrzucić na endeków i rozpętać wojnę między nimi i piłsudczykami.

Ponieważ komuniści bezwzględnie walczyli z niepodległym państwem, nie pobłażano im. Zdarzało się więc czasami, że aresztowanych komunistów traktowano brutalnie. W 1926 r. został zwolniony ze służby lwowski komisarz Leon Kajdan. Powodem było stosowanie przez niego niedozwolonych metod w śledztwie. Powstały w 1934 r. obóz – oficjalnie „miejsce odosobnienia" – w Berezie Kartuskiej nie był bynajmniej planowany z myślą o komunistach. Stali się oni jednak największą grupą osadzonych, wyprzedzając ukraińskich nacjonalistów z terrorystycznej OUN. Obóz spełnił wobec części komunistów zadanie reedukacyjne, gdyż stracili oni po wyjściu na wolność ochotę do działalności w partii.

Bronisław Bortnowski, w broszurze „Piętnastolecie KPP", tworzył – niemającą nic wspólnego z rzeczywistością – legendę martyrologii członków tej partii, pisząc o setkach (!) zamordowanych w „katowniach faszystowskich". Władze sowieckie nie doceniły tej propagandy i cztery lata później Bortnowski został rozstrzelany przez katów z NKWD.

„Przeżarta" agenturą?

Inspektorat Defensywy Politycznej, czyli tzw. Defa, komórka Komendy Głównej Policji, zwalczając KPP, pozyskiwał agentów w jej szeregach. W 1938 r. Stalin podjął decyzję – szkoda dla Polski, że tak późno – by rozwiązać KPP, gdyż miała być ona według niego „przeżarta" agentami polskiej „Defy". Najpewniej jednak był to tylko pretekst, by wymordować elitę polskich komunistów – tak samo jak Stalin uśmiercił starych bolszewików. Jeśli natomiast założymy, że Stalin uwierzył w „przeżarcie" KPP agentami, to albo tak faktycznie było, albo była to błyskotliwa polska akcja dezinformacyjna.

Ofiarami NKWD padli komuniści, którzy po wyjściu z polskiego więzienia albo ratując się przed aresztowaniem, wyjeżdżali do ZSRS (lub też trafiali tam w ramach wymiany więźniów politycznych). W Kraju Rad znakomita większość z nich została zabita, jako polscy agenci i szpiedzy. Dzięki zlikwidowaniu najwybitniejszych polskich komunistów w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej najważniejsze stanowiska zajęli towarzysze z drugich, a nawet trzecich szeregów KPP, jak choćby Bolesław Bierut.



Maria Eiger, zastępca członka KC KPP
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ARCHIWUM AKT NOWYCH

Wkrótce po jatce, którą sprawiła polskim komunistom ich ideowa ojczyzna, Niemcy napadły na Polskę. Bohaterem w Polsce Ludowej był Marian Buczek, który poległ jako żołnierz Wojska Polskiego we wrześniu 1939 r. Miał to być dowód na patriotyzm komunistów. Gdy wybitny poeta Władysław Broniewski, sympatyk komunizmu, a wcześniej kawaler Virtuti Militari za wojnę z Rosją sowiecką, znalazł się jesienią 1939 r. w okupowanym Lwowie i tam publicznie bolał nad upadkiem Polski, enkawudziści wtrącili go do więzienia. Do materiałów oskarżenia dołączono niewątpliwie jego wiersz „Bagnet na broń", w którym pisał, że są w ojczyźnie rachunki krzywd, ale „obca dłoń" (Związek Sowiecki) ich nie przekreśli.

17 września 1939 r. był najweselszym dniem dla polskich komunistów w ciągu całego istnienia II Rzeczypospolitej – ich ideowa ojczyzna znów napadła na Polskę. Uwolnieni zostali komunistyczni „pensjonariusze" Berezy, którzy z reguły, tak jak inni członkowie KPP, zostawali następnie członkami WKP(b) – sowieckiej partii komunistycznej.

Kapepowcy walczący z niepodległą Rzecząpospolitą, uzyskali wreszcie w 1945 r. to, o co walczyli i za co trafiali za kraty i do obozu w Berezie Kartuskiej. W pozbawionej niepodległości Polsce likwidator „Kucyk" (Wacław Komar) pracował jako naczelnik i dyrektor w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego. Aleksander Zawadzki został członkiem Biura Politycznego PZPR i przewodniczącym Rady Państwa, a Franciszek Jóźwiak, mający za sobą pobyt w Berezie, komendantem głównym MO, a także członkiem Biura Politycznego. A Bolesław Bierut, mający na koncie siedmioletni wyrok za walkę z własnym państwem, został polskim Stalinem.

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 20df05361f

1034 r. / Brzetysław niszczy Polskę

Czeski potop





Wojciech Gerson „Kazimierz Odnowiciel wracający do kraju”

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUZEUM NARODOWE WE WROCŁAWIU



Leszek Lubicki

Wielki bunt trawiący ziemie polskie zachęcił sąsiadów z południa do zorganizowania łupieżczej wyprawy. Polska stanęła wówczas na krawędzi zagłady

Po śmierci Mieszka II w 1034 r. władzę w Polsce objął jego syn Kazimierz, nazwany później przez Galla Anonima Odnowicielem. Nie koronował się jednak na króla jak jego ojciec, który później tę koronę stracił i nie odzyskał jej aż do śmierci. Kazimierz obawiał się sprzeciwu ze strony cesarstwa, choć po matce był potomkiem niemieckich władców. Być może zapamiętał ich stanowisko w kwestii koronacji dziada Bolesława Chrobrego, a także ojca. Niemiecki kronikarz tak przedstawiał perspektywę swoich rodaków: „Trucizna pychy zalała duszę Bolesława, tak że po zgonie cesarza Henryka ośmielił się pochwycić koronę królewską na hańbę króla Konrada. Rychła śmierć ukarała tę zuchwałość. Syn jego Mieszko takiż buntownik jak ojciec”.

Natomiast w Królestwie Polskim Kazimierz obawiał się negatywnej reakcji sił wewnętrznych. Możni, którzy urośli już znacznie w siłę, „nie życzyli sobie koronacji; górę wśród dostojników brały elementy zmierzające do osłabienia dynastii i przechwycenia jej prerogatyw” (Zientara, „Poczet”, 1991). Później mistrz Wincenty Kadłubek nazwie tych wpływowych ludzi „poronionymi książętami”. Musimy tu zaznaczyć kwestię niezwykle istotną dla dalszej części tej historii. Jak powiada Jerzy Wyrozumski, „okres od śmierci Mieszka II w 1034 r. w zasadzie aż do 1041 r. to źródłowa czarna dziura – mgławica, niewiadoma. O tym, kto wówczas rządził krajem, badacze wypowiadali się bardzo różnie” („Władcy”, 2018). Jednak na podstawie kilku szczątkowych informacji zapisanych

w kronikach uczeni zbudowali pewien obraz prawdopodobnych wydarzeń.

Przyjmuje się, że 18-letni wówczas Kazimierz mógł od śmierci swojego ojca rządzić samodzielnie, choć część badaczy uważa, że regencję sprawowała wtedy królowa matka, Rycheza. Najbardziej prawdopodobne wydaje się jednak to, że po wygnaniu jej przez Bezpryma w 1031 r. i wywiezieniu królewskich insygniów koronacyjnych do Niemiec już nigdy do Polski nie wróciła. Kazimierz, późniejszy Odnowiciel, choć był człowiekiem wykształconym, nie potrafił wówczas zbudować mocnej władzy centralnej. Niemniej, gdy obejmował władzę, dzięki ostatnim dwóm latom ciężkiej pracy ojca Mieszka II po powrocie z wygnania „państwo polskie znowu było zjednoczone. Straciło wprawdzie zdobycze Bolesława Chrobrego, Mieszko zrzekł się godności królewskiej i uznał zwierzchnictwo króla Niemiec, ale rozpad został zahamowany" (Barański, 2005).



Książę Brzetysław FOT. DOMENA PUBLICZNA

Kazimierz wygnany

Mogłoby się wydawać, że teraz może być już tylko lepiej. Państwo polskie ma jednego władcę, jest jednolite, bez wydzielania poszczególnych jego części dla innych członków dynastii. A jednak doszło do zaburzeń społeczno-ideologicznych. Kto i dlaczego je wywołał? Gall Anonim wskazuje tu bardzo ogólnie wszystkich tych, „którzy przyrodzonym panom [Piastom – przyp. red.] nie dochowali wiary". Z imienia znany jest tylko jeden taki możny, Masław (Miecław, Mojsław), były urzędnik (cześnik) na dworze Mieszka II, który opanował Mazowsze. Kadłubek nazywa go człowiekiem „z podłego rodu służebnego, z dziada chłopa".

Możnowładcy, owi „poronieni książęta", doszli do wniosku, że mogą rządzić sami, bez „panów przyrodzonych". W kraju znajdował się tylko jeden prawowity władca, Kazimierz, Piast z krwi i kości, wnuk wielkiego Bolesława Chrobrego. Dostojnikom wystarczyło, aby każdy uszczknął coś dla siebie z terytorium państwa i rządził się tam po swojemu, bez kontroli ze strony władzy centralnej. Wygląda na to, że buntownicy lub – mówiąc wprost – zdrajcy jedności państwowej na początku współpracowali ze sobą, ale – jak to zazwyczaj bywa – później się poróżnili i pojawiły się tendencje, aby jeden z nich przejął pierwszeństwo. „Tymczasem spory pomiędzy »poronionymi książętami« doprowadziły do całkowitego rozprężenia państwa i dały sygnał do masowych rozruchów ludowych, wymierzonych zarówno przeciwko panującym porządkom feudalnym, jak i utożsamianemu z nimi chrześcijaństwu" (Urbański, 2005). Wówczas już jednak prawdopodobnie Kazimierza w kraju nie było. Mało bowiem wiadomo, które dokładnie wydarzenia polityczne spowodowały, że pod koniec roku 1037, a może na początku kolejnego, Piast opuścił Polskę.

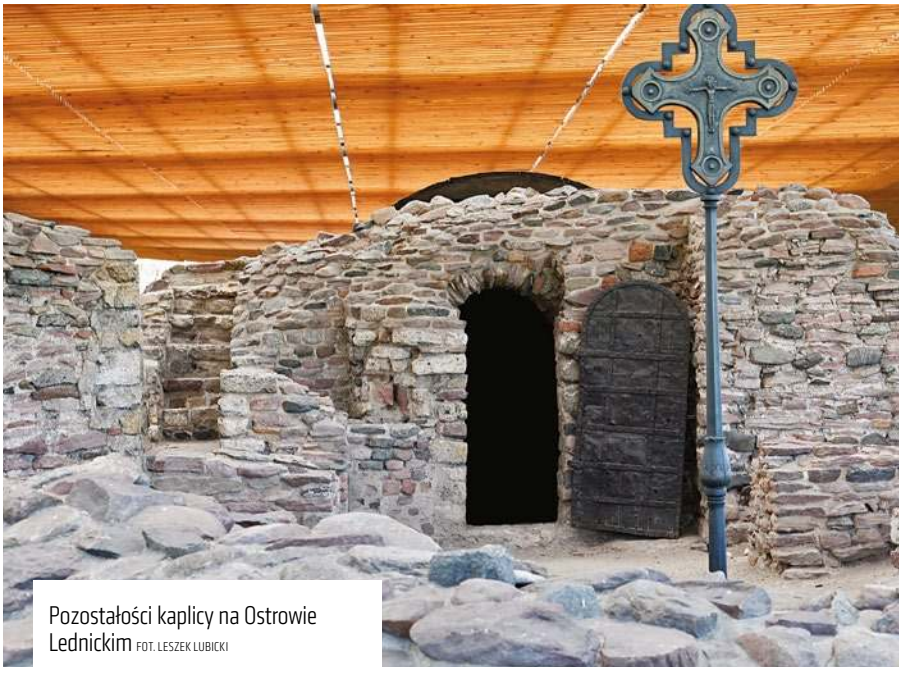
Bunt wybuchł, gdy Kazimierz przebywał w Małopolsce, i bodaj dlatego udał się on na Węgry. Tam rządy sprawował król Stefan, późniejszy święty. Był on wówczas sprzymierzeńcem władcy Czech Brzetysława, który zażyczył sobie, aby Piastowica „internować". Kazimierz stał się zatem więźniem, szanowanym oczywiście ze względu na pochodzenie, ale jednak stracił wolność. Polski więzień przebywał nad Dunajem aż do śmierci króla Stefana i dopiero nowy władca Węgier wypuścił go z niewoli. Tymczasem w Polsce działy się rzeczy okrutne.

Bunt

Zajrzyjmy zatem do pierwszej kroniki opisującej nasze dzieje. Jak zanotował Gall Anonim: „Tymczasem królowie i książęta sąsiedni, każdy od swojej strony, gnębili Polskę i do swego władztwa każdy przyłączał miasta i grody graniczne, lub zdobywszy, równał [je] z ziemią. I choć tak wielkie krzywdy i klęski znosiła Polska od obcych, to jeszcze nie rozsądniej i sromotniej dręczoną była

eprasa.pl 20df05361f





Pozostałości kaplicy na Ostrowie Lednickim FOT. LESZEK LUBICKI

Najcenniejszym łupem, który wywieźli Czesi, były relikwie św. Wojciecha, skradzione z Gniezna wraz z innymi relikwiami. Wokół tej sprawy istnieją jednak wątpliwości

przez własnych mieszkańców. Albowiem niewolnicy powstali na panów, wyzwoleńcy przeciw szlachetnie urodzonym, sami się do rządów wynosząc, i jednych z nich na odwrót zatrzymali u siebie w niewoli, drugich pozabijali, a żony ich pobrali sobie w sprośny sposób i zbrodniczo rozdrapali dostojeństwa. Nadto jeszcze, porzucając wiarę katolicką – czego nie możemy wypowiedzieć bez płaczu i lamentu – podnieśli bunt przeciw biskupom i kapłanom Bożym i niektórych z nich, jakoby w zaszczytniejszy sposób, mieczem zgładzili, a innych, jakoby rzekomo godnych lichszej śmierci, ukamienowali".

Wybuchł zatem w Polsce bunt. Jak uważa biograf Kazimierza Mieszkowica, nie był on winą księcia, ale „konsekwencją układu politycznego, który pozostawił mu w spadku ojciec". Był on „skierowany zarówno przeciw możnowładztwu, jak i Kościołowi, nazywany przez starszą historiografię reakcją pogańską" (Kętrzyński, 2010). Część historyków widzi tlące się zarzewie owych wystąpień już u schyłku życia Bolesława Chrobrego.

„Nie było jeszcze parafii, a raczej były same biskupstwa. Biskup i kilku towarzyszących mu zakonników nie mogli obsłużyć potrzeb duchowych potencjalnych »owieczek« na wielkich, trudno dostępnych obszarach puszczańskich państwa Mieszka i Bolesława" (Nowak, 2014). Wiemy, że proces chrystianizacji państwa polskiego trwał aż do wieku XIII. Możemy zatem zakładać, że zdecydowana większość owych „owieczek" nie miała najmniejszego pojęcia o nowej wierze, która jeszcze się nie zakorzeniła, i jeżeli część ludności wystąpiła przeciw Kościołowi, to dlatego, że postrzegany on był jako aparat ucisku zmuszający ich do porzucenia wiary przodków i przyjęcia nowego porządku. Jeżeli dodamy do tego to, że części elit również ten nowy system wartości nie odpowiadał, bo i oni musieli ponosić obciążenia na rzecz Kościoła, to zrozumiemy, że istniało niemało paliwa dla rozniecenia buntu. Jakbyśmy nazywali te rozruchy – buntem ludowym, reakcją pogańską czy nawet rewolucją społeczną o podłożu ekonomicznym – wydaje się, że każdy tutaj występował wówczas przeciw każdemu. Możni walczyli między sobą o przywództwo, a chłopi wystąpili przeciw nim i Kościołowi, ponieważ obydwa te stany były utożsamianie z władzą. „Oprócz obciążeń związanych z utrzymaniem wojska i administracji na lud spadła dodatkowo dziesięcina. Dopóki państwo było silne i osiągało sukcesy, ludzie to wytrzymywali. Ale kryzys militarny pociągnął za sobą upadek struktur władzy i wywołał chaos" (Wyrozumski, „Władcy", 2018). Musimy tutaj wspomnieć, że pomimo takiego stanu rzeczy rozruchy te nie doprowadziły do upadku najważniejszych ośrodków państwa wraz z kościołami. Do czasu jednak. Wcześniej czy później

eprasa.pl 20df05361f



Katedra w Gnieźnie FOT. LESZEK LUBICKI

ktoś musiał uznać, że skoro sąsiad tak bardzo osłabł, to należy to wykorzystać. Oczywiście zbrojnie, a było co łupić...

Najazd

W sąsiednich Czechach rządził wówczas wojowniczy książę Brzetysław. Brak władzy centralnej, chaos i słabość Polski spadły mu jak gwiazdka z nieba. Trzeba było to wykorzystać, tym bardziej że – jak pięknie ujął to Jacek Komuda – „Piastowie sporo nagrabili sobie u Czechów, próbując podporządkować ich sobie. Najpierw Mieszko ok. 990 r. odebrał im Małopolskę z Krakowem i Śląsk, a jego syn Bolesław w 1003 r. – Morawy. Następnie Chrobry pomógł przejąć władzę księciu Bolesławowi III Rudemu, którego potem wezwał do Polski i oślepił, wreszcie sam obejmował rządy w Pradze dopóty, dopóki nie wyparł go stamtąd cesarz Henryk II".

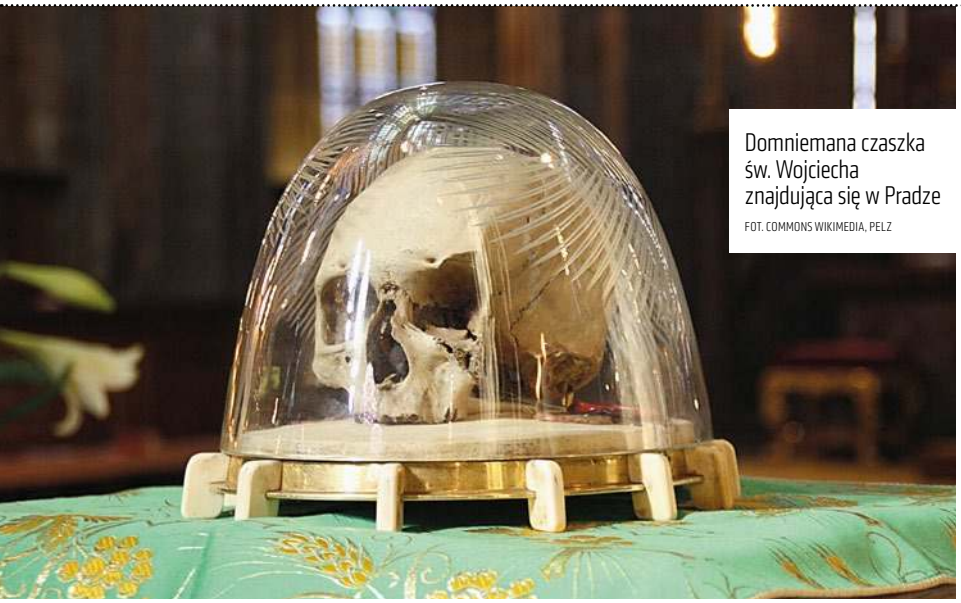
Bolesław Rudy był cały czas przetrzymywany w Krakowie i – jak pisał Paweł Jasienica – „aż do 1034 roku snuł się po Wawelu ślepy więzień odziany w książęce szaty i otaczany honorami". Dodatkowo Polska miała już arcybiskupstwo, dzięki któremu zarówno Bolesław Chrobry, jak i jego syn Mieszko II mogli się koronować. Czesi swojego arcybiskupa nie posiadali, bo nie mieli relikwii swojego rodaka, św. Wojciecha. Brzetysław ruszył więc z wojskiem do Polski, choć według czeskiego kronikarza Kosmasa była to pielgrzymka mająca, oprócz celu łupieżczego, także wymiar religijny. Takie to były czasy, że choć jedno z drugim całkowicie się wyklucza, to potrafiono to jakoś uzasadnić. „Wyprawa po relikwie św. Wojciecha i ich przeniesienie do stolicy Czech miały podnieść zasadniczo pozycję państwa nad Wełtawą, otworzyć drogę do własnego arcybiskupstwa, do wzmocnienia pozycji Pragi nie tylko wobec rozbitej już Polski, ale wobec niemieckiego cesarstwa także" (Nowak, 2014).

Tak oto latem 1038 r. Brzetysław rusza niszczyć osłabionego sąsiada. Przychodzi mu to łatwo, ponieważ nikt nie potrafi zorganizować obrony. „Poronieni książęta" nie są w stanie zapobiec w jakikolwiek sposób najazdowi z południa. Ta część z nich, która uszła cało z powstania ludowego, chroni się na Mazowszu u Masława, gdzie panował jako taki porządek – czeski książę nie zamierzał atakować tych ziem. Gall Anonim zapisał, że „ci zaś, co uszli z rąk wrogów lub którzy uciekali przed buntem swoich poddanych, uchodzili za rzekę Wisłę na Mazowsze". Brzetysław Śląsk i Małopolskę traktuje jako ziemie kiedyś przez Piastów oderwane od Czech i włącza je do państwa Przemyślidów. Wyjątkowo burzliwie jest natomiast w Wielkopolsce. Czesi przechodzą przez dobrze ufortyfikowany Giecz – jego mieszkańcy poddają się bez walki i zapewne dzięki temu unikają rzezi. Brzetysław zabiera z tego grodu brańców i wysyła ich do swojego państwa. Osiedleni zostają oni w jednym miejscu i – jak pisał Kosmas – książę „dał im niemałą część lasu zwanego Cemin, ustanawiając jednego z nich zwierzchnikiem i sędzią, i postanowił, aby tak oni, jak i ich potomkowie żyli na wieki według prawa, jakie mieli w Polsce, i od miasta, z którego się wywodzili, aż do dziś zwani są Gieczanami".



Josef Matyáš Trenkwald „Przeniesienie szczątków św. Wojciecha do Pragi" FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl 20df05361f



Domniemana czaszka św. Wojciecha znajdująca się w Pradze

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PELZ

Następnie Czesi dalej plądrują Wielkopolskę i niszczą doszczętnie najważniejsze miasta – Poznań i Gniezno, a także „wyspę władców", czyli Ostrów Lednicki, który nigdy już nie podniesie się z upadku (podobnie jak Giecz). Jednak to Gniezno jest ich głównym celem. „Słabo broniony gród został prędko zdobyty, zachowane tam skarby zagrabili Czesi. Najcenniejszym łupem, jaki wywieźli z Polski, były relikwie św. Wojciecha, Pięciu Braci Męczenników, a także doczesne szczątki Radzyma-Gaudentego [...]. Wracając z Polski, obsadził Brzetysław grody śląskie czeskimi załogami i przyłączył tę ziemię do Czech" (Barański, 2005).

Zachwyt Czechów

Dla lepszego zrozumienia tej łupieżczej wyprawy i krzywd, które Polska doznała w obszarze ludzkim i materialnym, przytoczmy relację autorstwa bodaj najlepiej poinformowanego w tej sprawie kronikarza Kosmasa z Pragi. Widać w niej doskonale, jak wielka duma i rozkosz zapanowały w Czechach po powrocie Brzetysława z Polski: „Z całym świętym ciężarem przybyto do Czech pomyślnie i radośnie w przeddzień Świętego Bartłomieja apostoła (23 VIII), blisko stolicy Pragi rozłożono obóz koło rzeczki Rokytka, gdzie o świcie duchowieństwo i wszystek lud wyszli z procesją. Jej długie szeregi zaledwie zdołały się rozwinąć na szerokim polu; taka wielka bowiem była procesja: sam książę i biskup dumni nieśli na ramionach słodki ciężar męczennika Chrystusowego Wojciecha; potem opaci pospołu nieśli szczątki pięciu braci, następnie archiprezbiterzy radowali się brzemieniem arcybiskupa Gaudentego; za nimi postępowało dwunastu wybranych kapłanów z trudem dźwigających ciężar złotego krucyfiksu – albowiem książę Mieszko [kronikarz pomylił go z Bolesławem Chrobrym – przyp. red.] trzy razy sam siebie ważył tym złotem; na piątym miejscu niesiono trzy ciężkie płyty ze złota, które były położone koło ołtarza, gdzie spoczywało święte ciało. Największa płyta pięć łokci długa i dziesięć dłoni szeroka, była bardzo ozdobiona drogimi kamieniami i kryształowymi bursztynami, na skraju której ten wiersz był napisany: »Waży to dzieło aż trzysta grzywien złota«. Na końcu więcej niż na stu wozach wieźli olbrzymie dzwony i wszystek skarb Polski, za nimi postępował niezliczony tłum znakomitych mężów, z rękami skrępowanymi żelaznymi pętami i zdławionych obręczami na szyje...".

Dokonały się wielki rabunek i zniszczenie, a Gall Anonim tak wyraził swój smutek: „A wspomniane miasta tak długo pozostały w opuszczeniu, że w kościele św. Wojciecha męczennika i św. Piotra apostoła dzikie zwierzęta założyły swe legowiska". Co do rabunku relikwii św. Wojciecha istnieją jednak wątpliwości. Maciej z Miechowa (Miechowita) na początku XVI w. tak o tym pisał w swojej „Kronice Polaków": „Za namową biskupa Pragi Sewera, który wmieszał się w tę wojnę, ograbił katedrę metropolitalną Najświętszej Maryi [Panny oraz] poszukiwał ciała świętego Wojciecha, które pewni prałaci i kapłani [tego] kościoła, wyjąwszy z grobowca, ukryli w ziemi. Ponieważ [go] nie odnalazł, przekonywał kapłanów [tego] kościoła nie tylko zniewagami, ale także bardzo wspaniałymi obietnicami do ujawnienia ciała. Oni [jednak] sprytnie pokazali [mu] ciało arcybiskupa gnieźnieńskiego Gaudentego, odziane w szaty pontyfikalne, [a] Czesi je zagrabili, wierząc, że jest to ciało świętego biskupa Wojciecha".

Jak pisał Maciej Rosalak: „Dziś szczególnie dziwić, a nawet przerażać może fakt, że głównym celem jego [Brzetysława – przyp. red.] bezlitosnej, łupieżczej wyprawy, podczas której pozbawił życia wielu ludzi, był rabunek zwłok człowieka nieżyjącego od ponad 40 lat". Czy jednak cel ten osiągnął? Posłuchajmy, co sądzi o tym wybitny mediewista Jerzy Wyrozumski: „Natomiast tak naprawdę do dziś nie wiadomo, czy zabrali ciało św. Wojciecha. Brzetysław był przekonany, że tak, ale potem udowadniano, że nie mógł go zabrać, ponieważ był pochowany w miejscu, do którego Czesi nie dotarli. Na początku XII w., podczas odbudowy katedry gnieźnieńskiej, doszło zresztą do cudownego odnalezienia głowy św. Wojciecha [...]. Utrwaliła się więc tradycja, że zarówno Gniezno, jak i Praga mają relikwie św. Wojciecha. Ale które są prawdziwe, tego nikt nie rozstrzygnie" („Władcy", 2018).

W 1038 r. wydawało się, że państwo pierwszych Piastów przestanie istnieć. W kolejnym roku książę Kazimierz wrócił jednak do kraju i rozpoczął budowę drugiej dynastii piastowskiej. Kazimierz Mieszkowic, słusznie nazwany Odnowicielem, po prawie 20 latach rządów pozostawił po sobie tak mocne fundamenty państwowości, że jego syn Bolesław II Szczodry mógł za lat kilkanaście przywdziać, wzorem swojego pradziada i dziada, królewską koronę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Barański M.K., ***„Dynastia Piastów w Polsce"****, Warszawa 2005; Garlicki A. (red.),* ***„Poczet królów i książąt polskich"****, Warszawa 1991; Kętrzyński S.,* ***„Kazimierz Odnowiciel"****, Kraków 2010; Labuda G.,* ***„Pierwsze wieki monarchii piastowskiej"****, Poznań 2012; Maciorowski M., Maciejewska M.,* ***„Władcy Polski"****, Warszawa 2018; Nowak A.,* ***„Dzieje Polski", t. 1,*** *Kraków 2014; Urbański M.,* ***„Poczet królów i książąt polskich"****, Warszawa 2005.*

eprasa.pl 20df05361f



Adolf Hitler (pierwszy z prawej) wśród współtowarzyszy broni FOT. BUNDESARCHIV/WIKIPEDIA

Pierwsza wojna światowa / Łącznik z podkoloryzowanym życiorysem

Hitler w okopach



Jakub Ostromęcki

Nie był ani tchórzem, ani herosem. Wojenna opowieść przyszłego Führera to w dużej części wytwór jego własnej wyobraźni

Każde dziecko w III Rzeszy wiedziało, że Wódz był bohaterem wielkiej wojny. Przez cztery lata swoim stalowym spojrzeniem czujnie lustrował pozycje wroga, będąc zawsze gotowy do walki i wykonywania najtrudniejszych rozkazów. Raz wyciągnął spod ognia swojego dowódcę, a kiedy indziej, mając tylko rewolwer, wziął do niewoli kilkunastu Anglików.

Przyszły wódz, w czasie wojny kilkukrotnie ranny, o listopadowej zdradzie i hańbiącym zawieszeniu broni dowiedział się w szpitalu. Nadeszły straszne dni upokorzenia, chaosu i upadku wartości. I to wtedy, zaraz po zakończeniu wojny, twardy weteran postanowił, że zostanie politykiem i przywróci Niemcom chwałę i czystość.

Ile kłamstw było w opowieści, którą przez lata karmiono niemieckie dzieci? Z mitem bohaterskich osiągnięć przyszłego Führera najlepiej rozprawił się Thomas Weber w książce „Pierwsza wojna Hitlera".

Nie w tej armii, co trzeba

2 sierpnia 1914 r. na Odeonsplatz w Monachium zgromadził się niemały tłum. Ogłoszono właśnie przystąpienie Niemiec do wojny. W górę lecą czapki i kapelusze. Pośród męskich głównie twarzy da się wypatrzyć blade oblicze Hitlera. Cieszy się jak wszyscy. Sprytny fotograf uchwycił jednak tylko część placu, na której stali wiwatujący. Reszta dość sporego obszaru pozostała tego dnia pusta. Wojenny entuzjazm w Niemczech wcale nie był tak wielki, jak chciała tego późniejsza propaganda. Nawet Heinrich Himmler zanotował wówczas, że jego rodacy okazywali zbyt mało radości. Ludzie ustawieni wzdłuż torów, którymi pociągi wiozły rekrutów na front, wiwatowali, bo byli dobrze wychowani, chcieli dodać otuchy młodym chłopakom lub po

eprasa.pl 20df05361f

prostu słuchali się burmistrza. Po chwili na stacjach można było zobaczyć smutek i obawy.

Dziś w armiach europejskich esprit de corps tworzy się najczęściej na poziomie dywizji lub brygady. Na początku poprzedniego stulecia więzi te powstawały w pułku, który na froncie wchodził w skład większej jednostki. Inaczej też niż dziś, w 1914 r. żołnierze pułku pochodzili często z jednego rejonu kraju. Hitler trafił do 16. Pułku Piechoty Rezerwowej, od nazwiska swojego pierwszego dowódcy zwanego potocznie pułkiem Lista. „Rezerwowy" w ówczesnej niemieckiej terminologii oznaczało, że większość jego żołnierzy nigdy nie służyła wcześniej w wojsku. Wbrew późniejszej propagandzie nie był to pułk ochotniczy, ale składający się w ok. 70 proc. z poborowych. Ochotnikami byli w tej jednostce przeważnie studenci, a wśród poborowych przeważali bawarscy chłopi. Do pułku trafili też Żydzi, a procent ochotników wśród nich był bardzo zbliżony do katolików i protestantów.

Hitler za Austro-Węgry walczyć nie chciał. Jego zdaniem były zepsute zgniłym kompromisem ze Słowianami i toczone rakiem żydostwa. Co innego homogeniczne narodowo Niemcy. Jak to jednak możliwe, że obcokrajowiec, obywatel Austro-Węgier, który w swoim państwie uchylał się od służby wojskowej, trafił do armii niemieckiej? Tu ręce rozkładają nawet największe autorytety naukowe. Najprawdopodobniej w ferworze rekrutacyjnej gorączki oficer z komisji wojskowej, widząc jedynie dokument meldunkowy, słysząc język i fanatyczny entuzjazm w oczach, nie wdając się w zbędne formalności, wpisał Hitlera na listę rekrutów. A tych Niemcy potrzebowały jak powietrza, szykując się do walki na dwóch frontach.

Żołnierze 16. Pułku po raz pierwszy przelali krew pod koniec października 1914 r. pod Geluveld we Flandrii. Zadanie było proste. Przejść zalesiony pagórek, potem kotlinkę i zdobyć wioskę na następnym pagórku, w której okopali się Brytyjczycy. Geluveld zdobyto, ale trudno to nazwać sukcesem. Była to raczej rzeź. Nacierający pułk wszedł między pozycje brytyjskie, dostał się w ogień krzyżowy i stracił 75 proc. stanu osobowego. Z 25 oficerów pozostało czterech... Większość kolegów Hitlera zginęła od broni ręcznej, co dobrze świadczy o indywidualnym wyszkoleniu Brytyjczyków biorących udział w tej bitwie, ale źle o ich artylerii. Przez następne cztery lata pułk będzie przemieszczał się między Flandrią a Lille i Arras we Francji, na pewien czas trafiając też do niemieckiej Alzacji. Okresy względnego spokoju, gdy gorąco robiło się głównie na patrolach, przerywane były krwawymi bitwami: pod Neuve-Chapelle w marcu 1915 r., pod Fromelles 19 lipca 1916 r. (brytyjskie uderzenie mające odwrócić uwagę od ofensywy nad Sommą), walki o grzbiet Vimy w 1917 r., o Arras, o kanał Aisne i wielka ofensywa z wiosny 1918 r. zwana Kaiserschlacht, będąca łabędzim śpiewem armii niemieckiej na zachodzie. W większości z tych bitew 16. Pułk był w defensywie. Tracił kilka kilometrów terenu, ale wróg z powodu koszmarnych strat nie mógł posuwać się dalej. I tak do następnej rzezi.



Pole bitwy pod Geluveld
FOT. DOMENA PUBLICZNA



Niemieccy żołnierze podczas ataku gazowego FOT. BUNDESARCHIV/WIKIPEDIA

Szczęściarz

Hitler zawsze spadał na cztery łapy. Pierwszy raz szczęście uśmiechnęło się do niego pod Geluveld w 1914 r. Był w batalionie, który poniósł mniejsze straty. „Gdyby był w kompanii w 3. Batalionie, prawdopodobieństwo jego śmierci w ciągu tygodnia walk byłoby dwukrotnie wyższe" – pisał Weber. 9 listopada 1914 r. został łącznikiem sztabowym i pozostał nim do końca wojny.

W listopadzie pociski artyleryjskie dwa razy trafiały obok miejsca, gdzie ulokował się sztab, zabijając pułkowego lekarza i raniąc kilku oficerów. Hitlera

eprasa.pl 20df05361f

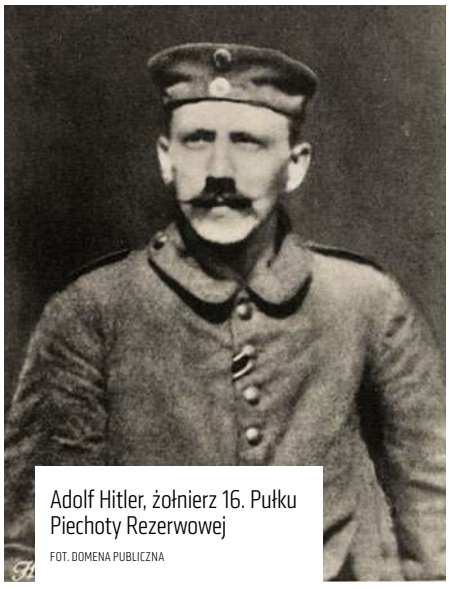
tam akurat nie było. Nie było go też podczas najbrutalniejszych walk nad Sommą, bo leczył ranne udo. Rekonwalescencja i urlop zajęły łącznie pięć miesięcy. Na zroszony krwią grzbiet Vimy wrócił już po tym, jak pułk został przeniesiony w bezpieczniejsze miejsce. 21 sierpnia 1918 r. wyjechał do Norymbergi na szkolenie łącznościowców, a w tym czasie pułk toczył ciężkie walki o utrzymanie terenów zdobytych w czasie letniego Kaiserschlachtu. W październiku 1918 r. został potraktowany niewielką, jak się potem okazało, dawką gazu musztardowego.

Łącznik łącznikowi nierówny. Kompanijny i batalionowy, biegając między płytkimi okopami i lejami po bombach, narażeni są na ogień nieprzyjaciela tak samo jak ich koledzy szykujący się do szturmu. Co innego łącznik pułkowy – ten dociera tylko do okopów usytuowanych w głębi swojego ugrupowania i wraca do sztabu. Nie sięgnie go raczej ogień karabinów, moździerzy czy wybuch miny. Hitler nie musiał spędzać tygodni w błocie i kałużach po kolana, czuć smrodu trupów ludzi i zwierząt, opędzać się od szczurów podgryzających łydki. Łącznicy i kurierzy mieszkali w dobrze wyposażonych bunkrach, czasem domach, farmach czy – jak w Montdidier – w bezpiecznym zameczku. Do linii walk trzeba było iść czasem godzinę. W 1918 r. w okolicy kanału Aisne dowódca pułku Anton von Tubeuf wziął Hitlera na polowanie jako naganiacza zwierzyny, podczas gdy jego koledzy kulili się pod angielskim i francuskim ostrzałem. „Świnie z tyłów" – tak o żołnierzach ze sztabów mawiano w okopach. Na jednym ze zdjęć uwieczniono ośmiu łączników sztabowych – tylko jeden z nich nie przeżył wojny.

Hitler uparcie twierdził jednak, że przez całą wojnę był żołnierzem frontowym, a po rekonwalescencji „wracał do okopów". W „Mein Kampf" tak o tym pisał: „Odtąd można powiedzieć, że ryzykowałem życie każdego dnia, spoglądając śmierci w oczy. To prawdziwy cud, że jestem zdrów i cały". O swojej służbie łącznika pisał bezczelnie, że jest „nieco mniej brudna, ale znacznie bardziej niebezpieczna". O Geluveld mawiał: „zdobyliśmy wioskę", choć w rzeczywistości zdobył ją (i to w sposób pyrrusowy) sąsiedni batalion. Aby dodać sobie wagi, nosił zrolowane epolety – robili tak żołnierze ze strefy walk, aby przeciwnik nie rozpoznał stopnia i jednostki. Tymczasem większość sztabowców pułkowych, unikając taniego pozerstwa, nosiła je odsłonięte.

W 16. Pułku Krzyże Żelazne przyznawano według klucza koleżeńskiego, za układy z dowódcą, rzetelność, dyspozycyjność. Nawet oficjalne pismo pułkowe przyznawało po wojnie: „Zachowując uczciwość wobec kolegów, którzy cały czas znajdowali się na pierwszej linii, jako odznaczenie otrzymali wyłącznie rany, musimy napisać, że słuszne przekonania naszego bawarskiego następcy tronu – iż Krzyże Żelazne winny trafiać głównie do oddziałów bojowych – niestety nie było wcielane w życie". Hitler był beneficjentem tej patologii. Żelazny Krzyż, odznaczanie przyznawane za odwagę na polu bitwy, dostał też Alexander Moritz Frey – pisarz, fantasta i kpiarz, który sam przyznawał, że trzymał się z dala od niebezpieczeństw.

Najbardziej bezczelne kłamstwo nazistowskiej propagandy dotyczyło okoliczności, w których Hitler dostał po raz drugi Żelazny Krzyż. Broszurki dla młodzieży pisały, że przyszły Führer „znalazł się w leju po pocisku zajętym przez Anglików, którzy natychmiast wezwali go do poddania się. Hitler wyjął pistolet, swą jedyną broń, i nie tylko trzymał za jego pomocą Anglików w szachu, ale także zdołał wziąć ich do niewoli i odprowadzić do dowództwa pułku". W innej wersji mowa była o 12 Francuzach. A w rzeczywistości owych jeńców pochwycił ppor. Hugo Gutmann, Żyd, bezpośredni dowódca Hitlera. W opisie jego działań zanotowano: „Mimo że nieprzyjaciel cofał się na zachód, dowodzony przez Gutmanna patrol zdołał zadać nieprzyjacielowi poważne straty. 31 05 1918 Gutmann na ochotnika udał się sam na rozpoznanie północnego brzegu Aisne, wciąż obsadzonego przez nieprzyjaciela. Osobiście wziął jeńców, a w wyniku jego meldunku rozpoznawczego pułk mógł kontynuować uderzenie na brzegu Aisne".



Adolf Hitler, żołnierz 16. Pułku Piechoty Rezerwowej

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Co zdziałał?

Hitler pozował na bohatera, kłamał, ale dekownikiem nie był. 1 listopada 1914 r., po bitwie o Geluveld, awansowano go na gefrajtra. Wbrew obiegowej opinii nie jest to kapral, tylko starszy szeregowy. 15 listopada 1914 r. ppłk Philipp Engelhardt wyszedł nierozważnie z lasu rozejrzeć się po przedpolu i natychmiast padł ranny. Hitler był w grupie czterech żołnierzy, którzy rzucili się, by go ratować. Dwa tygodnie później został za to odznaczony Krzyżem Żelaznym drugiej klasy. 5 października 1916 r. w schron łączników uderzył pocisk artyleryjski. Hitler został ranny w lewe udo, między plotki można włożyć jednak opowieść o tym, że miał wówczas również stracić jądro. W 1918 r. ppor. Hugon Gutmann, który – jak pamiętamy – wziął do niewoli kilkunastu Francuzów, kilka miesięcy po swoim wyczynie, najprawdopodobniej za rzetelne i szybkie przekazywanie meldunków pod ogniem artylerii, rekomendował Hitlera do odznaczenia Krzyżem Żelaznym pierwszej klasy. Nosił on dumnie to odznaczenie do końca życia. W nocy z 13 na 14 października 1918 r. niedaleko flamandzkiego miasteczka Wervik grupka łączników, w tym Hitler, padła ofiarą ataku gazowego, co skończyło się dla Adolfa porażeniem oczu. Stąd trafił do szpitala w Pasewalku, gdzie zastał go koniec wojny. Jak się okazuje, nie leczono go tam na wydziale okulistycznym, ale psychiatrycznym. Żelazny duch przyszłego Führera został w końcu pokonany przez szok pourazowy.

eprasa.pl 20df05361f



Cesarz Wilhelm II na froncie zachodnim, kwiecień 1918 r.
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NATIONAL ARCHIVES AT COLLEGE PARK

Alexander Moritz Frey pisał po latach o swoim koledze: „Twierdzenia, jakoby był tchórzem, są nieprawdziwe. Nie był on jednak też odważny – brakowało mu odpowiedniego charakteru. Był zawsze czujny, gotów do działania, pobłażliwy i bardzo troskliwy o samego siebie, wszelkie koleżeństwo było tylko pozorem, służącym podniesieniu własnej popularności i robieniu wrażenia". Wojna na Zachodzie trwała 51 miesięcy. Z tego okresu Adolf Hitler spędził na wojaczce 42 miesiące, czyli dłużej niż niemiecka średnia.

Hitler twierdził, że już w okresie wielkiej wojny wykrystalizowały się jego narodowosocjalistyczne poglądy. Z tamtego okresu zachował się tylko jeden list do kolegi, w którym widać, co wówczas siedziało w głowie przyszłego kanclerza: „Wszyscy życzymy sobie tylko jednego: żebyśmy wkrótce mieli szanse wyrównać rachunki z tą bandą, pobić ich niezależnie od strat i żeby szczęśliwcy spośród nas, którym uda się powrócić do ojczyzny, zastali ją czystszą, mniej naszpikowaną obcymi wpływami, tak by codzienne ofiary i cierpienia setek tysięcy i płynący tu każdego dnia potok krwi w walce z wielonarodowym wrogiem nie tylko pozwalały pobić zewnętrznych wrogów Niemiec, ale także powalić nasz wewnętrzny internacjonalizm. To będzie znacznie cenniejsze od wszelkich zdobyczy terytorialnych".

Był więc już wówczas szowinistą, być może antysemitą. Mierził go zwyczaj spontanicznych bożonarodzeniowych rozejmów między żołnierzami niemieckimi i brytyjskimi. „O czymś takim nie powinno się w czasie wojny nawet rozmawiać" – syczał z neoficką pasją niczym docent Furman w serialu „Alternatywy 4". Frey twierdził, że jego kolega już wtedy zaczął pracować nad warsztatem retorycznym i przemówieniami. Lubił zwierzęta i bolał nad losem psa Foxla, który przypałętał się do łączników we Flandrii. Do kościoła nie chodził, wobec religii był obojętny. Z innymi łącznikami żył w dobrze. Nie chodził jednak z nimi na prostytutki, nie komentował kobiecych wdzięków, nie pił. Dużo za to czytał i rysował. Robił nawet karykatury. Z rodziną nie utrzymywał kontaktów, bo jego rodziną był sztab. Jednym słowem – dziwak. Oficerowie mówili o nim: „Posłuszny, ochoczy, skromny".

Problem z Hitlerem polegał na tym, że swoje poglądy po latach przypisywał reszcie żołnierzy. Było to kompletne nieporozumienie. Komentując pierwsze trudności na froncie na przełomie lat 1914 i 1915, roił o jakiejś powszechnej przemianie wśród żołnierzy, zdławieniu strachu, który „kłamliwie miał się manifestować jako rozsądek", triumfie obowiązku nad instynktem. Prawda wyglądała jednak tak, że w 16. Pułku po pierwszej rzezi w okopach nastąpił upadek, a nie wzrost morale. Wzrosła liczba dezercji, samookaleczeń, paniki, niesubordynacji. Poprawa morale przyszła dopiero w pierwszej połowie 1917 r. z powodu pomyślnych wieści z frontu wschodniego. Po załamaniu się Kaiserschlachtu nastroje znów się pogorszyły. W „Mein Kampf" wyczytamy, że była to wina defetystycznych listów pisanych do żołnierzy przez głupie kobiety, brytyjskiej propagandy oraz oczywiście kryjącego się za wszystkim Żyda.

16. Pułk jako całość nie wszczął jednak buntu ani nie stchórzył. Ostatnim spoiwem jednostki było przekonanie, że w sporze z ententą to jednak Niemcy mają rację, więzi koleżeńskie, wstyd i wreszcie strach przed więzieniem. Na pewno nie był już nim żarliwy, uduchowiony patriotyzm propagowany w gazetach przez intelektualistów i duchownych. Żołnierze sztabowi, w tym Hitler, byli jednak bardziej podatni na propagandę – w dużo mniejszym stopniu doświadczyli koszmaru okopów, wznosili też bardziej wojownicze, szowinistyczne hasła. Doświadczenie wojny w przypadku Hitlera i żołnierzy frontowych było inne. Mało który z piechurów z okopów stwierdziłby, że okres wojny to najszczęśliwsze dni jego życia.

Spec od pogadanek

Po klęsce Hitler powrócił do Monachium, zostając w Reichswehrze. Co ciekawe, był w niej również wtedy, gdy władzę w Bawarii siłą przejęli komuniści. Nie wystąpił przeciw nim. Bawarska Republika Rad została obalona przez wojsko i ochotnicze freikorpsy. Jednostka Hitlera do nich nie dołączyła. Tak naprawdę nie wiadomo, co przyszły kanclerz wówczas robił – najprawdopodobniej wraz z resztą żołnierzy czekał na rozwój wypadków. Po obaleniu komunistów dalej był w wojsku, gdzie zajmował się propagandą antybolszewicką, organizując pogadanki dla żołnierzy. Nie jest jednak prawdą, że już w 1919 r. Hitler był zdeklarowanym narodowym socjalistą. Stał się nim dopiero dwa–trzy lata później. W jego głowie kotłowała się wciąż sprzeczna mieszanka poglądów skrajnie prawicowych i skrajnie lewicowych.

W latach 1919–1920 poglądy Hitlera, choć niespójne, wciąż różniły się od reszty kolegów. Siedemdziesiąt procent żołnierzy głosowało bowiem na partie republikańskie, dziś powiedzielibyśmy mainstreamowe, czyli socjalistów, liberałów i ludowców. O komunizmie czy faszyzmie mało kto z nich chciał słyszeć. Jak pisze Weber: „Większość z nich nie została zbrutalizowana, zradykalizowana ani upolitycznionа przez wojnę, lecz powróciła w swoje rodzinne strony". Czas na radykalizację mas przyszedł dopiero w okresie wielkiego kryzysu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 20df05361f



Admirał Heihachirō Tōgō na pokładzie flagowego pancernika „Mikasa” FOT. COMMONS WIKIMEDIA, TŌJŌ SHŌTARŌ

1905 r. / Zagłada 2. Eskadry Floty Pacyfiku

Pogrom pod Cuszimą



Mikołaj Iwanow

Rosyjskie okręty były bez szans w starciu z japońską flotą. Klęska na Pacyfiku była dla Mikołaja II wyjątkowo bolesnym ciosem

Cieśnina Cuszimska, 27 i 28 maja 1905 r. Starły się wówczas ze sobą dwie potężne marynarki wojenne: Imperium Rosyjskiego i Imperium Japońskiego. Po stronie rosyjskiej w bitwie uczestniczyło 38 okrętów, po stronie japońskiej – ponad 100. Większa liczba okrętów japońskich w żadnym wypadku nie świadczyła jednak o zdecydowanej przewadze floty dalekowschodniego mocarstwa. Jeśli bowiem chodzi o liczbę najlepiej uzbrojonych okrętów (pancerników), to Rosjanie mieli wyraźną przewagę: 9 do 4. Względna równowaga istniała w liczbie krążowników i jedynie w kategorii mniejszych okrętów (niszczycieli) Japończycy mieli znaczną przewagę.

Straty rosyjskie podczas bitwy pod Cuszimą są przerażające. Spośród 38 okrętów i innych jednostek zatonęło 21 (siedem pancerników, pięć krążowników pancernych, jeden krążownik pomocniczy, pięć niszczycieli i trzy transportowce). Większość zniszczyła flota japońska, ale cześć została zatopiona lub wysadzona w powietrze przez własne załogi. Siedem okrętów poddano Japończykom razem z załogami (dwa pancerniki, dwa krążowniki, jeden niszczyciel oraz dwa statki szpitalne). Do końca wojny w neutralnych portach internowano sześć okrętów (trzy krążowniki pancerne, jeden niszczyciel, dwa transportowce). Do Władywostoku udało się przedostać jedynie czterem jednostkom. Były to krążownik „Ałmaz”, niszczyciele „Brawy” i „Grozny” oraz duży transportowiec „Anadyr”. Z 16 170 marynarzy na pokładach rosyjskich okrętów zginęło 5045, rannych zostało 363, a do niewoli trafiło 7282 Rosjan, w tym dwóch admirałów. Na internowanych jednostkach pozostało 2110 osób. Do Władywostoku natomiast przedarło się jedynie 870 marynarzy. Ponad 500 członków załóg przepadło bez wieści.

Flota japońska straciła natomiast jedynie trzy niszczyciele. Zabitych zostało 116 japońskich marynarzy, a 538 poniosło rany. Straty obu stron, jak widać, są

eprasa.pl 20df05361f

nieporównywalne. Bitwa w Cieśninie Cuszimskiej była więc istnym pogromem floty rosyjskiej. Paradoksem może wydawać się to, że Rosja w tym czasie była uważana za trzecią największą morską potęgę świata. Jej flota ustępowała jedynie marynarkom wojennym Wielkiej Brytanii i Niemiec.

Dwaj admirałowie

Sama idea wysłania większości Floty Bałtyckiej na Daleki Wschód była bardzo kontrowersyjna. Okręty miały pokonać ponad 20 tys. mil morskich, a cała wyprawa była obliczana na ponad pół roku. W związku z tym załogi przypłynęły na Daleki Wschód wymęczone, a ich okręty trapione były niezliczonymi awariami. Na dodatek zmienił się cel wyprawy. Początkowo planowano, że 2. Eskadra Floty Pacyfiku – taką nazwę otrzymały okręty Floty Bałtyckiej wysłane wokół Afryki na Daleki Wschód – miała połączyć swe siły z 1. Eskadrą Floty Pacyfiku zablokowaną przez Japończyków w Port Artur. Jednak 2 stycznia 1905 r. Japończycy zdobyli Port Artur, zatapiając w nim wcześniej okręty rosyjskie. W nowej sytuacji strategicznej sens i szanse powodzenia dalszego rejsu 2. Eskadry stanęły pod znakiem zapytania. W Petersburgu podjęto jednak decyzję o kontynuowaniu wyprawy, stawiając wszak przed eskadrą nowe zadanie. Miała się ona przebić do Władywostoku i stamtąd zagrażać Japończykom.

Sęk w tym, że od początku wojny to flota japońska miała inicjatywę strategiczną w swych rękach. Bardzo istotną rolę odegrał tu głównodowodzący floty japońskiej adm. Heihachirō Tōgō, który wcześniej przez niemal dekadę szkolił się i odbywał praktyki w marynarce angielskiej. Kiedy w 1903 r. minister marynarki Gonnohyōe Yamamoto mianował adm. Tōgō głównodowodzącym floty cesarskiej, nominacja ta zdziwiła wielu prominentów, łącznie z cesarzem, który chciał zapoznać się z kulisami tej decyzji. Yamamoto miał podobno wyjaśnić, że „Tōgō jest człowiekiem obdarzonym wielkim szczęściem".

Tego samego nie można powiedzieć o jego głównym przeciwniku – rosyjskim admirale Zinowiju Rożestwienskim, który od samego początku nie wierzył w powodzenie wyprawy na Daleki Wschód. Wielki książę Aleksander Michajłowicz tak opisywał rozmowę z Rożestwienskim i ministrem morza Fiodorem Avellanem, przeprowadzoną przed rozpoczęciem kampanii: „Rożestwienski oświadczył, że jest gotowy natychmiast udać się do Port Artur i spotkać się twarzą w twarz z Japończykami. Jego niemal nelsonowskie przemówienie zabrzmiało komicznie w ustach człowieka, któremu powierzono niemal całą władzę nad naszą flotą. Zapewniał, że gotów jest zginąć, ale wątpi w powodzenie wyprawy. Przypomniałem mu, że Rosja ma prawo oczekiwać od swoich dowódców marynarki wojennej czegoś bardziej znaczącego niż chęć poświęcenia swego życie… i ten człowiek z samobójczą mentalnością miał dowodzić naszą flotą!".



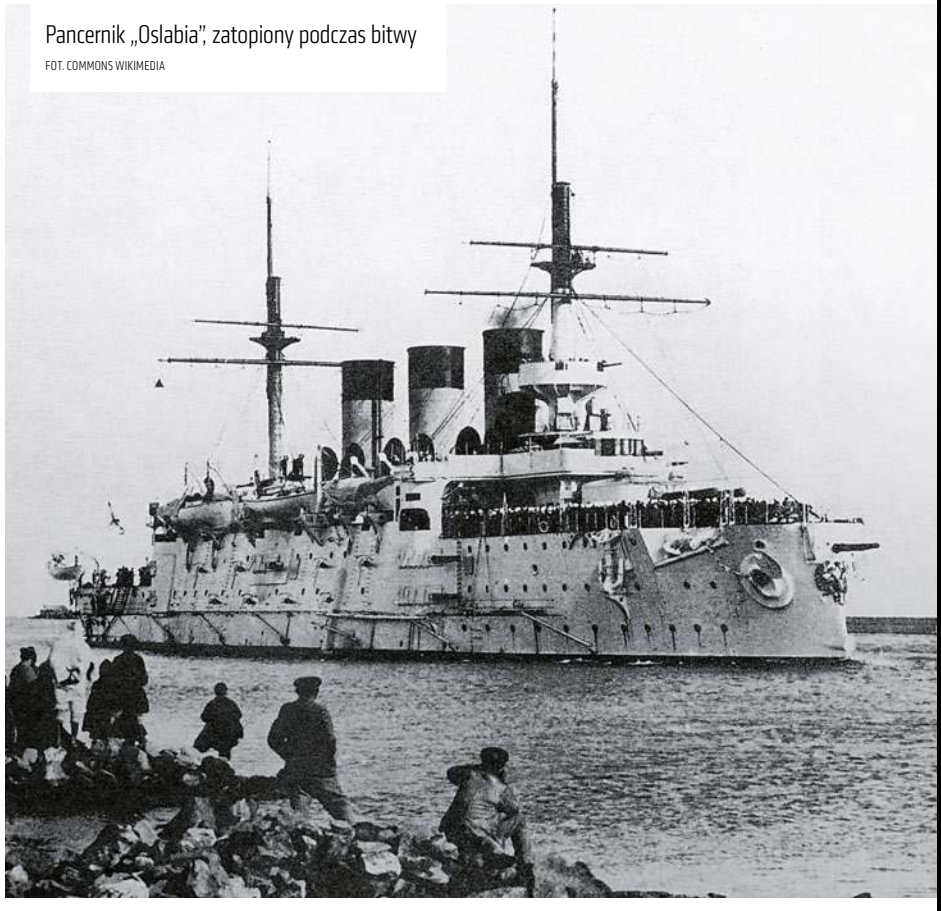
Admirał Zinowij Rożestwienski

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Pojedynek

Bitwa rozpoczęła się 27 maja 1905 r. Admirał Rożestwienski na szpicy eskadry umieścił swe najlepsze pancerniki, na czele z okrętem flagowym „Kniaź Suworow". Tym samym jednak ułatwił zadanie Japończykom, którzy skupili ogień na tych jednostkach.

Pierwszy został zatopiony kontradmiralski pancernik „Oslabia". Flagowy pancernik „Kniaź Suworow" z uszkodzonym sterem wyszedł z szyku i stracił możliwość dalszego poruszania się na wprost. Sam adm. Rożestwienski został ciężko



Pancernik „Oslabia", zatopiony podczas bitwy

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

eprasa.pl 20df05361f



Scena z bitwy pod Cuszimą. Obraz Tōjō Shōtarō

FOT. COMMONS WIKIMEDIA

ranny w głowę i nie był zdolny do dalszego dowodzenia. Z uszkodzonego i płonącego „Suworowa" admirał został zabrany przez niszczyciel „Bujnyj", a po uszkodzeniu tej jednostki przetransportowano dowódcę na niszczyciel „Biedowyj".

Na czele eskadry w tym momencie znalazł się pancernik „Borodino", który wykonał zwrot na południe w celu uniknięcia dalszego ostrzału. Przed zmierzchem rosyjska flota skierowała się na północ w kierunku Władywostoku, wykonując rozkaz Rożestwienskiego wydany jeszcze przed bitwą. Wówczas jednak doszło do ponownego starcia artyleryjskiego z głównymi siłami japońskimi. W wyniku tych walk nowe rosyjskie pancerniki – „Aleksander III" i „Borodino" – zatonęły wraz z całymi swoimi załogami. Natomiast „Kniaź Suworow", od kilku godzin niezdolny już do akcji, został zatopiony torpedami przez japońskie niszczyciele.

W nocy z 27 na 28 maja cała załoga pancernika „Nawarin" zginęła w wyniku eksplozji miny. Z kolei pancernik „Sisoj Wielki" i krążownik „Nachimow" zatonęły u wybrzeży Cieśniny Koreańskiej, ale marynarzom udało się uratować. Krążownik „Monomach", uszkodzony przez minę, dotarł do wyspy Cuszima i tam zatonął (załoga dotarła na brzeg). Natomiast pancernik „Admirał Uszakow" oraz krążowniki „Swietłana" i „Dymitr Doński" zostały zatopione w wyniku wymiany ognia artyleryjskiego.

Rankiem 28 maja 2. Eskadra Floty Pacyfiku przestała istnieć. Niszczyciel „Biedowyj" z rannym Rożestwienskim na pokładzie zdał się na łaskę zwycięzców. Wiele okrętów rosyjskich straciło orientację i uległo rozproszeniu po całej Cieśninie Koreańskiej. Dowództwo nad resztkami eskadry próbował objąć kadm. Nikołaj Niebogatow, lecz nie był już w stanie nic zrobić. Ostatecznie Niebogatow zdecydował, że dalsza walka nie ma sensu. 28 maja 1905 r. o godz. 10.53 pancerniki „Imperator Mikołaj I" i „Orieł" oraz pancerniki obrony wybrzeża „Admirał generał Apraksin" i „Admirał Sieniawin" poddały się Japończykom.

Niszczyciel, transportowiec i holownik po bitwie wpłynęły do portu w Szanghaju. Uciec zdołały również krążowniki „Oleg", „Aurora" i „Żemczug": 3 czerwca dotarły do Zatoki Manilskiej na Filipinach. Do Władywostoku przedostał się tylko najszybszy z krążowników – „Ałmaz".



„Ostatnie chwile pancernika »Książę Suworow«". Obraz Iwana Władimirowa

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, WIKIART.ORG

W Petersburgu wieści o pogromie Floty Oceanu Spokojnego początkowo przyjęto z pewnym niedowierzaniem. Później pojawiła się obawa co do dalszych losów wojny z Japonią. Wielki książę Aleksander Michajłowicz, wuj cara i nominalny dowódca wszystkich flot imperium, wspominał: „Ta niesamowita klęska floty rosyjskiej nastąpiła w dziewiątą rocznicę koronacji Mikołaja II. Był to znak złowieszczy... W momencie otrzymania informacji z głównego sztabu morskiego byłem na obiedzie u imperatora. Przerwano go, kiedy przybył kurier od Avellana: nasza flota została zniszczona przez Japończyków w Cieśninie Cuszimskiej, admirał Rożestwienski został schwytany... Gdybym był Nikkim [Mikołajem II – przyp. red.], natychmiast zrzekłbym się tronu. Za porażkę w Cuszimie nie mógł winić nikogo innego jak siebie. Musiałby przyznać, że zabrakło mu determinacji, aby uświadomić sobie wszystkie nieuniknione konsekwencje tej najbardziej haniebnej porażki w historii Rosji. Cesarz nic nie powiedział, jak miał w zwyczaju. Po prostu zbladł śmiertelnie i zapalił papierosa".

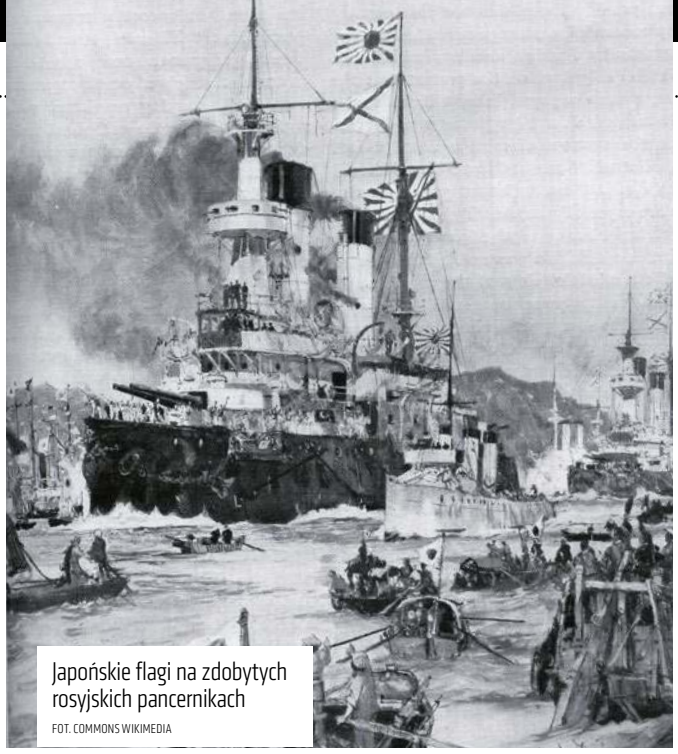
Mikołaj II wspomniał o tej tragedii w swoim dzienniku dopiero 30 maja: „Nadal napływały trudne i sprzeczne wiadomości dotyczące nieudanej bitwy w Cieśninie Cuszimskiej. Miałem trzy raporty. Szliśmy we dwoje z Aleksandrą [carową – przyp. red.]. Pogoda była cudowna, gorąco. Wypiliśmy herbatę i zjedliśmy obiad na balkonie".

Dwa dni później powrócił do bolesnego tematu: „Teraz wreszcie potwierdziła się straszna wiadomość o zniszczeniu prawie całej eskadry w dwudniowej bitwie. Sam ranny Rożestwienski został schwytany! To był cudowny dzień, który dodał jeszcze więcej smutku do mojej duszy. Wszyscy spodziewaliśmy się porażki i ciężkich strat... Jeździłem konno".

Przyczyny klęski

Bitwa pod Cuszimą weszła do historii wojen morskich jako przykład błyskotliwego zwycięstwa Japończyków i bezprecedensowej porażki Rosjan. Szczegółowo

eprasa.pl 20df05361f



Japońskie flagi na zdobytych rosyjskich pancernikach
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

opisano ją w podręcznikach sztuki wojennej. Za główne przyczyny japońskiego zwycięstwa i klęski Rosjan uznano to, że:

– absolutną przewagę taktyczną miała japońska eskadra; wynikała ona z upadku Port Artur i zniszczenia 1. Eskadry Floty Pacyfiku;

– przestarzałe okręty rosyjskiej eskadry rozwijały zbyt małą prędkość i ze względu na swoje uzbrojenie były nieskuteczne w walce;

– biorąc pod uwagę intensywne zużycie kotłów i mechanizmów wymagających naprawy, a także przeciążenie statków, okręt flagowy zmuszony był zmniejszyć prędkość eskadry do dziewięciu węzłów. Uniemożliwiono w ten sposób wykorzystanie przewagi szybkości najnowszych pancerników typu „Borodino";

– rosyjskie pancerniki zostały przeciążone podczas ostatniego poboru paliwa;

– adm. Rożestwienski prowadził eskadrę bez konkretnego planu boju, wyznaczywszy jedynie główny kierunek: przebicie się do Władywostoku;

– artyleria okrętów rosyjskiej eskadry miała stosunkowo niską szybkostrzelność ze względu na długi czas otwierania i zamykania zamków dział oraz niewielką prędkość dostarczania amunicji; artyleria rosyjska znacznie ustępowała Japończykom pod względem zasięgu ognia, celności i siły pocisków odłamkowo-burzących;

– kąt podniesienia dział na rosyjskich okrętach nie pozwalał na prowadzenie ognia na duże odległości;

– rosyjskie okręty dysponowały niewielkimi zapasami pocisków odłamkowo-burzących w porównaniu z przeciwnikiem;

– rosyjskie lekkie pociski zapewniały wystarczającą celność tylko na krótkim dystansie, na większych tracąc zdolność penetracji; charakteryzowały się też dużym rozrzutem;

– poziom wyszkolenia bojowego artylerzystów okrętów rosyjskiej eskadry był stosunkowo niski, ponieważ nie przeprowadzano wymaganej liczby ćwiczeń artyleryjskich, nie mieli oni czasu na opracowanie systemu centralnego kierowania ogniem artyleryjskim eskadry jako całości oraz nie posiadali doświadczenia w prowadzeniu ognia artyleryjskiego na większych dystansach;

– poziom wyszkolenia i – co najważniejsze – doświadczenie bojowe artylerzystów z japońskiej eskadry były znacznie lepsze niż rosyjskich;

– okręty japońskie miały przewagę w kluczowych kategoriach: w sile ognia artyleryjskiego (910 luf wobec 228), szybkostrzelności dział (360 strzałów na minutę wobec 134) oraz prędkości okrętów (16–18 węzłów wobec 12–13);

– dowództwo japońskiego okrętu flagowego zostało z wyprzedzeniem poinformowane o kierunku posuwania się rosyjskiej eskadry, jej składzie i uzbrojeniu;

– dowództwo rosyjskiego okrętu flagowego nie wiedziało, gdzie, kiedy i jakimi siłami zostanie zaatakowana jego eskadra.

Polscy uczestnicy bitwy

Na rosyjskich okrętach służyło wielu Polaków. Niektórzy wyróżnili się niezwykłym męstwem i odwagą. Sam adm. Rożestwienski pochodził ze szlachty zagrodowej z tzw. dalszych kresów Rzeczypospolitej przedrozbiorowej.

Kolejnym wysoko postawionym Polakiem był Eugeniusz Zygmunt Politowski, syn zesłańca, który w 2. Eskadrze piastował niezwykle ważne stanowisko – był głównym inżynierem odpowiedzialnym za stan techniczny okrętów. W czasie prawie półrocznej wyprawy wokół Afryki to on był najbardziej aktywnym wśród dowódców, ponieważ cały czas musiał organizować naprawy, przede wszystkim bardzo często psujących się silników parowych. Jego zasługi w czasie rejsu zostały wysoko ocenione przez cara. Jeszcze przed bitwą został odznaczony Orderem św. Anny. Politowski zginął na pokładzie okrętu flagowego „Kniaź Suworow".

W czasie rejsu eskadry Politowski napisał ponad 100 listów do żony. Po jego śmierci wdowa zdecydowała wydać wybrane fragmenty w formie książkowej. Publikacja „Od Libawy do Cuszimy", opisująca w detalach półroczną podróż floty rosyjskiej, ukazała się w 1906 r. Przed rewolucją miała cztery wydania. Przetłumaczono ją na języki angielski i niemiecki, wydano w Londynie, Nowym Jorku i Berlinie. W 2010 r. w Moskwie ukazało się jej kolejne wydanie.

Jednak najbardziej niezwykła historia Polaka na okrętach 2. Eskadry związana jest z Jerzym Wołkowickim, który jako jeden z kilku młodszych oficerów sprzeciwił się poddaniu okrętu „Imperator Mikołaj I". Postać miczmana Wołkowickiego i jego postawa w czasie bitwy pod Cuszimą zostały przedstawione w popularnej w ZSRS i w dzisiejszej Rosji powieści epopei „Cuszima" Aleksieja Nowikowa-Priboja. Wołkowicki, protestując przeciwko decyzji adm. Nebogatowa o kapitulacji, powiedział, że woli zginąć niż się poddać.

Prawdopodobnie uratowało mu to życie 35 lat później, gdy jako generał Wojska Polskiego dostał się do niewoli sowieckiej i był więziony w obozie w Kozielsku. Podobno sam Stalin wykreślił nazwisko Wołkowickiego z listy oficerów polskich przeznaczonych do rozstrzelania w Katyniu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 20df05361f



„Zenobia i cesarz Aurelian". Obraz Giovanniego Battisty Tiepola

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, MUSEO DEL PRADO

III w. / Zenobia na wojennej ścieżce

„Kleopatra" z Palmyry



Sławomir Koper

Ambitna władczyni ze Wschodu postanowiła zrzucić status klienckiego państewka wciśniętego pomiędzy dwa imperia

W marcu 235 r. zbuntowani legioniści zamordowali cesarza Aleksandra Sewera i wynieśli na tron Maksymina zwanego Trakiem. Był to początek procederu, który przez najbliższe półwiecze zdominował polityczne życie imperium. Do 284 r. zmieniło się aż 25 panujących (średnia długość rządów wynosiła poniżej dwóch lat), przy czym liczba ta nie obejmuje współrządców i uzurpatorów władających częścią imperium. Łącznie cesarską purpurę przywdziało w tym okresie blisko 60 osób.

Naturalnym zakończeniem kariery princepsa stały się śmierć z rąk buntowników lub samobójstwo po klęsce. Jedynie Decjusz, Klaudiusz II i Walerian w inny sposób rozstali się z życiem. Ten pierwszy zginął wraz z synami w bitwie z Gotami (251 r.), drugi kilkanaście lat później padł ofiarą zarazy. Natomiast przypadek Waleriana był jednym z najbardziej kompromitujących wydarzeń w dziejach Rzymu. W 260 r. podczas wojny z Persją władca dostał się do niewoli, z której już nie powrócił.

Cesarska purpura miała jednak w sobie przyciągającą moc i chętnych do rebelii nigdy nie brakowało. Buntowali się namiestnicy oraz dowódcy wojskowi i chociaż cesarstwo pogrążało się w coraz większym kryzysie, to nic nie zwiastowało poprawy sytuacji.

Nie wszyscy rebelianci myśleli o władzy nad całym imperium. Przez kilkanaście lat funkcjonowało tzw. cesarstwo galijskie obejmujące Galię, Hiszpanię i Brytanię. Jego władcy zadowalali się zapewnieniem bezpieczeństwa podległym sobie terenom i nie myśleli o atakowaniu Italii. Ich działalność można uznać za próbę osłonięcia prowincji przed najazdami barbarzyńców.

Pierwszym cesarzem galijskim został Postumus, dotychczasowy namiestnik Germanii. Postumus zginął zamordowany przez własnych żołnierzy, a jego następcy także rozstawali się z życiem w gwałtowny sposób. Pojawiali się też uzurpatorzy (w świetle prawa cesarze galijscy również byli uzurpatorami!) i ostatecznie państwo galijskie upadło w 273 r.

Kryzys III w. to nie tylko ciągła rotacja na tronie i wojny domowe, lecz także katastrofalne najazdy barbarzyńców. Ponadto cesarstwo nie potrafiło odnieść zdecydowanego sukcesu w zmaganiach z Persją.

Była to epoka stworzona dla ludzi zdolnych i pozbawionych skrupułów. Urodzenie nie miało większego znaczenia – większość cesarzy zawdzięczała tron wyłącznie własnym talentom. To właśnie podczas wojen z Persją zaczęła się wielka kariera władców Palmyry, a przecież rodzina ta nie miała w żyłach nawet kropli rzymskiej krwi!

Odenat

Palmyra leżała na Pustyni Syryjskiej i swój rozwój zawdzięczała obfitości źródeł słodkiej wody. Szybko stała się ważnym węzłem na szlaku karawan handlowych, a prawdziwy rozkwit nastąpił w epoce cesarstwa. Świetność miasta potwierdzają pozostałości świątyń, domów

eprasa.pl 20df05361f

mieszkalnych i budowli użyteczności publicznej. Naukowcy szacują, że w połowie III w. jego ludność liczyła ok. 150 tys. mieszkańców. Skład narodowościowy był kompletną mozaiką etniczną – miasto zamieszkiwali Aramejczycy, Arabowie, Grecy i Persowie.

Mieszkańcy Palmyry ciągnęli zyski z dogodnego położenia, gdyż przez ich miasto przepływały towary z krajów basenu Morza Śródziemnego, Bliskiego Wschodu, a nawet z Indii i Cejlonu. Bogacili się wszyscy: kupcy, przewodnicy karawan, właściciele wielbłądów. Jednak stan nieustającej wojny persko-rzymskiej negatywnie odbijał się na interesach. Miejscowi możnowładcy związali swoje losy z Rzymem, ale malejące zarobki miały coraz większy wpływ na ich poglądy. Do tego klęska i niewola cesarza Waleriana zmieniły sytuację na wschodzie imperium.

Z najbogatszych kręgów Palmyry wywodził się Septymiusz Odenatus, piastujący urząd egzarchy, nazywany również księciem. Ciekawostką miejscowego ustroju był bowiem zadziwiający dualizm miejscowych władz: z jednej strony Palmyra posiadała rzymskie instytucje samorządowe, a z drugiej strony stała się dziedzicznym księstwem wasalnym imperium. Odenat cieszył się całkowitym zaufaniem kolejnych princepsów – został senatorem, uzyskał również odznaki konsularne.

Klęska Rzymian w 260 r. w wojnie z Persami zachwiała lojalnością Odenata. Władca Palmyry uznał, że interesy jego miasta przestały być zbieżne z interesami imperium, i zwrócił się do Persów z propozycją sojuszu. Król Szapur I uważał jednak, że Odenat pozostawał jego poddanym i jako taki obrażał majestat króla królów skandalicznymi propozycjami.

Odenat ponownie związał się więc ze stroną rzymską. Cesarz Galien puścił w niepamięć próbę kolaboracji z Persami i obdarzył Palmyreńczyka specjalnymi uprawnieniami. Jako cesarski pełnomocnik pokonał nawet dwóch uzurpatorów, którzy pojawili się wówczas na rzymskim Wschodzie. Następnie na czele sił rzymsko-palmyreńskich przeprowadził kontratak na terytorium perskie, odzyskując strategiczne twierdze.

Odenat był sowicie wynagradzany. Otrzymał tytuł Naprawcy Całego Wschodu oraz przyjął (za zgodą cesarza lub wręcz na jego polecenie) tytuł Króla Królów, zrównując się oficjalną godnością z dynastią perską. Tego Sasanidzi nie zamierzali puścić płazem. Nie wiadomo jednak, czy rola klienta imperium do końca mu odpowiadała. Pytanie to pozostanie na zawsze bez odpowiedzi, gdyż kilka lat później Odenat został zamordowany. Wraz z nim zginął jego syn i następca, a niektórzy widzieli w tym rękę Zenobii – drugiej żony dostojnika.



Septymiusz Odenatus
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Piękna Zenobia

Nie wiemy, kiedy się urodziła, ale zachowane przekazy informują o jej niezwykłej inteligencji i urodzie. Podobno doskonale jeździła konno i na wielbłądzie, była osobą wykształconą, znała grekę, łacinę, czytała dzieła Platona i Homera. W jej otoczeniu przebywały nieprzeciętne osobowości: znakomity filozof Kasjusz Longinus z Aten i biskup Antiochii Paweł z Samosaty. Władczyni była osobą tolerancyjną, na jej dworze mieszały się wpływy tradycyjnych wierzeń, chrześcijaństwa i manicheizmu.



„Zenobia". Obraz Edwarda Poyntera FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Zapewne była znacznie młodsza od męża i urodziła mu (prawdopodobnie) trzech synów. Jej prawdziwe imię brzmiało Bathzabbai, ale do historii przeszła jako Septimia Zenobia. Niektórzy oskarżali ją o współudział w zabójstwie męża – podobno chciała zapewnić w ten sposób sukcesję swoim dzieciom z małżeństwa z Odenatem. Nie wiadomo, jak było naprawdę, ale najstarszy syn Palmyrenki, Waballat, był jeszcze nieletni, więc to Zenobia objęła regencję.

Waballat był królem, ale matka nie ustępowała mu w tytulaturze. Na zachowanych dokumentach pojawiała się u jego boku jako królowa i bez wątpienia odpowiadała za politykę Palmyry. Faktycznie zdobyła na rzymskim Wschodzie pozycję, której nigdy nie miała tam żadna kobieta, i nic dziwnego, że porównywano ją do Semiramidy, Artemizji czy Kleopatry.

Po śmierci Odenata przez kilkanaście miesięcy panowało status quo, a Zenobia kontynuowała politykę męża. W syryjskiej Antiochii dalej bito monety z wizerunkami princepsa, ale w tytulaturze władczyni pojawiły się określenia sugerujące apetyt na władzę cesarską.

W 269 r. Palmyreńczycy obsadzili część Azji Mniejszej, tłumacząc to chęcią ochrony tamtejszych ziem przed najazdami floty Gotów. W rzeczywistości orientalna władczyni i jej doradcy uznali, że nadszedł odpowiedni moment do konfrontacji. Imperium Rzymskie toczyło ciężkie walki nad Dunajem, natomiast Persowie u schyłku panowania Szapura I zawiesili agresywną politykę. Pojawiła się szansa na niezależność Palmyry, na zrzucenie statusu klienckiego państewka wciśniętego pomiędzy dwa imperia. Zenobia miała wielkie ambicje i rok później przystąpiła do ich realizacji.

Oddziały palmyreńskie uderzyły na rzymską Arabię i doszło do

eprasa.pl 20df05361f



Świątynia Baalszamina w Palmyrze przed wysadzeniem jej w powietrze przez ISIS

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BERNARD GAGNON

regularnych walk zakończonych zwycięstwem władczyni. Ale celem Zenobii nie była jedna czy druga podrzędna prowincja. Zamierzała ona podporządkować sobie Egipt – jedną z najważniejszych krain imperium. Bez egipskiej pszenicy Italii groził głód, a Zenobia dobrze wiedziała, że opanowanie tej prowincji umożliwi jej szachowanie władz centralnych.

Władczyni Wschodu miała jeszcze jeden powód, by zaatakować Egipt – pragnęła dorównać Kleopatrze, za której potomkinię zresztą się uważała. Po trzech stuleciach, które upłynęły od śmierci królowej Egiptu, jej imię obrosło legendą, czasami niemającą zresztą zbyt wiele wspólnego z prawdą. Pozostała ona jednak symbolem kobiecej władzy na Wschodzie i Zenobia zamierzała jej dorównać. A może nawet ją przewyższyć.

Wodzowie palmyreńscy poprowadzili nad Nil dwie wyprawy i druga z nich zakończyła się sukcesem. Jesienią 270 r. w Egipcie stanęły załogi Zenobii, a mennica w Aleksandrii zaczęła wybijać monety z podobizną aktualnego cesarza Aureliana i króla Waballata. Syn Zenobii zaczął używać w tytulaturze słownictwa zastrzeżonego wyłącznie dla princepsa, ale Palmyreńczycy nie zamierzali jeszcze zrywać ostatecznie z imperium. Zachowały się nawet monety z podobizną Aureliana i Zenobii sugerujące ich wspólne panowanie.

W ówczesnej sytuacji politycznej nie było jednak miejsca na niezależne państwo palmyreńskie. Syryjskie miasto wciśnięte pomiędzy Rzym i monarchię Sasanidów mogło egzystować wyłącznie w oparciu o jedno z mocarstw. A skoro próby porozumienia się Odenata z Persami zakończyły się niepowodzeniem, to Palmyrze pozostawał tylko Rzym.

Zachowane przekazy informują, że Zenobia odznaczała się niezwykłą urodą oraz inteligencją. Na rzymskim Wschodzie zdobyła pozycję, której nie miała żadna inna kobieta. Porównywano ją z Kleopatrą

Kilka lat wcześniej plany Zenobii mogły doczekać się realizacji, teraz jednak do władzy doszedł niezwykle energiczny Aurelian uznający za swoje zadanie zjednoczenie imperium. I z godną podziwu konsekwencją dążył do likwidacji separatyzmów – galijskiego i palmyreńskiego.

Cesarz miał ułatwione zadanie, ponieważ jego poprzednik, Klaudiusz II, pokonał Gotów (po czym zmarł na zarazę), umożliwiając Aurelianowi realizację planów. Zenobia przez pewien czas łudziła się, że cesarz zaakceptuje status quo, ale kiedy okazało się, że princeps nie zamierzał iść na żadne kompromisy, matka i syn oficjalnie przyjęli tytuły Augustów. Zerwali z fikcją zależności od Rzymu, a z monet bitych w Aleksandrii i Antiochii zniknęły podobizny Aureliana.

Pogubieni silniejsi

Wygląda na to, że Zenobia do końca wierzyła jednak w możliwość porozumienia z Aurelianem. Tylko to mogłoby tłumaczyć fatalne błędy popełnione podczas wojny z cesarzem. U jej boku stali wodzowie zaprawieni w bojach za czasów Odenata, ale zachowanie palmyreńskiego sztabu przeczyło logice strategicznej.

Cesarz wprawdzie prowadził ze sobą armię słabszą od sił uzurpatorów, ale był dobrym wodzem. Natomiast Palmyreńczycy działali wyjątkowo niezdecydowanie. Nie reagowali podczas przemarszu korpusu cesarskiego przez Azję Mniejszą, chociaż ukształtowanie terenu sprzyjało obronie. Jako pierwsze opór stawiło dopiero miasto Tyana położone u stóp gór Taurus, na przedpolach Syrii. Tyana została zdobyta, ale Aurelian potraktował łagodnie jej mieszkańców, wychodząc z założenia, że walczy z uzurpatorami, a nie ze swoimi poddanymi. Skazał natomiast na śmierć zdrajcę – człowieka, który wskazał Rzymianom najkorzystniejsze miejsce do szturmu na miasto. Publicznie potępił akt zdrady i nie zamierzał tolerować podobnego zachowania bez względu na własne korzyści.

Wodzowie Zenobii wciąż wyglądali na niezdecydowanych. Nie zorganizowano oporu w wąwozach prowadzących do Syrii, gdzie nawet niewielkie siły mogły zablokować znacznie potężniejszą armię. Podobno palmyreńscy stratedzy wierzyli w siłę swojej ciężkiej jazdy. Do pierwszej bitwy doszło na równinie nad rzeką Orontes, gdzie Zenobia osobiście towarzyszyła swoim oddziałom. Nie na wiele się to jednak zdało, ponieważ konnica Aureliana najpierw upozorowała ucieczkę, a następnie rozbiła doborową jazdę uzurpatorki. Palmyreńczycy w panice wycofali się do Antiochii, ale tam wydarzenia przedstawiono jako wielki triumf władczyni Wschodu. Pokonane oddziały wkraczały do miasta w karnych szeregach, a wśród jeńców prowadzono jakiegoś starszego mężczyznę w purpurowej szacie, sugerując, że był to wzięty do niewoli

eprasa.pl 20df05361f



Lew z Palmyry zniszczony przez ISIS

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BERNARD GAGNON

Aurelian! Nocą wojska Zenobii wymknęły się jednak z miasta, a niebawem pojawił się tam korpus cesarski. Princeps był konsekwentny – ogłosił pełną amnestię i ruszył w pościg za rebeliantami.

Polityka cesarza przynosiła owoce. Po opanowaniu Antiochii armia rzymska bez walki zajmowała jedno miasto za drugim. Pod Emezą doszło do kolejnej bitwy, tym razem o jej wyniku przesądziła piechota. Po tej klęsce Zenobia straciła praktycznie możliwość dalszego oporu.

Rozbitkowie schronili się za murami Palmyry odległej o ponad 100 km. Aurelian nakazał dalszy marsz, choć nie chciał przelewać krwi. Wezwał uzurpatorów do poddania się, oferując łagodne warunki, ale jego oferta została odrzucona. Marsz na Palmyrę był niezwykle trudny, jednak cesarz nie po to pojawił się w Syrii, aby teraz zrezygnować. Armia rzymska rozpoczęła oblężenie, tymczasem Palmyrze szybko zaczęły się wyczerpywać zapasy. Na domiar złego cesarz rozbił perską odsiecz wysłaną na pomoc Zenobii i przeciągnął na swoją stronę okolicznych nomadów – pieniądze zawsze były doskonałym argumentem ułatwiającym prowadzenie wojen.

Zenobia nie chciała wpaść w ręce rzymskie i z niewielkim oddziałem wymknęła się z miasta, usiłując przedostać się za Eufrat. Pościg dopadł ją jednak tuż przed perską granicą i władczyni Wschodu dostała się do rzymskiej niewoli. Niebawem skapitulowała też sama Palmyra.

Kolejny bunt

Aurelian był konsekwentny i nie pozwolił armii na grabież. Sam nie przebywał zresztą w Palmyrze – niebawem powrócił do Emezy, gdzie zarządził sąd nad buntownikami. Uzurpacja cesarskiej władzy wymagała kary.

Wydaje się, że od początku zamierzał oszczędzić Zenobię i Waballata. Chociaż otoczenie cesarza nalegało na egzekucję buntowników, to Aurelian postanowił osądzić wyłącznie ich wodzów i doradców. Zażądał jednak od Zenobii wyjaśnień, kto namawiał ją do rebelii. Wówczas jego przeciwniczka załamała się i oskarżyła swoich współpracowników, w tym filozofa Kasjusza Longinusa. Zdradzeni podwładni zachowali się z godnością, a filozof przyjął wyrok śmierci ze stoickim spokojem. Natomiast sama Zenobia miała wraz z synami uświetnić cesarski triumf w Rzymie.

Na wieść o klęskach Zenobii załamało się panowanie Palmyreńczyków w Egipcie. Prowincja powróciła pod zwierzchnictwo cesarskie, dzięki czemu Aurelian mógł planować kampanię na zachodzie i likwidację separatyzmu w Galii.

Jednak nie wszyscy w Palmyrze zamierzali podporządkować się Rzymowi. Zenobia i Waballat byli już zneutralizowani, ale podczas likwidacji inwazji plemion Karpów nad Dunajem do cesarza dotarły groźnie brzmiące informacje: Palmyra ponownie podniosła bunt.

Tym razem rebelia miała podłoże ekonomiczne, gdyż ścisły nadzór nad miejscowymi kupcami sparaliżował wymianę handlową. Wymordowano rzymską załogę, a na czele powstania stanął niejaki Antioch, blisko spokrewniony z Zenobią.

Aurelian zareagował natychmiast. Ponownie ruszył na wschód i po kilku tygodniach pojawił się pod murami Palmyry. Miasto zostało zdobyte bez walki i wydane na łup żołnierzy. Jednak Aurelian nie byłby sobą, gdyby nie zachował się w oryginalny sposób. Antioch został zwolniony z niewoli, ponieważ cesarz uznał go za osobę... kompletnie bez znaczenia.

Miasto już nigdy się nie podniosło z upadku i wegetowało na obrzeżach rzymskiego świata. Pozostała tylko legenda o dawnej świetności i dopiero badania archeologiczne (w tym polskich naukowców) przywróciły Palmyrze należne miejsce w historii. Niestety, terroryści z ISIS w niemałym stopniu zniszczyli pozostałości miasta.

Złote kajdany

Aurelian mógł się wreszcie zająć problemami w zachodniej części imperium. Wyprawił się do Galii i odniósł tam zwycięstwo. Ostatni cesarz galijski, Tetrykus, był rzymskim patriotą i nie chciał walczyć z armią prawowitego princepsa. Podczas decydującej bitwy przeszedł na jego stronę i zbuntowane prowincje powróciły wreszcie w granice cesarstwa. Tetrykus również został oszczędzony i podobnie jak Zenobia miał uświetnić triumfalny wjazd Aureliana do Rzymu.

Odbył się on rok później. Podobno Zenobia maszerowała przed rydwanem zwycięzcy, mając na nogach złote kajdany (na rękach srebrne), a ilość biżuterii, w którą ją wystrojono, utrudniała jej utrzymanie równowagi. Towarzyszyli jej dwaj młodsi synowie (o Waballacie nie zachowały się żadne informacje). Potomek towarzyszył również Tetrykusowi, ubranemu w strój galijski. A kiedy jeden z senatorów dziwił się, że cesarz świętuje zwycięstwo nad kobietą, ten miał odpowiedzieć, że Zenobia nie była zwyczajną kobietą.

Pokonanych czekał zresztą znacznie lepszy los niż ich zwycięzcę – Aurelian rok później został zamordowany przez zbuntowanych żołnierzy. Tetrykus przeżył cesarza (przed śmiercią władca mianował go zarządcą Lukanii, jednego z okręgów Italii), a jego syn rozpoczął karierę urzędniczą właściwą dla członków stanu senatorskiego. Natomiast Zenobia otrzymała od cesarza willę w Tibur, gdzie przez długie lata żyła w dostatku. Podobno towarzyszyli jej dwaj młodsi synowie, a niedawna uzurpatorka wyszła za mąż za pewnego senatora i miała z nim córki. Potomkowie Zenobii wtopili się w miejscowe środowisko, ale źródła milczą o losie Waballata. Możliwe, że został dyskretnie usunięty z tego świata, gdyż człowiek, który nosił cesarską purpurę, zawsze mógł się okazać niebezpieczny...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 20df05361f

1941–1945 / Przeciw Armii Czerwonej



Żołnierze fińskiego ochotniczego batalionu SS FOT. COMMONS WIKIMEDIA, SA-KUVA.FI

Finowie w Waffen-SS



Arkadiusz Karbowiak

Służba Finów w szeregach Waffen-SS to zapomniany epizod walk na froncie wschodnim

Początki rekrutacji fińskich ochotników sięgają kwietnia 1940 r., gdy szef Głównego Urzędu SS, SS-Obergruppenführer Gotlob Berger, podjął (za aprobatą Himmlera) decyzję o utworzeniu dywizji Waffen-SS. Miała być ona złożona z żołnierzy niemieckich, germańskich i nordyckich.

Wbrew oczekiwaniom nabór do jednostki w krajach skandynawskich miał jednak bardzo ograniczony charakter. Ochotników duńskich i norweskich, nie mówiąc już o szwedzkich, było niewielu. Sytuacja ta skłoniła Bergera do zainteresowania się możliwością rekrutacji na terenie Finlandii. Zanim ją rozpoczęto, do Helsinek przybył z poufną wizytą Ola Vinberg, omijając kanały dyplomatyczne niemieckiego ministerstwa spraw zagranicznych. Był on szwedzkim przedsiębiorcą mieszkającym w Berlinie, ale – co najważniejsze – był jednocześnie zaufanym człowiekiem szefa Głównego Urzędu SS. Vinberg po powrocie z misji przywiózł informację, że władze Finlandii wyraziły zainteresowanie naborem swoich obywateli do Waffen-SS. 1 marca 1941 r. z Głównego Urzędu SS wysłano do Toivo Mikaela Kivimäkiego, ambasadora Finlandii w Berlinie, oficjalny wniosek z prośbą o rozpoczęcie zaciągu.

W sprawę zaangażowany został także Wipert von Blücher, ambasador III Rzeszy w Helsinkach, który 11 marca 1941 r. rozmawiał z przedstawicielami fińskiego rządu o sformowaniu takiej jednostki. Dzień później prezydent Risto Ryti, premier Johan Rangell, minister obrony Rudolf Walden, szef MSZ Rolf Witting, marszałek Carl Mannerheim i szef MSW Gustaw Born wyrazili zgodę na rozpoczęcie rekrutacji. Nie ogłoszono jednak tego publicznie – proces naboru odbywał się bez większego nagłaśniania.

Na czele struktury odpowiedzialnej za werbunek stanął Esko Riekki, były szef fińskiej policji państwowej w latach 1923–1938 (jego syn, SS-Untersturmführer Tero Riekki, wstąpił do Waffen-SS i został adiutantem dowódcy pułku Westland). Podmiotem, który prowadził całą operację, było prywatne Biuro Inżynieryjne Ratas (OY Insinööritoimisto Ratas) w Helsinkach (w 1942 r. biuro zmieniło nazwę na Biuro Ochotników SS). Instytucja ta rozpoczęła działalność 25 marca 1941 r. Organizatorzy rekrutacji chcieli, by ochotnicy wywodzili się z różnych środowisk politycznych.

eprasa.pl 20df05361f

Chodziło o zabezpieczenie się przed zdominowaniem naboru przez ugrupowania narodowosocjalistyczne czy skrajnie prawicowe, takie jak Kansallissosialistinen Järjestö (KSJ – Organizacja Narodowo-socjalistyczna), zrzeszająca weteranów wojny domowej w Finlandii Vapaussodan Rintamamiesten Liitto (Liga Żołnierzy Frontowych) czy reprezentująca obywateli szwedzkojęzycznych Samfundet Folkgemenska.

W dywizji „Wiking"

W efekcie część kandydatów wywodzących się z tych środowisk odrzucano, ale i tak aż 60 proc. (według innych danych 48 proc.) przyjętych było zwolennikami szeroko pojętej prawicy, z czego jedną trzecią stanowili zwolennicy Patriotycznego Ruchu Ludowego, czyli formacji będącej następczynią rozwiązanego przez władze faszyzującego ruchu Lapua. Jedynie 10 proc. ochotników określało się jako zwolennicy tradycyjnych partii parlamentarnych.

Ostatecznie w szeregi Waffen-SS trafiło 1197 ochotników z Finlandii, wśród których znalazło się 76 oficerów (w tym czterech oficerów służby czynnej). Pomiędzy 6 maja a 5 czerwca 1941 r. ochotników przewieziono do Niemiec. Cztery grupy wyruszyły z Turku do Gdańska, a jedna z Vasy do Szczecina. Czterystu dwudziestu dziewięciu żołnierzy (według innych danych 421) uznano za posiadających doświadczenie – określano ich mianem „ludzi dywizji" – i skierowano ich na Śląsk, gdzie zostali wcieleni do Zmotoryzowanej Dywizji SS „Wiking" (81 trafiło do Pułku „Westland", a 230 do Pułku „Nordland"), posiadającej w swych szeregach zagranicznych ochotników (byli to Holendrzy, Duńczycy, Flamandowie i Norwegowie; Finowie stanowili ok. 10 proc. składu jednostki). Resztę, czyli 768 „żółtodziobów", nazywanych „batalionowymi chłopcami", przerzucono do Austrii do znajdujących się pod Wiedniem ośrodków szkolenia Schönbrunn i Starslund. Jednostka, w której mieli służyć, otrzymała nazwę Finnisches Freiwilligen-Bataillon der Waffen-SS (początkowa nazwa: SS Freiwilligen-Bataillon „Nordost"). W sierpniu 1941 r. Finów przeniesiono na poligon Gross Born i tam 15 października złożyli oni przysięgę na wierność Adolfowi Hitlerowi.



Esko Riekki
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, PDVALOKUVA

Na początku grudnia batalion wyruszył na front wschodni i po miesiącu dotarł nad rzekę Mius, gdzie znajdowała się już dywizja „Wiking". Fińscy żołnierze z tej ostatniej jednostki, uczestnicząc od pół roku w zmaganiach z Sowietami, mieli nad swymi dopiero co przybyłymi rodakami przewagę, jeśli chodzi o doświadczenie bojowe. Wiedzieli też, że sposób postępowania niemieckich „wikingów" wobec jeńców i cywilów na froncie wschodnim i jego zapleczu jest sprzeczny z zasadami zawartymi w prawie międzynarodowym. Esesmani z dywizji „Wiking" dopuszczali się masowych zbrodni, mordując Żydów, m.in. w pogromie w Złoczowie.

SS-Unterscharführer Uscha Olavi Karpalo był ochotnikiem w oddziałach falangistowskich podczas wojny domowej w Hiszpanii. Wojnę z ZSRS uważał za kontynuację zmagań toczonych z komunistami na Półwyspie Iberyjskim. Na początku kampanii wschodniej pisał w liście do kapelana i oficera łącznikowego w jednej osobie, SS-Untersturmführera Ensio Pihkali, wskazując, że do rozstrzeliwania Żydów wystarczą mniejsze umiejętności niż te posiadane przez Finów. Trudno powiedzieć, na ile ta konstatacja była wynikiem obserwacji i krytycznej oceny otaczającej rzeczywistości, a na ile było to przyznanie się autora owego listu do bezpośredniego udziału w mordach. Problem uczestnictwa Finów w zbrodniach był przedmiotem dociekań specjalnego zespołu badawczego. Znalazł on w dziennikach prowadzonych przez fińskich ochotników poszlaki wskazujące na taką ewentualność. Rzadko można z nich bezpośrednio wnioskować o winie konkretnych żołnierzy, co uniemożliwia określenie skali zaangażowania Finów w zbrodniczy proceder. Czasami zdarzało się jednak – jak pokazuje przykład Pauli Asikainena – że żołnierze zdecydowanie odrzucali rozkazy dokonywania egzekucji odwetowych na cywilach po atakach partyzantów.

Zbrodnie

Nie ulega jednak wątpliwości, że żołnierze dywizji „Wiking" popełniali zbrodnie wojenne, a fińscy ochotnicy w trakcie swej służby na froncie wschodnim byli ich świadkami, natomiast w niektórych przypadkach również sprawcami. Wskazywać mogą na to częściowo wydarzenia, które rozegrały się 31 grudnia 1942 r. we wsi



Żołnierze 5. Dywizji Pancernej SS „Wiking" na froncie wschodnim FOT. COMMONS WIKIMEDIA, BUNDESARCHIV BILD

eprasa.pl 20df05361f



Powrót żołnierzy fińskiego batalionu SS do kraju
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Toldzgun. Tego dnia na rozkaz fińskiego oficera SS-Hauptsturmführera Karla-Erika Ladaua rozstrzelano pięciu cywilów, jak się okazało – komunistów. W zeznaniu złożonym przez świadka, żołnierza będącego w plutonie egzekucyjnym, przedstawieni oni zostali jako szpiedzy. Mniej jasne są motywy zabicia dwóch sowieckich jeńców. Być może w tym wypadku była to klasyczna zbrodnia wojenna.

Abstrahując od tych epizodów, do momentu pojawienia się fińskich ochotników na linii frontu w walkach zginęło 63 „wikingów" z Finlandii, 11 zaginęło, a 180 odniosło rany. Batalion fiński, znalazłszy się w składzie dywizji „Wiking", przydzielony został do pułku „Nordland". Dowódcą mianowano SS-Hauptsturmführera Hansa Collaniego, poległego potem w bitwie pod Narvą latem 1944 r. Pierwsze miesiące na linii frontu, od 21 stycznia do 26 kwietnia 1942 r., Finowie spędzili nad rzeką Mius obok Słowaków z tzw. Brygady Szybkiej, uczestnicząc w walkach pozycyjnych toczonych z 31. Dywizją Gwardii. Charakteryzowały się one dużą intensywnością patroli, wymianami ognia artyleryjskiego i pojedynkami snajperskimi. Pierwszym poległym żołnierzem był Onni Martikainen, który zginął 23 stycznia 1942 r. od kuli sowieckiego snajpera.

13 lipca Finowie zostali wycofani z pierwszej linii na odpoczynek przed kolejnymi zmaganiami, a także na intensywne szkolenie. Miesiąc później powrócili do dywizji, która toczyła zacięte walki na Kaukazie. W tym czasie w Finlandii trwał nabór ochotników do kompanii zapasowej. Tym razem władze zdecydowały się przeprowadzić rekrutację w pododdziałach fińskiej armii. W efekcie 201 dodatkowych żołnierzy trafiło na front kaukaski.

Walki o wzgórze 701

We wrześniu i październiku 1942 r. batalion poniósł olbrzymie straty podczas zaciętych walk mających na celu zdobycie m.in. złóż ropy naftowej w Groznym. Aby dotrzeć do tego miasta, konieczne było zdobycie miejscowości Małgobek. W niedalekiej odległości położone było wzgórze 701, o które Finowie toczyli zacięte walki. Pierwszy atak dwóch kompanii miał miejsce 9 października i poprzedzony był wsparciem artylerii. Na niewiele się ono zdało, ponieważ po przebyciu 300–400 metrów Finów zasypał grad sowieckich pocisków artyleryjskich i moździerzowych. Posuwanie się naprzód było niemożliwe. Tego dnia poległo trzech żołnierzy, a rannych zostało 24.

Dzień później przygotowujący się do ataku Finowie i Niemcy przeżyli podobną nawałę ogniową. Próba zajęcia pozycji sowieckich została powstrzymana przez 9. Brygadę Strzelecką wspartą dziewięcioma czołgami. Straty poniesione tego dnia wyniosły czterech zabitych i 24 rannych. Przez kilka kolejnych dni, aż do 15 października, straty batalionu systematycznie rosły. Wieczorem 16 października pluton z 9. kompanii ruszył w absolutnej ciszy do szturmu. Finowie wdarli się na pozycje obronne kompletnie zaskoczonych Sowietów. Po półgodzinnej walce wzgórze 701 opanowano. Straty były minimalne – dwóch zabitych i 16 rannych.

Oto jak zapamiętał natarcie dowódca grupy szturmowej SS-Obersturmführer Tauno Pohjanletho: „Atak zaplanowano bez przygotowania artyleryjskiego, chodziło o zaskoczenie. Wszyscy byli zadowoleni z tego rozwiązania. Wiedzieliśmy jednak, że jeśli plan się nie powiedzie, to będzie to ostatnia akcja bojowa w naszym życiu. Nie mieliśmy nic do stracenia… W głowie mi huczało. Widziałem już w myślach naszą klęskę i myślałem o jej następstwach. Mój łącznik, Sakari Miettinen, i ja wskoczyliśmy do rosyjskiego dołka strzeleckiego. Pół metra nad naszymi głowami przelatywały serie pocisków z karabinu maszynowego, a tuż przed nami w innym dołku strzeleckim leżał ukryty Rosjanin… Odczekałem, aż się poruszy. Dostrzegłem wówczas czapkę i twarz o mongolskich rysach. Posłałem mu z kilku metrów cały magazynek… Wielkimi susami dopadliśmy krawędzi wzgórza, w biegu rzucając granaty. Unieszkodliwiliśmy w ten sposób trzy armaty przeciwpancerne. Wzgórze 701, na zboczach którego zginęło tylu naszych przyjaciół, było nasze".

Do niewoli wzięto 80 żołnierzy sowieckich, zdobyto pięć dział przeciwpancernych, dwa karabiny przeciwpancerne i sześć lekkich karabinów maszynowych. Przez kolejne dni, aż do 19 października, Finowie walczyli o utrzymanie pozycji na wzgórzu 701. Tego dnia nadszedł jednak rozkaz opuszczenia pozycji.

Finowie przebywali na froncie do 10 kwietnia 1943 r., kiedy to Finnisches

eprasa.pl 20df05361f



Spotkanie fińskich żołnierzy batalionu SS z Josephem Goebbelsem, ministrem propagandy Niemiec FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Freiwilliger der Waffen-SS, przez którego szeregi przewinęło się 1409 Finów, wycofano na zachód. W maju 1943 r. jednostkę przeniesiono do Grafenwohr, a następnie wysłano na odpoczynek. 2 czerwca 1943 r. zorganizowano na półwyspie Hanko ceremonię oficjalnego powitania jednostki. Żołnierzom przyznano miesięczny urlop. W tym czasie miały się wyjaśnić ich dalsze losy. 27 czerwca 1943 r. marszałek Carl Mannerheim wystosował propozycję rozwiązania batalionu. 4 lipca zaakceptował ją Adolf Hitler, a tydzień później liczący 782 żołnierzy batalion zakończył oficjalnie swe istnienie (jego członków wcielono do armii fińskiej).

Niemieckie odznaczenia

Dowódca dywizji „Wiking", SS-Obergruppenführer Felix Steiner, na łamach swej książki „Ochotnicy Waffen-SS. Idea i poświęcenie" tak oceniał fińskich ochotników: „Jednocześnie zwolniłem z ochotniczej służby fińskich weteranów. Swoją zaciętością i odwagą odznaczyli się nad Miusem, na zachodnim Kaukazie, na polach naftowych Groznego i na kałmuckich stepach, a także podczas walk pod Krasnoarmiejskiem. Jako reprezentanci armii fińskiej zdobyli sobie zasłużone uznanie wśród towarzyszy broni z 1. armii pancernej. Ich oficerowie, na przykład oberleutnanci Ladau Tenoma czy Pahjenletho Sartio, należeli do najlepszych żołnierzy dywizji. Byli dzielni aż do zuchwalstwa, a jednocześnie byli rozważni i rozsądni".

Podczas dwóch lat służby na froncie wschodnim śmierć w walce lub na skutek chorób poniosło 256 żołnierzy, 14 zaginęło, a 686 odniosło rany. Ogólne straty jednostki były więc wysokie i wyniosły 68 proc. Były one o wiele większe niż straty armii fińskiej (22 proc.). Być może także na tej podstawie Himmler wyrobił sobie bardzo dobrą opinię o fińskich żołnierzach, wyrażając się o nich z uznaniem: „Tam, gdzie stał fiński esesman, wróg był zawsze pokonany".

Za dokonania na polu walki Żelazny Krzyż klasy I otrzymało dziewięciu oficerów oraz pięciu podoficerów i żołnierzy, Krzyż Wojennej Zasługi klasy I przyznano jednemu oficerowi, a klasy II – jednemu oficerowi i 25 podoficerom i żołnierzom. W Helsinkach poległym bohaterom frontu wschodniego postawiono pomnik. Dołączyło do nich kolejnych 113 byłych esesmanów, którzy zginęli w czasie wojny kontynuacyjnej i wojny lapońskiej. Pomimo rozwiązania batalionu Himmler zgodził się na dalszą służbę w szeregach Waffen-SS Finów wyrażających taką wolę. Jedną z takich osób był szwedzkojęzyczny Fin, SS-Obersturmführer Ola Olin, żoneniony z Niemką. Postanowił on kontynuować służbę w 5. Dywizji Pancernej SS „Wiking". Dowodził tam m.in. 7. kompanią 5. Pułku Pancernego. 10 sierpnia 1944 r., podczas walk na obrzeżach Warszawy, Olin wraz ze swoimi żołnierzami zniszczył 11 dział przeciwpancernych i dwa czołgi T-34, a 20 października wyeliminował kolejnych pięć czołgów. W uznaniu zasług odznaczono go Niemieckim Krzyżem w Złocie (Deutsches Kreuz).



Sztandar Ochotniczego Fińskiego Batalionu SS

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FORNAX

Jouko Itälä służył jako oficer artylerii w dywizji „Wiking", a następnie był instruktorem w Niemczech i pracował tam pomimo rozwiązania fińskiego batalionu SS. W Rzeszy zastały go rozejm fińsko-sowiecki i wojna fińsko-niemiecka w Laponii. I to właśnie w tej ostatniej przydzielono go jako oficera łącznikowego do 6. Dywizji Górskiej SS „Nord". W Laponii, w Rovaniemi, werbował Finów z grona jeńców wojennych do fińskiej kompanii SS, która liczyła 68 ludzi. Przeszkolono ich w norweskim mieście Kongsvinger. W maju 1945 r. kompania została rozbrojona, a on sam trafił do obozu jenieckiego. Kiedy wrócił do Finlandii, skazano go na 14 miesięcy więzienia, po czym został zwolniony.

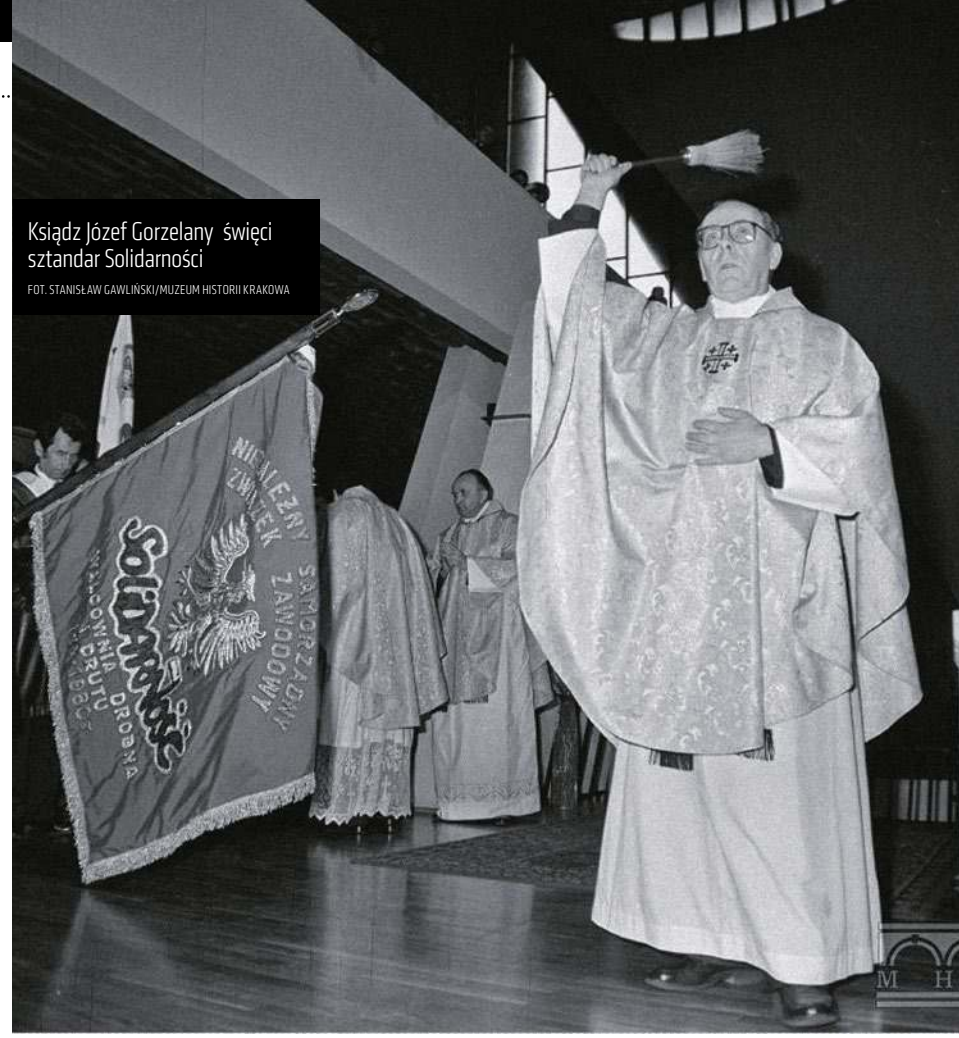
Podobnie wyglądały losy Lauri Törniego, słynnego Fina, który walczył w armiach trzech państw. Po ogłoszeniu rozejmu z ZSRS Törni nawiązał kontakt z inspirowanym przez VI Wydział RSHA (wywiad zagraniczny SD) ruchem oporu. Było to możliwe dzięki poznanemu w Vaasa weteranowi Waffen-SS (Törni krótko służył w Waffen-SS jako oficer przed wybuchem wojny z ZSRS). Dzięki temu opuścił on Finlandię i wyjechał do Rzeszy. Tam na wyspie Uznam, w bazie marynarki wojennej Heringsdorf, jako instruktor szkolił fińskich ochotników z SS-Sonderkommando Nord. Gdy wrócił po wojnie do kraju, aresztowano go i skazano za zdradę na sześć lat więzienia. W grudniu 1948 r. Törni został ułaskawiony i wkrótce zaciągnął się do US Army. Jako oficer sił specjalnych Green Berets służył w Wietnamie. W 1965 r., podczas wykonywania misji, fiński komandos zginął w katastrofie śmigłowca.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Pajunen J., Karjalainen M., ***„Finnish Volunteer Battalion of the Waffen SS in 1941–1943 and Related Finnish studies";*** *Stein G.H., Krosby H.P.,* ***„Das finnische Freiwilligen-Bataillon der Waffen-SS"****, „VfZ" 1966, nr 14, z. 4; Steiner F.,* ***„Ochotnicy z Waffen-SS. Idea i poświęcenie";*** *Westerlund L.,* ***„The Finnish SS-Volunteers and Atrocities against Jews, Civilians and Prisoners of War in Ukraine and the Caucasus Region 1941–1943";*** *Тике В.,* ***„Батальон »Нордост« в боях за Кавказ. Финские добровольцы на Восточном фронте. 1941–1943".***

eprasa.pl 20df05361f


Ksiądz Józef Gorzelany święci sztandar Solidarności
FOT. STANISŁAW GAWLIŃSKI/MUZEUM HISTORII KRAKOWA

1916–2005 / Kręte ścieżki życia ks. Józefa Gorzelanego

Proboszcz w „mieście bez Boga”


Rafał Łatka

Dlaczego to właśnie temu kapłanowi, znanemu ze współpracy z władzami, abp Karol Wojtyła powierzył wyjątkowo trudne zadanie budowy kościoła w Nowej Hucie?

Ksiądz Józef Gorzelany pierwsze lata kapłaństwa spędził jako wikariusz w kliku parafiach archidiecezji krakowskiej. Od 1949 r. pełnił posługę w Filipowicach, najpierw jako wikariusz budowniczy kościoła przydzielony do parafii Nowa Góra (1949–1952), a następnie jako administrator parafii Filipowice (1952–1965). Udało mu się wznieść świątynię w trzy lata, czym zyskał uznanie i szacunek parafian. Konsekracja kościoła odbyła się 6 września 1953 r.

Budowa świątyni w okresie silnych antykościelnych represji była możliwa dzięki dobrym kontaktom kapłana z władzami. Relacje te stopniowo się zacieśniały. Od 1959 r. ks. Gorzelany był członkiem wojewódzkiego Koła Księży Caritas w Krakowie, a 5 listopada 1959 r. został zwerbowany w charakterze informatora aparatu bezpieczeństwa. Nadano mu pseudonim Turysta ze względu na zamiłowanie do podróży zagranicznych. Werbunku dokonał mjr Antoni Ćwik, zastępca komendanta MO do spraw SB w Chrzanowie, po długoletnim tzw. opracowaniu kandydata. W swoim raporcie funkcjonariusz wskazał: „Informatora ps. »Turysta« pozyskano drogą stopniowego angażowania na zasadach lojalności. Sposób ten jest dotychczas najlepszą formą pozyskania współpracowników rekrutujących się z księży świeckich na parafiach. Zobowiązania do współpracy nie pobierałem, bowiem takowe mogłoby zrazić informatora do współpracy”.

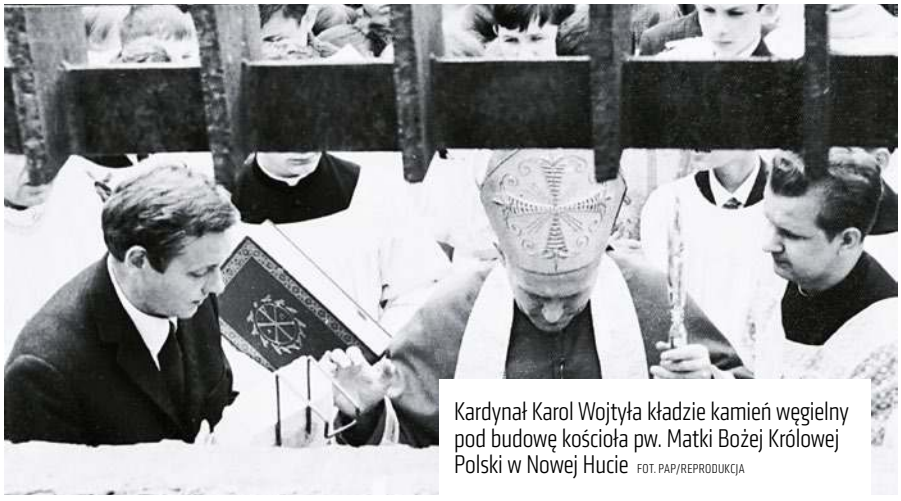
Badająca ten temat Katarzyna Wordliczek zauważyła, że duchowny

eprasa.pl 20df05361f

w swoich kontaktach z aparatem represji przyjął taktykę polegającą na stosowaniu „ustępstw i współdziałania, ale w ściśle określonych granicach". Analizując teczkę pracy informatora „Turysty", należy zgodzić się z tym stwierdzeniem. Ksiądz Gorzelany przekazywał SB informacje dotyczące mieszkańców Filipowic czy działalności kurii krakowskiej. Nie był wynagradzany za współpracę, ale okresowo przyjmował prezenty wręczane przez funkcjonariusza SB. Oficer prowadzący nie był jednak do końca zadowolony z otrzymywanych informacji i w raporcie z sierpnia 1962 r. zaznaczał, że kapłan „jest trudny we współpracy". 23 września 1964 r. mjr Ćwik podjął decyzję o zakończeniu kontaktów z kapłanem. Jej głównym powodem była zmniejszająca się przydatność duchownego, który stał się znany w archidiecezji krakowskiej z ugodowej postawy wobec władz oraz wzrastającej aktywności w Caritasie. W związku z tym nie był w stanie pozyskiwać informacji ze środowisk ocenianych przez władze jako wrogie wobec systemu (a był to przecież główny cel werbunku).



Obrona krzyża w Nowej Hucie, 1960 r. FOT. IPN



Kardynał Karol Wojtyła kładzie kamień węgielny pod budowę kościoła pw. Matki Bożej Królowej Polski w Nowej Hucie FOT. PAP/REPRODUKCJA

Walka o świątynię

W marcu 1964 r. ks. Gorzelany został mianowany przez abp. Karola Wojtyłę administratorem parafii Kraków-Bieńczyce (rok później objął funkcję proboszcza). Była to największa placówka kościelna w Krakowie, gdzie od kilku lat wierni i tamtejsza kuria walczyli o budowę świątyni. Zgodnie z zamierzeniami komunistów Nowa Huta miała być „miastem bez Boga", w związku z czym nie wydawano pozwoleń na budowę nowych świątyń na terenie tej dzielnicy Krakowa.

Arcybiskup Eugeniusz Baziak 15 czerwca 1952 r. erygował parafię Kraków-Bieńczyce i od tego momentu rozpoczęły się starania o budowę kościoła dla mieszkańców Nowej Huty. W listopadzie 1956 r., na fali odwilży październikowej, kuria uzyskała stosowną zgodę i wyznaczono lokalizację nowej świątyni na Osiedlu Teatralnym. Rozpoczęto zbiórkę pieniężną wśród mieszkańców, która przyniosła bardzo owocne rezultaty.

17 marca 1957 r. abp Baziak poświęcił plac pod budowę kościoła – ustanowiono tam krzyż na znak, że w tym miejscu powstanie świątynia. Od tego momentu lokalne władze zaczęły czynić trudności: wycofano pozwolenie, a ponadto zabrano z konta pieniądze pochodzące z ofiar wiernych. 27 kwietnia 1960 r. komuniści chcieli usunąć krzyż z placu przeznaczonego pod kościół. W jego obronie stanęli wierni, a następnie także pracownicy Huty im. Lenina wracający z pierwszej zmiany. Ich opór został brutalnie spacyfikowany przy użyciu siły przez ZOMO i MO. Aresztowano ponad 500 osób, wiele zwolniono z pracy. Krzyż jednak pozostał na swoim miejscu.

Trudno dzisiaj jednoznacznie odpowiedzieć, dlaczego to właśnie ks. Gorzelanego, znanego przecież ze współpracy z władzami, abp Wojtyła wybrał na proboszcza parafii w Bieńczycach, stawiając przed nim tym samym ogromne wyzwanie w postaci budowy kościoła w Nowej Hucie. Wydaje się, że kluczowe były dwa czynniki: zdolności organizacyjne, którymi wykazał się ks. Gorzelany w Filipowicach, oraz nadzieja na przychylność władz wobec duchownego związanego z Caritasem. Kalkulacje metropolity krakowskiego okazały się słuszne.

Już w październiku 1965 r. parafia otrzymała nową lokalizację pod świątynię (krakowska PZPR nie miała zamiaru wyrażać zgody na budowę kościoła w symbolicznym miejscu walk o krzyż z 1960 r.) – władze zgodziły się na teren dotychczasowej kaplicy w Bieńczycach. Kościół miał być wotum z okazji obchodów tysiąclecia chrześcijaństwa w Polsce. Jako nową patronkę parafii i świątyni przyjęto Maryję Królową Polski, nawiązując do programu mariologicznego kard. Stefana Wyszyńskiego.

eprasa.pl 20df05361f

Ksiądz Gorzelany pozwolenie na budowę nowego kościoła uzyskał w 1967 r. Budowa świątyni według projektu inż. Władysława Pietrzyka trwała 10 lat i nie brakowało w tym czasie rozmaitych trudności ze strony władz, szczególnie w zakresie dostępu do materiałów budowlanych. Sprowadzano je wysiłkiem wiernych i proboszcza nie tylko z terenu całej Polski, lecz także z zagranicy. Ksiądz Gorzelany pozyskiwał także wśród Polonii środki konieczne do kontynuowania prac.

Budowa świątyni okazała się możliwa dzięki wysiłkowi, wsparciu i ofiarom mieszkańców Nowej Huty, a także determinacji proboszcza. 18 maja 1969 r. kard. Wojtyła wmurował kamień węgielny, który pochodził z bazyliki św. Piotra w Rzymie i został przekazany metropolicie krakowskiemu osobiście przez papieża Pawła VI. W okresie budowy kościoła kard. Wojtyła regularnie odprawiał na jego terenie nabożeństwa, m.in. słynne „pasterki pod gołym niebem", wyrażając w ten sposób solidarność z wiernymi (analogiczne działania podejmował w innym miejscach Nowej Huty, gdzie miały stanąć nowe kościoły, m.in. w Mistrzejowicach czy na Wzgórzach Krzesławickich). 12 kwietnia 1974 r. krakowskie władze wydały zgodę na użytkowanie pierwszej kaplicy w świątyni w Bieńczycach. Rok później prowadzono prace wykończeniowe, a w 1976 r. ks. Gorzelany uzyskał pozwolenie na zamontowanie krzyża wieńczącego kościół, który znacząco przekraczał jednak limit maksymalnej wysokości budynku.

Świątynia w Bieńczycach pw. Matki Bożej Królowej Polski została konsekrowana 15 maja 1977 r. przez kard. Wojtyłę. W uroczystości wzięło udział ok. 70 tys. wiernych. Metropolita krakowski podkreślił wówczas w homilii: „Tak jak nie dopuściliście do tego, ażeby umarło tutaj imię Boga, ale zbudowaliście Bogu żywemu świątynię – tak nadal czyńcie dziedziną Boga żywego to nowe miasto, to nowe społeczeństwo, ten nowy warsztat pracy".

Bez wkładu ks. Gorzelanego trudno wyobrazić sobie powstanie kościoła. W dniu konsekracji ogromna parafia Kraków-Bieńczyce, licząca wówczas ok. 100 tys. wiernych, została podzielona na cztery mniejsze rejony – w każdej z nich zgodnie z zamiarem kard. Wojtyły miała powstać nowa świątynia. Przez kolejne lata ks. Gorzelany był oficjalnie proboszczem całej parafii Matki Bożej Królowej Polski, ale za działalność duszpasterską w swoich rejonach w pełni odpowiadali duchowni wyznaczeni przez metropolitę krakowskiego. W 1979 r. Jan Paweł II w czasie swojej pierwszej pielgrzymki do Polski odniósł się do Bieńczyc i innych świątyń budowanych w „mieście bez Boga". Podczas homilii na stadionie Klubu Sportowego Hutnik wskazał: „Nie można oddzielić krzyża od ludzkiej pracy. Nie można oddzielić Chrystusa od ludzkiej pracy. To właśnie potwierdziło się tutaj w Nowej Hucie".

Dalsze kontakty z władzami i przejście na stronę opozycji

W okresie budowy świątyni ks. Gorzelany w dalszym ciągu utrzymywał kontakty z funkcjonariuszami SB. Miały one już jednak inny charakter i były wymuszane przez aparat bezpieczeństwa. Ze względu na zniszczenie dokumentów nie znamy ich przebiegu w latach 70. W okresie powstawania kościoła duchownemu zdarzało się publicznie krytykować władze za brak dostępu do materiałów budowlanych czy blokowanie kolejnych etapów budowy świątyni. Cieszył się on jednakże w dalszym ciągu dość dobrą opinią u komunistów, skoro w 1974 r. otrzymał Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski za działalność w Kole Księży Caritas.

Świątynia w Bieńczycach po zakończeniu strajków sierpniowych w 1980 r. stała się ważnym miejscem dla członków nowohuckiej Solidarności

Stopniowo jednak poglądy ks. Gorzelanego ewoluowały w kierunku kontestacji systemu komunistycznego. Trzy lata później, w 1977 r., odesłał odznaczenie do Henryka Jabłońskiego, przewodniczącego Rady Państwa, motywując to w następujący sposób: „Jako ksiądz katolicki nie mogę nosić odznaczenia, które równocześnie jest przyznawane osobom walczącym o ateizm w Polsce". Można to traktować jako swego rodzaju symbol zmiany poglądów duchownego.

Podejście aparatu bezpieczeństwa do ks. Gorzelanego zmieniło się diametralnie w czerwcu 1980 r. Rozpoczęto wówczas wobec kapłana Sprawę Operacyjnego Rozpracowania o kryptonimie Głaz. Powodem jej założenia były coraz ostrzejsze wystąpienia duchownego oraz kontakty ze środowiskami opozycyjnymi, których przedstawiciele gościli niejednokrotnie na terenie parafii. W raporcie Mieczysława Gamrata, funkcjonariusza Wydziału IV SB w Krakowie, wskazywano, że duchowny „wszedł w porozumienie z przedstawicielami ugrupowań antysocjalistycznych [...], udziela im pomocy moralnej i finansowej". Od tego momentu ks. Gorzelany był intensywnie inwigilowany i rozpracowywany. Starano się go zdyskredytować wśród wiernych i innych księży archidiecezji krakowskiej. Do rozpracowania go wykorzystywano także agenturę, głównie ze środowisk kościelnych i opozycyjnych.

Działania wymierzone w ks. Gorzelanego zintensyfikowano po strajkach w sierpniu 1980 r. Wynikało to ze zmieniającej się sytuacji społeczno-politycznej, a także coraz bardziej opozycyjnej postawy kapłana. Bezpośrednią przyczyną zaostrzenia działań SB była głodówka zorganizowana w sierpniu 1980 r. na terenie świątyni w Bieńczycach. Rozpoczęła się ona 26 sierpnia 1980 r. za zgodą i ze wsparciem ks. Gorzelanego. Protest był połączony z modlitwami w intencji strajkujących oraz zwolnienia więźniów politycznych. Udział w nim wzięli m.in.: Mieczysław Majdzik, Jan Franczyk, Zygmunt Łenyk, Adam Macedoński i Stanisław Tor. Głodówka trwała do 30 sierpnia, jej uczestnicy przygotowywali i kolpor-

eprasa.pl 20df05361f



Kościół pw. Matki Boskiej Królowej Polski (Arka Pana) w Nowej Hucie
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ZYGMUNT PUT ZETPE0202

towali ulotki, w których przedstawiali postulaty robotników i informowali o przebiegu strajków. Protest na terenie kościoła wywołał niezadowolenie kurii krakowskiej i negatywne opinie części krakowskiego duchowieństwa.

Bieńczycki proboszcz pozytywnie oceniał zawarcie porozumień sierpniowych. Aparat bezpieczeństwa odnotował jego wypowiedź z 31 sierpnia 1980 r. skierowaną do wiernych: „Moi drodzy, przez cały tydzień modliliśmy się w intencji polskich robotników, w intencji naszej ojczyzny i jesteśmy z największym szacunkiem dla każdego polskiego robotnika. Po tym wszystkim, co się stało w ostatnich dniach, i to, co dzisiaj wreszcie się stało, zwróćmy się do Boga, aby pobłogosławił naszej Ojczyźnie".

Świątynia w Bieńczycach po zakończeniu strajków sierpniowych stała się ważnym miejscem dla nowohuckiej Solidarności. Dzięki życzliwości proboszcza i zaangażowaniu we wsparcie dla opozycji jego wikariuszy – ks. Władysława Palmowskiego, ks. Janusza Bielańskiego i ks. Stanisława Podziornego – kościół stał się prawdziwym „bastionem Solidarności". W tym czasie ks. Gorzelany był blisko związany ze środowiskami opozycyjnymi. 27 września 1980 r. duchowny poświęcił pierwszy lokal Solidarności w Krakowie, mieszczący się przy ul. Karmelickiej. Podkreślił wówczas w swoim wystąpieniu: „W lokalu został zawieszony krzyż, co ma oznaczać […] »rozpoczynanie pracy z Bogiem«". Kapłan od jesieni 1980 r. organizował rocznicowe nabożeństwa w intencji buntu robotników na Wybrzeżu oraz obrony nowohuckiego krzyża, zaangażował się także w akcję wieszania krzyży w krakowskich szkołach. 29 marca 1981 r. na życzenie hutników odprawił pierwsze w historii nabożeństwo na terenie Huty im. Lenina. We Mszy św. uczestniczyło ok. 4 tys. pracowników zakładu. Zdarzało się jednak, że ks. Gorzelany ulegał naciskom SB i odmawiał zaangażowania się w niektóre inicjatywy opozycji, jak np. organizacja przemarszu z kościoła w Bieńczycach pod krzyż nowohucki w 21. rocznicę jego obrony.

Msze za ojczyznę

Po wprowadzeniu stanu wojennego ks. Gorzelany nie przerwał swojego opozycyjnego zaangażowania. Był jednym z kapłanów zapewniających opiekę duszpasterską dla pracowników Huty im. Lenina prowadzących w dniach 13–17 grudnia strajk okupacyjny. W kościele w Bieńczycach proboszcz i podlegli mu wikariusze odprawiali nabożeństwa każdego 13. dnia miesiąca w intencji aresztowanych, internowanych i represjonowanych. W Bieńczycach od 1982 r. odbywały się regularnie Msze św. za ojczyznę, a także nabożeństwa rocznicowe (np. 31 sierpnia). Oprócz księży pracujących w parafii odprawiali je także duszpasterze z innych krakowskich kościołów, a także duchowni współpracujący z opozycją z wielu regionów kraju. Z tych powodów ks. Gorzelanemu często składali wizyty funkcjonariusze SB i pracownicy Wydziału do spraw Wyznań w Krakowie, naciskając, by zaprzestał poruszania spraw politycznych w czasie nabożeństw. Naciski przynosiły jednak tylko połowiczne skutki.

Świątynia w Bieńczycach była także punktem wymiany informacji o aresztowanych i internowanych działaczach opozycji. Ksiądz Gorzelany zaangażował się w czasie stanu wojennego również w organizację pomocy charytatywnej dla potrzebujących, regularnie wyjeżdżał za granicę po pomoc humanitarną (m.in. do Austrii). Wydział do spraw Wyznań w Krakowie stale monitował kurię w sprawie przeniesienia bieńczyckiego proboszcza do innej parafii. Kardynał Macharski, mimo nacisków władz, nie miał zamiaru odwoływać z funkcji ks. Gorzelanego. Powodem tego były m.in. zarówno zmniejszająca się od końca 1982 r. aktywność kapłana spowodowana pogorszeniem jego stanu zdrowia, jak i przekonanie, że opozycyjne manifestacje (wobec coraz bardziej brutalnych interwencji sił porządkowych) nie przynoszą poważniejszych efektów. Nie bez znaczenia były także przygotowania do drugiej pielgrzymki Jana Pawła II do ojczyzny oraz polecenia kurii krakowskiej, by unikać w czasie nabożeństw „politycznych akcentów". Te ostatnie ponownie pojawiły się w kazaniach bohatera tego tekstu latem 1983 r., szczególnie w okresie sierpniowych rocznic. To z kolei spowodowało nowe naciski ze strony władz w celu odwołania ks. Gorzelanego z funkcji, lecz i tym razem były one nieskuteczne.

W październiku 1985 r. ks. Gorzelany zakończył swoją misję jako proboszcz i przeszedł na emeryturę. Rok później otrzymał tytuł honorowego proboszcza parafii Nowa Huta-Bieńczyce i zamieszkał jako rezydent na osiedlu Cichy Kącik w Krakowie. Według aparatu bezpieczeństwa ks. Gorzelany zaprzestał wówczas „działalności o charakterze politycznym". SB zamknęła w związku z tym SOR dotyczący kapłana. Jednak duchowny w dalszym ciągu angażował się w sprawy społeczne, przyczyniając się m.in. do sprowadzenia do Polski Zakonu Rycerzy św. Łazarza (od 1995 r. pełnił w nim funkcję kapelana).

Ksiądz Gorzelany zmarł po długiej chorobie 7 listopada 2005 r. Dwa dni później odbył się na cmentarzu Rakowickim jego pogrzeb. Żegnały go tysiące mieszkańców Nowej Huty – bieńczycki proboszcz wciąż cieszy się żywą pamięcią mieszkańców tej dzielnicy. W 2007 r. jego imieniem nazwano dawne rondo Kocmyrzowskie, jedno z największych w Krakowie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 20df05361f



Awerroes (Ibn Ruszd)
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, SAILKO

Średniowiecze / Islam napędza naukę

Półksiężyc w apogeum



Łukasz Czarnecki

To właśnie dzięki muzułmanom przetrwała znaczna część starożytnej spuścizny, by później za ich pośrednictwem powrócić do Europy

W VII w. wyznawcy islamu znajdowali się na dość niskim poziomie cywilizacyjnym. Z tego, co nam wiadomo o wczesnych dziejach Arabów, nawet podstawowa edukacja była u nich bardzo zaniedbana (sam Mahomet był ponoć niepiśmienny), medycyna składała się głównie z zabobonnych praktyk magicznych, a myśl filozoficzna nie istniała. Tymczasem ziemie Bizancjum i Persji, które znalazły się pod ich władzą, zamieszkiwały wysoko rozwinięte ludy o tradycji naukowej sięgającej wiele wieków wstecz. W miastach, do których wkraczali arabscy zdobywcy, takich jak Aleksandria, Damaszek, Antiochia czy perski Dżundiszapur, funkcjonowały biblioteki i skupiające uczonych akademie. W obliczu tego intelektualnego splendoru zwycięzcy musieli czuć się prostakami z prowincji.

To zderzenie cywilizacji mogło zakończyć się naprawdę tragicznie, wystarczy wspomnieć, w jaki sposób na Zachodzie barbarzyńscy Germanie potraktowali spuściznę kultury rzymsko-greckiej. Filozofowie z podbitych rejonów mieli powody, by obawiać się, że dzicy Arabowie puszczą z dymem księgozbiory i wymordują uczonych. Stało się jednak zupełnie inaczej. Całe to zastane na podbitych terenach bogactwo intelektualne zafascynowało wyznawców islamu, którzy zapragnęli uczyć się od swych nowych poddanych. Za panowania kalifów z dynastii Abbasydów, w połowie VIII w., cywilizacja islamu rozpoczęła przyswajanie dorobku intelektualnego Grecji, Persji i Indii. W ten sposób doszło do niezwykle dynamicznego rozwoju nauki, co w kolejnych wiekach charakteryzowało świat muzułmański.

„Nauka niewiernych”

Choć dawni mieszkańcy Półwyspu Arabskiego byli w dużej mierze niepiśmienni, to islam był i jest religią księgi. Podstawą wiary w Allaha jest Koran zawierający wypowiedzi Mahometa zebrane po jego śmierci w jednym tomie.

eprasa.pl 20df05361f

Już samo to wystarczyło, by wzbudzić w wyznawcach nowej religii wielki szacunek dla słowa pisanego. Nie wyjaśnia to jednak zainteresowania i respektu, który Arabowie okazali zabytkom piśmiennictwa greckiego i perskiego, wszak równie dobrze mogli uznać ich zawartość za grzeszną i spalić je na stosach. Sami muzułmanie to, czego uczyli się od podbitych ludów, nazywali „nauką niewiernych", ale nie uważali jej za coś gorszego. Skąd brała się taka postawa?

Musimy się tu odwołać do drugiej obok Koranu siły kształtującej życie każdego muzułmanina. Są nią hadisy, czyli krótkie opowieści o słowach i czynach Mahometa, wyznaczające wzór postępowania. Wśród cytatów przypisanych posłańcowi Allaha znalazły się m.in. słowa „Wiedzy szukaj choćby w Chinach". Elity nowo powstałego imperium arabskiego uznały je za zachętę do uczenia się, także od niewiernych. Samemu Mahometowi zapewne nigdy w życiu nie śniło się nawet, że tym prostym zdaniem (o ile rzeczywiście je wypowiedział) uratuje od zagłady wielowiekowy dorobek antycznych cywilizacji.

Aby zapoznać się ze spuścizną starożytnych ziem, które podbili, Arabowie musieli jednak najpierw móc o niej przeczytać. Przeszkodą była tu słaba znajomość greki i języka staroperskiego. Na szczęście wśród ich nowych poddanych znalazło się wielu chętnych do pracy nad tłumaczeniami. Ruch tłumaczeniowy miał istnieć przez blisko dwa wieki i oprócz kolejnych kalifów angażować też znaczną część elit. Wśród bogatej arystokracji zapanowała wręcz moda na zlecanie przekładów dawnej literatury naukowej. I właśnie słowo „naukowej" należy tu podkreślić, bo choć muzułmanie przyswoili sobie ogrom prac medycznych, przyrodniczych, matematycznych i astronomicznych, to nie wykazywali najmniejszego zainteresowania literaturą piękną dawnej Grecji! Cała ta bogata, rozpoczęta przez „Iliadę" tradycja pozostała w kalifacie zupełnie nieznana. Arabowie nie wiedzieli nic o sztukach ateńskich dramatopisarzy i nie czytali Herodota czy Tukidydesa – ich historiografia rozwijać miała się zupełnie niezależnie od wzorców stanowiących fundament dziejopisarstwa zachodniego. Właściwie jedyną dziedziną humanistyczną europejskiej starożytności, którą przyswoili sobie wyznawcy islamu, była filozofia, dla której znajdowali zastosowanie praktyczne w polemikach z przedstawicielami innych religii i badaniach nad Koranem.

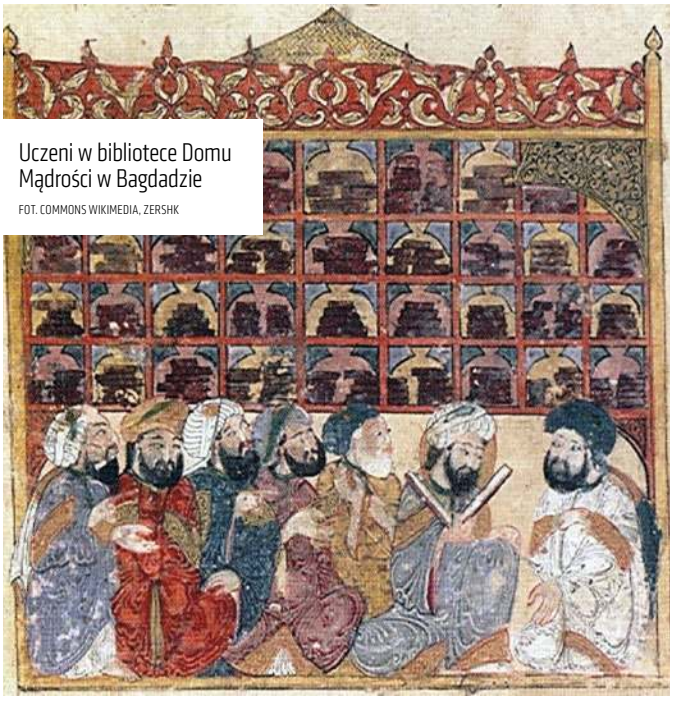
Po przejęciu władzy przez Abbasydów i przeniesieniu w roku 762 stolicy imperium do Bagdadu ruch tłumaczeniowy, a wraz z nim ferment intelektualny, przybrały na sile. Powodem było to, że dwór kalifów był otoczony przez kulturę perską, która przemożnie nań wpływała. Najbardziej znaczącymi dostojnikami w świcie trzech kolejnych Władców Wiernych pozostawali wezyrowie z nawróconego na islam perskiego rodu Barmakidów. Zapoznawali oni swych panów ze spuścizną własnych przodków, byli też wielkimi mecenasami naukowców i tłumaczy. W ich ślady szli kolejni możni. O znaczeniu, które władze kalifatu przykładały do nauki, świadczy fakt ufundowania w Bagdadzie Domu Mądrości, czyli swego rodzaju akademii skupiającej uczonych utrzymywanych przez kalifa. Instytucja ta była wyposażona w ogromną bibliotekę i sprawnie przekładała na arabski kolejne dzieła.

Błędem byłoby jednak uznanie, że muzułmanie (bo już nie tylko Arabów wliczać należy w to grono) ograniczali swą naukową działalność wyłącznie do kopiowania antycznych mądrości. Z czasem zaczęli rozwijać własne badania, pisali komentarze do dzieł starożytnych, sprawdzali dawne teorie i wdawali się z nimi w dyskusje. Znajdowali też nowe zastosowania dla starych koncepcji lub dokonywali samodzielnych odkryć, co szczególnie wyraźnie widać na przykładzie medycyny, o której będzie mowa za chwilę.

Filozofowie w turbanach

Muzułmanie wykazywali szczególne inklinacje w kierunku greckiej filozofii, darząc ogromnym szacunkiem Arystotelesa, którego prace chętnie czytano jak kalifat długi i szeroki. Co więcej, część dzieł Stagiryty znamy dziś tylko dlatego, że powstały ich arabskie przekłady, które później trafiły do średniowiecznej Europy – oryginały zaginęły bezpowrotnie. Wielką estymą cieszył się również Platon. Inna rzecz, że wyznawcy islamu nie przejmowali myśli wielkich filozofów w stanie czystym, docierała ona do nich w formie interpretacji neoplatoników. Ów prąd filozoficzny, który wieki wcześniej dawał podstawy intelektualne pierwszym ojcom Kościoła, wciągnął bez reszty również muzułmańskich myślicieli, dostarczając im podręcznych narzędzi do interpretowania spisanych w Koranie objawień proroka i prowadzenia rozważań na temat natury Allaha.

Filozofia muzułmańska (falsafa) pozostawała w ścisłym związku z teologią spekulatywną (kalamą). Nie mogło być inaczej



Uczeni w bibliotece Domu Mądrości w Bagdadzie

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ZERSHK

eprasa.pl 20df05361f

w sytuacji, gdy w Koranie znajdowało się tyle niejasnych wersetów, że prędzej czy później musiały one stać się przedmiotem szczegółowych rozważań. Istniała bardzo cienka granica pomiędzy filozofią a teologią, często zresztą przekraczana, co powodowało liczne kontrowersje i rozbudzało skrajne niekiedy namiętności. Najlepiej widać to na przykładzie historii sporu między mutazylitami a aszarytami, który przez pewien czas był tak zaciekły, że doprowadził do rozlewu krwi.

W wielkim skrócie ci pierwsi, posługując się zaczerpniętymi od Greków narzędziami logicznymi, dowodzili wyższości rozumu nad objawieniem. Bóg był w ich ujęciu jeszcze bardziej transcendentny niż w klasycznym islamie i całkowicie niepojęty człowiekowi. Szczególne zgorszenie przeciwników tego nurtu budziło twierdzenie, że Koran nie istniał od zawsze, lecz w pewnym momencie, jak wszystko inne we wszechświecie, został stworzony. Aszaryci z kolei, posługując się tą samą metodologią, doszli do dokładnie odwrotnych wniosków i ostro występowali przeciwko mutazylitom. Ci ostatni za czasów kalifa Al-Mamuna i jego bezpośrednich następców reprezentowali główny nurt i to ich doktryna stała się oficjalną ideologią imperium. Krótko jednak utrzymała ona miejsce na podium, ponieważ będąc zbyt obcą przeciętnemu człowiekowi, została w końcu uznana za herezję.

Dwóch wielkich

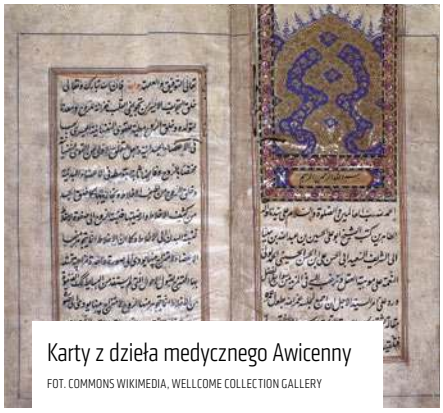
Średniowieczny świat islamu wydał wielu filozofów, ale skupmy się tu na dwóch z nich, którzy odegrali kluczową rolę w rozwoju myśli europejskiej.

Pierwszym z nich był Ibn Sina (980–1037), działający w Persji uczony i lekarz, w Europie znany jako Awicenna. Urodzony w Bucharze uczony stworzył największą w świecie islamu syntezę myśli arystotelesowskiej z neoplatonizmem. Interesował się naturą Boga, którego uważał za byt odwieczny i naczelną Zasadę, z której emanują kolejne tworzące wszechświat hipostazy. Stwórca był w jego ujęciu tak doskonały, że nie interesował się losem jednostek. Działał wyłącznie na ogółach, stąd kierował



Awicenna (Ibn Sina) przy łożu chorego FOT. COMMONS WIKIMEDIA

tylko całymi wielkimi zbiorowościami. Ibn Sina dzielił byty na konieczne i niekonieczne. Na tej podstawie wyprowadzał dowód na istnienie Boga. Swoje poglądy wyłożył w dziełach: „Księga uzdrawiania", „Księga wybawiania" oraz „Księga wskazówek i napomnień". Na nich jednak jego twórczość literacka się nie skończyła, napisał także „Kanon medycyny", o którym będzie jeszcze mowa, a jego łączny dorobek wyniósł 450 (sic!) pozycji. Awicenna zadziwiał współczesnych swą pracowitością, noce zamieniając w dzień, dyktując padającym na twarz z wyczerpania studentom treść swoich kolejnych traktatów, prowadząc z nimi uczone dysputy i obficie racząc się, skądinąd zakazanym przez islam, winem. Przekłady Ibn Siny na łacinę były chętnie czytanie w Europie, nawet jeśli ich treść nie zawsze była zgodna z doktryną chrześcijańską, co ostatecznie doprowadziło je w XIII w. na kościelny indeks ksiąg zakazanych.



Karty z dzieła medycznego Awicenny
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, WELLCOME COLLECTION GALLERY

Drugim islamskim nauczycielem zachodnich filozofów był pochodzący z muzułmańskiej Hiszpanii Ibn Ruszd (1126–1198), znany w Europie jako Awerroes. Był on ostatnim wielkim przedstawicielem falsafy w zachodniej części świata islamu. W swoich badaniach skupiał się na Arystotelesie uważanym przez siebie za najwspanialszego z filozofów, którego spuściznę usiłował oczyścić z naleciałości neoplatońskich. Pozostawał zaciętym krytykiem Ibn Siny, nie uznając jego podziału bytów na konieczne i niekonieczne. Wywodził dowód na istnienie Boga z ruchu, uznając Stwórcę za pierwszego poruszyciela. Wprowadził też koncepcję trzech poziomów prawdy: pierwszy – najbardziej podstawowy – był przeznaczony dla zwykłych ludzi i opierał się na retoryce, szczebel wyżej znajdowali się teologowie, którzy potrafili spojrzeć w głąb koranicznych wersetów, jednak sam szczyt poznawczej piramidy Awerroesa zajmowali filozofowie, zwłaszcza arystotelicy, do których sam się zaliczał.

Myśl Ibn Ruszda szybko przeniknęła na Zachód, robiąc furorę najpierw w środowiskach żydowskich, później zyskując dużą popularność na XII-wiecznym uniwersytecie w Paryżu. Wywołała na tyle silny ferment intelektualny, że jej wyznawców (którzy zresztą rozumieli z niej piąte przez dziesiąte) oskarżano o herezję, a spowodowane przez Awerroesa kontrowersje w łonie chrześcijaństwa trwać miały aż do XVI w.!

Krojenie trupów

Fascynującym zagadnieniem pozostaje średniowieczna muzułmańska medycyna. Wyznawcy islamu, zapoznawszy się z dorobkiem lekarskiej tradycji Grecji i Persji, szybko zaczęli rozwijać tę dziedzinę wiedzy. W niedługim czasie medycy działający w kalifacie posiedli gruntowną znajomość chorób i sposobów ich leczenia, prawdopodobnie będąc najskuteczniejszymi adeptami tej sztuki w ówczesnym świecie. Szczególne talenty wykazywali w dziedzinie walki z chorobami oczu, które często występowały wśród ludzi żyjących w gorącym i słonecznym klimacie. Muzułmańscy lekarze potrafili przeprowadzać nawet

eprasa.pl 20df05361f

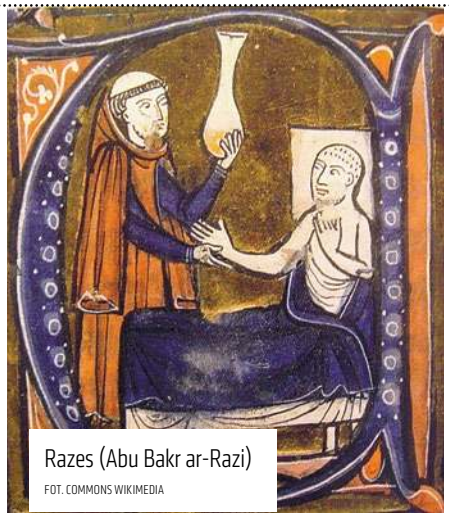
zabiegi chirurgiczne na gałce ocznej pacjenta, np. usuwając kataraktę. W czynieniu postępów naukowych na drodze stanęły im jednak kontrowersje związane z przeprowadzaniem sekcji ludzkich zwłok – islam potępiał tego typu praktyki. Niektórzy najbardziej oddani rzemiosłu lekarze ryzykowali więc swoje nieśmiertelne dusze, krojąc trupy w tajemnicy.

Za jednego z najwybitniejszych lekarzy świata islamu uchodzi żyjący na przełomie wieków IX i X Abu Bakr ar-Razi, w Europie znany jako Razes. Ten średniowieczny dr House był prawdziwym polihistorem, którego ogromna wiedza ściągała nań nierzadko oskarżenia o praktykowanie magii. Przez wiele lat pracował jako ordynator szpitala w Bagdadzie, który zbudował od zera na rozkaz kalifa. Wedle słynnej anegdoty, chcąc znaleźć dla planowanej instytucji najlepszą lokalizację, Ar-Razi rozłożył w różnych częściach stolicy kawałki mięsa i obserwował, jak szybko się psuły. Gmach stanął ostatecznie w miejscu, gdzie zostawiony befsztyk najdłużej zachował świeżość.

Razes pracował na rzecz pacjentów z wielkim oddaniem, nieobcy był mu zmysł eksperymentatora. Zdarzało mu się chorych na tę samą przypadłość leczyć za pomocą zupełnie odmiennych kuracji, by przetestować, która z nich jest najbardziej skuteczna. Ponadto swoją wiedzę systematycznie przelewał na papier. Jeszcze za jego życia ukazała się „Księga medyczna Al-Mansura", a już pośmiertnie „Księga ogólna o medycynie", oparta na niepublikowanych notatkach wielkiego medyka. Końcówkę życia miał zresztą Ar-Razi niewesołą, bo na starość stracił wzrok, i to w okolicznościach, które gdyby nie tragedia, którą spowodowały, uznać można byłoby za wzięte żywcem z farsy – uczony oślepł po tym, jak kalif Al-Mansur, podenerwowany nieudanym eksperymentem alchemicznym, zdzielił go po głowie jego własną książką. Koledzy po fachu zaproponowali starcowi interwencję chirurgiczną, która mogłaby przywrócić mu wzrok, ale Ar-Razi grzecznie podziękował, mówiąc, że dość się na ten świat napatrzył i ma go już serdecznie dość.

„Księga ogólna o medycynie" to dzieło iście gargantuiczne – współczesna (niepełna!) edycja zajmuje aż 23 tomy. Już w średniowieczu była ona za ową rozwlekłość krytykowana. Perski lekarz Al-Madżusi z przekąsem twierdził, że Ar-Razi pozwolił sobie na słowotok, chcąc zbudować pomnik ku swej chwale. Pers sam był autorem dzieła medycznego znanego jako „Księga królewska", którego podział na dwie osobne części poświęcone kolejno teorii i praktyce miał być naśladowany przez autorów kolejnych kompendiów.

Na koniec warto wspomnieć, że znany nam już Ibn Sina również parał się medycyną. Wśród kilkuset napisanych przezeń traktatów znaleźć można też te poświęcone zdrowiu, a dziełem życia uczonego z Buchary był „Kanon medycyny", który rychło został przetłumaczony na łacinę i stał się jednym z podstawowych podręczników medycznych średniowiecznej Europy. Sam Awicenna twierdził, że w młodości chciał medycynę zgłębiać wyłącznie teoretycznie, ale dał się wciągnąć praktyce, gdy odkrył, że bez niej nigdy nie zdobędzie pożądanej wiedzy.



Razes (Abu Bakr ar-Razi)
FOT. COMMONS WIKIMEDIA



Wnętrze mauzoleum Awicenny w Hamadan (Iran)
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, NICK TAYLOR

Astrolabia

Przedstawione powyżej przykłady z dziedzin filozofii i medycyny nie wyczerpują ogromnej spuścizny naukowej świata islamu. W wiekach średnich muzułmanie przodowali też w wielu innych dziedzinach. Uczeni w turbanach odnosili sukcesy choćby na polu matematyki. Udało im się wyliczyć liczbę pi z dokładnością, którą w Europie pobito dopiero w epoce nowożytnej! To od nich też świat zachodni zapożyczył liczydło. Ów arabski wynalazek w Europie rozpowszechnił papież Sylwester II, wielki znawca matematycznego dorobku Lewantu. Z kolei potrzeba dokładnego ustalenia kierunku, w którym należy się kłaniać w trakcie modlitw, tzw. kibli, dała asumpt do rozwoju astronomii. W XIII w. w Samarkandzie funkcjonowało najnowocześniejsze obserwatorium ówczesnego świata, w którym pracowała grupa muzułmańskich astronomów utrzymywanych przez mongolskiego chana Hulagu. To od muzułmanów Europejczycy nauczyli się też sztuki tworzenia astrolabiów.

Osiągnięcia naukowe świata islamu zaczęły przenikać do Europy w miejscach, gdzie dochodziło do styku kultur, jak choćby w Hiszpanii czy na Sycylii. Mimo panującej między wyznawcami Allaha a chrześcijanami wrogości uczeni, niejednokrotnie duchowni, tłumaczyli napisane w języku arabskim traktaty na łacinę, w której to wersji przyczyniały się one do postępu cywilizacji zachodniej. Z czasem, stanąwszy na własnych nogach, europejscy uczeni poszli swoją drogą, ta zaś w ostatecznym rozrachunku doprowadzić miała do powstania współczesnej cywilizacji technicznej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 20df05361f



Pomnik ofiar terroru NKWD w Bykowni (Kijów)

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ANDRZEJ HARASSEK

XX w. / Strach i milczenie w Związku Sowieckim

Odraza do nieludzkiego ustroju



Marek Gałęzowski

Wbrew powierzchownym opiniom o poglądach Józefa Mackiewicza nie występował on przeciw komunizmowi z motywacji politycznej, przynajmniej w tym sensie, który nadaje jej walka o władzę między poszczególnymi stronnictwami

W pismach autora „Kontry" znajduje się niemało wypowiedzi na ten temat, jak chociażby w liście do Juliusza Sakowskiego: „Wszystko, co piszę, jest antybolszewickie, nie z politycznego stanowiska, a z czysto-ludzkiej odrazy do nie-ludzkiego ustroju". Komunizm był bowiem dla pisarza czymś więcej niż terminem ze słownika pojęć typowych dla życia politycznego – „wynalazkiem psychologicznym przeistaczającym [...] wielotorowość ludzkiej inicjatywy w jednotorowego robota", odzierającym człowieka „z wolności osobistej i godności ludzkiej", dążącym do przemiany wszystkich wartości poprzez kontrolę każdego zachowania, a nie jedynie – postawy politycznej. Był systemem dążącym do zniszczenia autonomii jednostki, kierującym się przede wszystkim przeciw każdemu człowiekowi z osobna, a nie narodom. Dlatego, nakładając „kaganiec na każdą wolną myśl i słowo, stanowi największe zagrożenie dla rozwoju każdej kultury. Nie tylko polskiej, ale każdej".

Popioły nieznanych osób

Wspomniane dążenia komunistyczne uzasadniały pogląd pisarza, że „Sowiety w swej czynności, strukturze i celach, do jakich dążą, są daleko bardziej zbliżone do pojęcia abstrakcyjnego »zła«, niż się to pozornie może wydawać". Pierwszy, najdotkliwszy wyraz znajdowało ono w powszechnym terrorze, najbardziej istotnej, integralnej części komunistycznego systemu przemocy, dotykającego przedstawicieli wszystkich grup społecz-

eprasa.pl 20df05361f

nych, narodowych, religijnych (najpierw w ZSRS, następnie w innych opanowanych krajach) i obejmującego sytuacje, które w czasach samowładztwa carskiego w ogóле nie podlegały karze.

Mackiewicz podawał liczne przykłady świadczące o daremności zestawiania przemocy panującej w dawnej Rosji z powszechnym terrorem sowieckim, przywołując chociażby zbrodnię na oficerach Wojska Polskiego, dokonaną w Lesie Katyńskim, których to oficerów stłoczonych rzędami w mogile widział „na własne oczy": „Ręce i nogi nawzajem splecione, wszystko uciśnięte jak walcem. Poszarzałe, martwe, szereg za szeregiem, setka za setką, niewinni, bezbronni żołnierze [...]. Nie rozpoznać w tej lepkiej masie indywidualnych kształtów. Właśnie: masa, słowo tak ulubione w Sowietach [...]. To jednak, co najbardziej nęka wyobraźnię, to indywidualność morderstwa, zwielokrotniona w swej potwornej masie".

„Tam... mord masowy popełniony być może w każdym miejscu" – pisał Mackiewicz. Nie tylko jednak sam mord, lecz także jego masowość i niespotykana wcześniej metodyczność dowodziły wyjątkowości. W jednej ze swoich najważniejszych i jednocześnie najbardziej wstrząsających w moim przekonaniu publikacji – „Klucz do »Parku Kultury i Odpoczynku«" – Mackiewicz opisał zbrodnie komunistyczne dokonane na mieszkańcach ukraińskiej Winnicy: „Masowy ten mord, dokonany nie w okresie wojennym, ale w latach pełnego pokoju, nie był spowodowany [...] jakimiś warunkami zewnętrznymi. Ofiary jego nie stanowiły żadnej, szczególnie nowej pozycji jak w wypadku jeńców polskich. Wymordowano osiadłą miejscową ludność".

Procedura mordu była zaplanowana w każdym szczególe, na zimno, bez cienia improwizacji, „bez błędu, metodycznie, nieomal chciałoby się powiedzieć w spokoju ducha, jak rzecz z dawna wypraktykowana". Liczba ofiar w mieście, liczącym sobie ok. 70 tys. mieszkańców, wyniosła blisko 10 tys. pomordowanych w latach 1937–1939 ludzi, odnalezionych w 92 dołach śmierci, na których władze komunistyczne urządziły ów „Park Kultury i Odpoczynku"... A przecież Winnica była tylko jednym z wielu miast ukraińskich, gdzie wówczas dokonano tych mordów, a wśród ofiar byli, oprócz Ukraińców,



Portret Nikołaja Jeżowa, szefa NKWD, na budynku jednego z łagrów FOT. COMMONS WIKIMEDIA

także przedstawiciele innych narodowości – przede wszystkim polskiej. Przejmujące jest jednak i to, że z tych tysięcy ekshumowanych ciał zidentyfikowano jedynie 679 osób.

Napis na płycie nagrobnej w Monastyrze Daniłowskim w Moskwie brzmi: „Popioły nieznanych osób" i taki mógłby być i w Winnicy. I w tysiącach podobnych miejsc ZSRS. A przecież, jak zauważa w swojej znakomitej „Historii komunizmu na świecie" Thierry Wolton, „za abstrakcyjnymi statystykami zawsze stoją mężczyźni, kobiety, dzieci, starcy, których dotknęły represje i którzy znaleźli się sami wobec cierpienia. O ile kaci myśleli w kategoriach mas, które chcieli zniszczyć, o tyle ich ofiary mierzyły się z męką w samotności, dźwigając swój jednostkowy los. Liczby, choć są przerażające, spychają martwych w zapomnienie pożądane przez oprawców, nadają ich losowi wymiar abstrakcyjny, tymczasem to jednostkowy los pozwala zmierzyć rozmiar dramatu, dotykającego wszystkich".

Wśród zidentyfikowanych ofiar byli, jak wspomniano, przede wszystkim Ukraińcy, ale odnaleziono tam także 28 Polaków. Liczba ta mogła być jednak większa, ponieważ w wypadku niektórych osób o polsko brzmiących personaliach, jak Stanisław Kowalski, Jadwiga Rolińska, Paulina Kwaśniewska, Karol Słowacki, nie podano ich narodowości. Mackiewicz na tej podstawie ostrożnie wnioskuje, że łącznie w winnickich mogiłach mogło spoczywać „około 560 Polaków, których krew zmieszana została z krwią i ziemią ukraińską".

Wspomnijmy w tym miejscu, że była to jedna z pierwszych, o ile nie pierwsza, powojennych wypowiedzi, w której upomniano się o pamięć o Polakach zamordowanych w czasie operacji antypolskiej NKWD w drugiej połowie lat 30. XX w. W następnym roku Mackiewicz wrócił do tej sprawy w artykule „Tajemnicze zniknięcie dziesiątek tysięcy Polaków". Wyrażał w nim przypuszczenie, że liczni Polacy z tzw. sowieckich rejonów autonomicznych na Ukrainie nie zostali



Ekshumowane ciała ludzi zamordowanych przez NKWD w Winnicy

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, UKRAINIAN AMERICAN YOUTH ASSOCIATION

eprasa.pl 20df05361f

wywiezieni, lecz zgładzeni, także w Winnicy – ludzie, „którzy zginęli bez śladu i pamięć o nich zaginęła, że egzystowali kiedyś! A nad ich trupami pozostał szyld na bramie »Park Kultury i Odpoczynku«".



Pomnik ofiar komunistycznego terroru (1937–1938) w Winnicy

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, HÅKAN HENRIKSSON (NARKING)

Paraliżujące zamilknięcie

W kraju, gdzie „terror jest najbardziej istotną, składową częścią ustroju", równie integralnym elementem jest wszechobecny strach, „równość strachu. Równość terroru", w skali nieznanej wcześniej mieszkańcom Rosji, niezależnie od ich narodowości i wyznania: „Charakterystyczną cechą każdej sowieckiej okupacji jest objaw jakiegoś zbiorowego paraliżu psychicznego, któremu ulega okupowana ludność. Wszyscy nagle chodzą ze spuszczoną głową […], boją się, nie zdając sobie nawet często sprawy z konkretnej treści tego strachu".

Podobne refleksje miał Józef Czapski: „Opuszczając Rosję Sowiecką, wyniosłem poczucie nieoddychalnej, dławiącej atmosfery, nie dlatego, że zmarli z głodu lub zostali zamordowani ludzie bardzo mi bliscy, że wyginęły tam setki tysięcy rodaków, ale że to był kraj milczenia. Że nie tylko jest tam krzywda człowieka, wyzysk i zło (ileż razy i tutaj, na Zachodzie, wstydzić się musimy zła i krzywdy, z którymi się stykamy lub które sami popełniamy), ale że tam nie można było nawet krzyknąć, zaprotestować, na zbrodnie palcem wskazać". Nie można było, gdyż „najbardziej charakterystyczną cechą socjalistycznego państwa jest oficjalne negowanie istnienia represji" – jak pisali w swojej „Utopii u władzy" Michał Heller i Aleksander Niekricz.

To było owo „paraliżujące zamilknięcie" – jak przenikliwie nazwała tę postawę w kontekście rozważań nad twórczością Mackiewicza Katarzyna Bałżewska w „Przestrzeniach totalitarnego zniewolenia". Sam autor „Drogi donikąd" używał określenia paraliżu psychicznego, „któremu ulegają obywatele sowieccy, a który doprowadza do tego, że nie tylko NKWD nie chce, by ludność wiedziała o pewnych faktach, ale sama ludność szczerze i rzetelnie nie chce o nich wiedzieć".

Zwracając uwagę na to zjawisko, Mackiewicz często podkreślał, że bolszewicki aparat przemocy postępował inaczej niż nazistowski: „Niemcy plakatowali na czerwono, żeby się rzucały w oczy afisze o rozstrzelanych, za bolszewików człowiek, który się dowiedział o rozstrzelaniu znajomego, mówił tylko szeptem, a częściej milczał […]" – pisał.

I dlatego nawet największe zbrodnie, kłamstwa czy nawet codzienne nieprawości nie potrafiły „wzbudzić najmniejszej reakcji ze strony opinii, która jest kompletnie i bez reszty sparaliżowana. Jedyną usankcjonowaną reakcją indywidualną jest tylko – strach". To nie do pojęcia przez współczesnych strach sprawił, że mogiłę pomordowanych w Winnicy odkryto dopiero dwa lata po zajęciu miasta przez Niemców, a krótko przed ich odwrotem. „A przecież tam zakopani byli […] swoi, najbliżsi!".



Tablice w Dołbyszu z nazwiskami ofiar „operacji polskiej" NKWD FOT. IPN

Ale przełamanie jednak nastąpiło i – jak pisał w innym artykule Mackiewicz – miejscowa ludność weszła w końcu na teren „Parku Kultury i Odpoczynku", „wyniosła stamtąd przyrządy gimnastyczne, huśtawki dla dzieci, rozbiła cement wylany na placyku przeznaczonym do tańca. I zaczęła kopać. Pod tym placem dla tańca, pod tymi huśtawkami dziecięcymi leżały… trupy, trupy i trupy! Dziesięć tysięcy trupów ojców, braci, mężów, sióstr i matek… A nad tym wszystkim widniał szyld z napisem »Park Kultury i Odpoczynku«".

Największy wróg – słowo

Mackiewicz nie ograniczał się wyłącznie do spostrzeżeń dotyczących powszechności i okrucieństwa sowieckiego systemu władzy. Wartość jego poglądów polegała przede wszystkim na zwróceniu uwagi na inne cechy, odróżniające komunizm od rozmaitych form tyranii, przede wszystkim dawnego samowładztwa rosyjskiego, z których o kilku była już mowa. Te cechy kazały uznać za niepodobieństwo nazywanie komunizmu czerwonym caratem, jak czyniła to, nawiązując do tytułu dzieła Jana Kucharzewskiego, większość polskich polityków i publicystów. Za swoiste motto swojej argumentacji pisarz uznał słowa rosyjskiego filozofa Fedora Stepuna, który wskazywał, że rząd carski nie zajmował się wychowywaniem człowieka. Mackiewicz stwierdzał, że właśnie to spostrzeżenie „najtrafniej określa różnicę pomiędzy tamtym ustrojem i ustrojem komunistycznym. Nie ilościową, ale jakościową".

Może jednak bardziej dostrzegalną różnicą było kłamstwo, które „doprowadzone jest do takiego stopnia rozwoju i rozpowszechnienia, że i tak nie ma najmniejszego znaczenia najmniejszy pozór

eprasa.pl 20df05361f

prawdy, gdyż nikt go nie będzie śmiał sprawdzać". Odnosiło się ono do wszystkich sfer życia, a jednym z jego najokrutniejszych przejawów było postępowanie totalitarnej władzy sowieckiej wobec najbliższych ofiar reżimu – albo w ogóle nie informowano ich o losie zamordowanych, albo kłamano, że ci nadal żyją, w którymś z łagrów – bez prawa do korespondencji.

Komunizm jest „największym w dziejach ludzkości wrogiem: słowa", ponieważ nie tylko zabrania – jak dawne tyranie – lecz także „zmienia sens słów, odbiera im właściwe znaczenie. Nie w jednym języku, a we wszystkich językach świata". Fałszu „propagandy bolszewickiej ani przelicytować, ani przekonać nie można […], bolszewicy powiedzieć mogą absolutnie wszystko, co chcą, i żadne dowody ani argumenty nie są im ku temu potrzebne". Zrozumienie sposobu działania propagandy komunistycznej jest kluczowe w przeciwdziałaniu jej. Mackiewicz zauważa jednak, że ludzie wolnego świata zwykle dają się jej zwieść i wpadają w pułapkę, zawsze stawiając się w pozycji „tłumaczącej". Nie inaczej postępowały władze polskie w czasie wojny. Uważały one, że oskarżeniom propagandy sowieckiej o rzekomą współpracę Polaków z Niemcami powinny cierpliwie zaprzeczać i wyjaśniać, że jest zupełnie inaczej – zamiast nazwać rzecz po imieniu.

Jednym słowem, „bolszewicy górują nad innymi ustrojami mistrzostwem oddziaływania i łamania psychiki ludzkiej. Stworzyli dwie rzeczy bezkonkurencyjne: terror i propagandę". I to właśnie, „co stanowi straszliwą istotę bolszewizmu, jego naprawdę epokową nowość w dziedzinie oddziaływań psychologicznych […], czyli to, co stanowi jego prawdziwą siłę", jest lekceważone i przypisywane „jakimś cechom narodowo-rasowym w tej części globu, wyprowadza[ne] z rzekomo dobrze i wiadomych objawów, dawno już rozszyfrowanych".

Nie będzie nadużyciem dopowiedzenie, że owe „wiadome objawy" to te, które uzasadniały tezę dzieła Jana Kucharzewskiego. Prowadziło to do wniosku, że „żaden z ustrojów nie wytworzył tak zabójczej ingerencji w najdrobniejsze zakamarki ludzkiego bytu […]", począwszy od myśli. I „żaden z ustrojów na świecie nie zdeprawował w ten sposób człowieka, jak to czyni komunizm". Był to w istocie jedyny „postęp" poczyniony przez bolszewizm.



Ciała ofiar zamordowanych przez NKWD w Tartu (Dorpacie) w 1941 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, FORTI DELFI EE

Reakcje społeczne na te niszczące działania są według Mackiewicza podobne. Komunizm, który prowadzi do monstrualnego zastraszenia każdej grupy społecznej, wywołuje „identyczne objawy degeneracji psychicznej, paraliżującej odporność człowieka, bez względu na przynależność do kultury łacińskiej, bizantyjskiej, buddyjskiej czy innej". Społeczeństwo polskie nie jest tu wyjątkiem, czego dowodzą liczne postawy, począwszy od obserwowanych przez Mackiewicza na Wileńszczyźnie podczas pierwszej okupacji sowieckiej. Dlatego twierdzenie, że komunizm nie wpływa na przeobrażenie społeczne narodu poddanego totalitarnej przemocy, jest mylne. Nie jest możliwe, by „naród pozostawiony sam sobie i wystawiony na działanie słowa […], w postaci zgęszczonej do niemożliwości, pozostał taki, jaki był przed dziesiątkami lat", a pustoszące dusze działania komunizmu ustąpiły z chwilą ustąpienia „rosyjskich bagnetów".

*

Oryginalność i przenikliwość poglądów Józefa Mackiewicza w opisie komunizmu, których może najważniejszym wyrazem był brak złudzeń co do absolutnego zła, które uosabiała zbrodnicza ideologia, czyni go wyjątkowym w kręgu twórców myśli polskiej, nawet jeżeli za przesadne uznamy słowa Borysa Kowerdy, że żaden Polak nie pisał o komunizmie tak jak Mackiewicz. „Komunizm był dla niego zagrożeniem i doświadczeniem globalnym" – twierdził w znakomitej analizie poglądów Mackiewicza Włodzimierz Bolecki. Należy ubolewać, że nie umiano ich upowszechnić poza kręgiem myśli polskiej, a jego wszechstronna i oryginalna refleksja pozostaje poza nim nieznana. „Gdyby Polska była krajem, w którym ludzi ocenia się według ich wartości" – zauważał kilka stronic dalej Bolecki…

Nieobecność Mackiewicza zwraca chociażby uwagę w przywoływanej książce Thierry'ego Woltona, w której nazwisko pisarza nie jest wymienione. Tymczasem licznie wnioski i oceny Woltona, niewątpliwie sformułowane niezależnie od autora „Zwycięstwa prowokacji", którego publikacji nie znał, były już wcześniej obecne w twórczości Mackiewicza. Jest nim z całą pewnością wyrażone we wstępie do drugiego tomu pracy Woltona przekonanie, na którym szlachetny Francuz zbudował swoje dzieło: „Powszechność zła komunizmu jest prawdą, które przenika nas do głębi, gdy próbujemy pojąć jego historię".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Archiwum IPN.

eprasa.pl 20df05361f



Kadr z filmu „Lee. Na własne oczy". W roli Lee Miller – Kate Winslet

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Druga wojna światowa / Z obiektywem na froncie

Z okładek „Vogue" do Dachau



Anna Szczepańska

Lee Miller wiodła kilka żyć. Była modelką, obiektem westchnień, fotografem, a w końcu reporterem wojennym. Najpierw zachwycała urodą, a później szokowała obrazami ukazującymi okrucieństwo wojny

Migawka pierwsza: Lee Miller i David E. Scherman, korespondent „Life", z niedowierzaniem rozglądali się wokół. Znajdowali się w monachijskiej rezydencji Adolfa Hitlera, dopiero co zajętej przez aliantów. Wokół, w doskonałych nastrojach, siedzieli amerykańscy żołnierze, popijając drinki w szklankach z wygrawerowaną swastyką. Miller zaglądała za kolejne drzwi, w pośpiechu wykonując fotografie. Wszystko wyglądało jak surrealistyczny sen. W pewnej chwili trafiła do łazienki. Czyste kafelki i białe ręczniki uderzająco kontrastowały z brudnymi mundurami. Miller odkręciła kurki nad wanną.

– Jest ciepła woda! – krzyknęła do stojącego za drzwiami Schermana. Nagle wpadła na szalony pomysł. Rozebrała się szybko i owinięta tylko ręcznikiem wciągnęła Schermana do środka, każąc mu zrobić zdjęcie, kiedy będzie brała kąpiel w wannie Hitlera. Jej przyjaciel miał początkowo obawy, lecz szybko zrozumiał groteskowy pomysł Lee. Oboje zaaranżowali wnętrze: brudne buty, wojskowe ubranie, rzeźba, portret Hitlera. Tak powstało jedno z najbardziej ikonicznych zdjęć drugiej wojny światowej. Był 30 kwietnia 1945 r. Niemal w tym samym czasie przebywający w Berlinie Adolf Hitler popełnił samobójstwo.

Migawka druga: im bardziej zbliżali się do Buchenwaldu, tym smród był coraz gorszy. Lee i Scherman wysiedli pod bramą niedawno wyzwolonego niemieckiego obozu. Wokół niespiesznie chodzili alianccy żołnierze, jakby nie dowierzając temu, co wokół widzą. Na torach kolejowych stały bydlęce wagony. To stamtąd dochodził największy odór. Lee przycisnęła do twarzy chustkę i podeszła do jednego z nich. Amerykański żołnierz otworzył jego drzwi. Ze środka wysypały się rozkładające się zwłoki. Reporterka z trudem pohamowała przerażenie i łzy. Zaczęła robić zdjęcia. Szła dalej. W barakach trafiła na kolejne zwłoki. Jedne wychudzone ciała leżały samotnie, inne na stertach. Odczłowieczone, pozbawione godności, niczym na wysypisku śmieci. Te obrazy prześladowały Miller do końca życia. Zwycięska Europa nie chciała jednak oglądać tak nieprzyjemnych widoków. Brytyjski „Vogue" odmówił publikacji fotografii. Miller była załamana. „Uwierzcie w to! To się DZIAŁO!" – krzyczała. Na próżno.

Migawka trzecia: Antony Penrose poznał swą matkę dopiero po jej śmierci. Pewnego dnia na strychu rodzinnego

eprasa.pl 20df05361f

domu odkrył kartony pełne fotografii i artykułów Lee Miller. Takiej kobiety nie znał. Odkąd pamiętał, była niechlujna, kłóciła się z jego ojcem, miała problemy z alkoholem, cierpiała na depresję. Synem zajmowała się mało lub wcale. Antony myślał nawet, że to przez niego jest tak nieszczęśliwa. Może nigdy nie chciała mieć dziecka? W dniu, kiedy odnalazł zdjęcia wykonane przez matkę, zrozumiał, że to nie on był przyczyną jej łez i sięgania po kolejne butelki whisky. Czy jej wybaczył? Czy miał jej za złe, że nigdy nie powiedziała mu prawdy? W tamtej chwili nie zastanawiał się nad tym. Chciał jedynie uhonorować jej dorobek. Antony Penrose zarchiwizował wszystkie prace swej matki, a w latach 80. napisał jej biografię. W tym roku, na podstawie tej książki, powstał film „Lee. Na własne oczy" w reżyserii Ellen Kuras. W rolę głównej bohaterki wcieliła się Kate Winslet.



Lee Miller w wannie Hitlera. Zdjęcie Davida E. Schermana FOT. UWE ZUCCHI/EPA/PAP

Trudne początki

Elisabeth Miller, znana jako Lee Miller, urodziła się w 1907 r. w Poughkeepsie w Stanach Zjednoczonych. Jako dziecko padła ofiarą molestowania seksualnego, którego dopuścił się znajomy rodziny. Lee powiedziała o zdarzeniu matce, ale ta, wstydząc się reakcji otoczenia, zabroniła córce rozmawiać na ten temat. Z traumatycznym przeżyciem Lee radziła sobie, zagłębiając się w świat sztuki. Pomagał jej ojciec, który amatorsko interesował się fotografią. Zachęcał ją do samodzielnej pracy i kształtowania swojego wizerunku przed obiektywem. Fotografia stała się dla Lee formą sztuki, a nie tylko suchym dokumentowaniem zdarzeń.

Dziewczyna uczyła się w L'École Medgyès pour la Technique du Théatre w Paryżu i w Art Students League w Nowym Jorku. W 1926 r. cudem uniknęła wypadku samochodowego. Jej wybawcą okazał się Condé Nast, wydawca magazynów „Vanity Fair" i „Vogue". Ta niespodziewana znajomość zaowocowała współpracą – Miller została modelką, pracując dla najsłynniejszych pism modowych w USA.

Lee Miller szybko stała się bardzo popularna. Prezentowała inny typ urody niż dotychczas znane modelki. Według redaktor naczelnej „Vogue" Edny Woolman Chase Miller wyglądała na „nowoczesną dziewczynę". Przez kolejne dwa lata była jedną z najbardziej rozchwytywanych modelek. Jej wizerunek został jednak nadszarpnięty przez firmę Kotex, która bez zgody Lee wykorzystała jej zdjęcie do reklamy podpasek, co wywołało oburzenie części społeczeństwa. Tematy związane z menstruacją wciąż były uważne za tabu.

Niedługo później Lee wyjechała do Europy. Mieszkała we Florencji, a później w Paryżu. Tam poznała malarza dadaistę Mana Raya, którego prace od dawna cenił. Lee chciała zostać jego uczennicą, na co Ray, mimo początkowych oporów, się zgodził. Z czasem Lee Miller stała się jego współpracownikiem, inspiracją, a także kochanką. Ich wspólna praca dawała obfite owoce, lecz związek zaczął w końcu coraz bardziej Lee ciążyć – Ray był bowiem obsesyjnie zazdrosny. W 1930 r. Miller postanowiła go porzucić. Wyjechała do Nowego Jorku, gdzie otworzyła własne studio fotograficzne. Lee fotografowała wiele znanych i wpływowych osób. Jej klientkami były m.in. Elizabeth Arden i Helena Rubinstein. Okazała się nie tylko zdolnym fotografem, lecz także businesswoman. Studio dawało spore dochody, lecz w 1934 r. je zamknęła. Powodem była nowa miłość: egipski biznesmen Aziz Eloui Bey. Wraz z nim Lee zamieszkała w Kairze. Rozwiązłe, lecz zarazem monotonne życie w luksusie także jednak w końcu ją znużyło – trzy lata później wróciła do Paryża.



Lee Miller, fotoreporterka wojenna FOT. AKG IMAGES/FORUM

W stolicy Francji czuła się jak u siebie. Znała paryską bohemę artystyczną, bywała na bankietach, jej znajomymi byli najbardziej znani artyści, np. Pablo Picasso. Na jednym z przyjęć poznała swego przyszłego męża – brytyjskiego malarza surrealistę Rolanda Penrose'a (długi czas romansowali, pobrali się dopiero po wojnie). Sielankową atmosferę artystycznych spotkań zakłócała jednak coraz bardziej niespokojna sytuacja w Europie. We wrześniu 1939 r., kiedy Niemcy rozpoczęły drugą wojnę światową, Lee i Roland zdecydowali się opuścić

eprasa.pl 20df05361f



Zdjęcia Lee Miller z niemieckiego obozu koncentracyjnego
FOT. RAINER JENSEN/EPA/PAP

Francję. Zamieszkali w Londynie. Miller rozpoczęła wówczas pracę dla „Vogue" jako reporter i fotograf.

„Tylko prawda jest ciekawa"

Te słowa Józefa Mackiewicza dobrze oddają postawę Lee Miller. W obliczu grozy wojny Lee nie zamierzała fotografować wyłącznie celebrytów i opowiadać o beztroskich aspektach życia. Kiedy na co dzień widziała zniszczenie, niepewność i strach o najbliższych, chciała fotografować to, co ją poruszało, i to, co w tym niespokojnym czasie dotyczyło większości Brytyjczyków.

Początkowo jej zdjęcia nie zostały docenione przez wydawcę. Szefowie „Vogue" woleli nie epatować przemocą i drastycznymi widokami. Poza tym wciąż główną tematyką pisma była moda. Z czasem jednak ich podejście uległo zmianie, kiedy okazało się, że zdjęcia Miller wywołują duże zainteresowanie. Lee pokazywała m.in. zbombardowane w wyniku niemieckich nalotów angielskie miasta, portretowała żołnierzy i pilotów walczących np. w bitwie o Anglię.

Z czasem postanowiła iść za ciosem. Chciała być tam, gdzie dzieją się naprawdę ważne rzeczy. Choć powszechnie uważano, że wojenne okopy nie są najbezpieczniejszym miejscem dla kobiet, to Lee chciała jechać na front. Szefowie „Vogue" nie zamierzali wysłać Lee na kontynent, nawet pomimo wsparcia niektórych osób z redakcji. Zgodę otrzymała dopiero pod koniec 1942 r., jako obywatelka USA, od amerykańskiej redakcji magazynu.

Przez kolejne miesiące krążyła między Francją i Wielką Brytanią. W tym czasie godziła pracę reportera wojennego i fotografa znanych osób – na zdjęcia z gatunku fashion cały czas, nawet mimo wojny, był popyt. Jako była modelka Miller jednocześnie cały czas dbała o swój wizerunek, kreując się na niezależną i silną kobietę, gotową, jak tysiące jej rodaczek, na wojenne trudy.

W tym czasie powstały jej pozowane zdjęcia w mundurze i ciężkich hełmach.

Najlepsze wojenne zdjęcia Lee Miller zostały wykonane w okresie jej współpracy z korespondentem magazynu „Life", Davidem E. Schermanem. Wspólnie pracowali m.in. w Szkocji i w Londynie, fotografując np. kobiety z Women's Royal Naval Service. W tym czasie w jej portfolio pojawił się polski wątek – pewnego dnia Miller sfotografowała Annę Leską, jedną z trzech Polek służących w brytyjskiej organizacji Air Transport Auxiliary.

Do kontynentalnej Europy Lee Miller i David E. Scherman wyjechali po lądowaniu aliantów w Normandii. Miller trafiła na front jako korespondent Armii Stanów Zjednoczonych z ramienia przedsiębiorstwa mediowego Condé Nast Publications. Pierwsze zdjęcia, które wykonała, zostały zrobione w szpitalu polowym „ustawionym na pastwisku w Normandii kilka dni po D-Day, gdzie czterdziestu lekarzy i czterdzieści pielęgniarek wykonywało średnio sto operacji na dobę na sześciu stołach operacyjnych" – jak wspominała po czasie. Niedługo później Lee była bezpośrednim świadkiem bitwy pod Saint-Malo, gdzie udokumentowała skutki użycia napalmu. Jako jeden z pierwszych reporterów pojawiła się w wyzwolonym Paryżu. Dalej podążała tuż za frontem, w stronę niemieckiej granicy.

Banalność zła

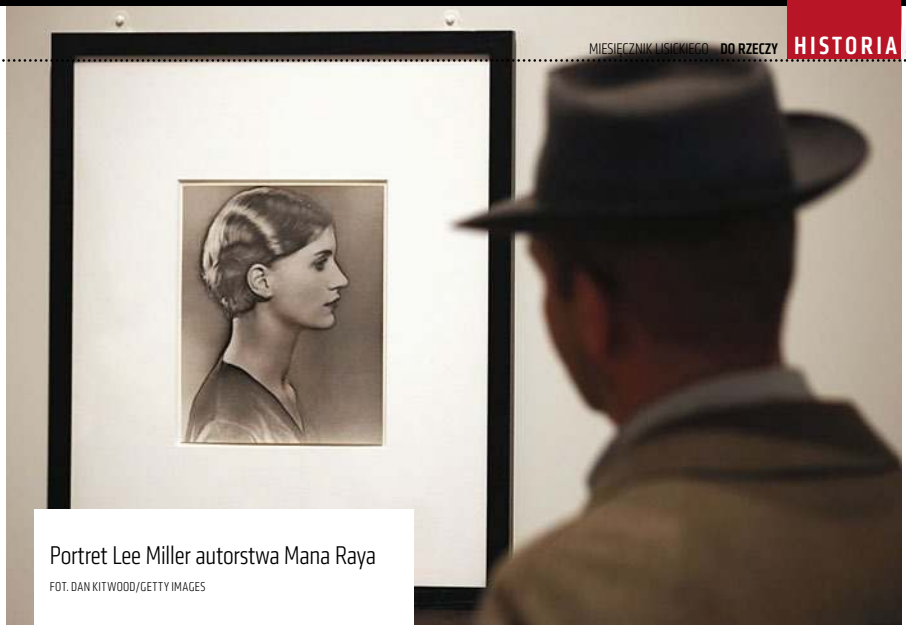
Oprócz wykonywania zdjęć Miller pisała również reportaże z miejsc, do których jako reporter wojenny została wysłana. Lee bardzo krytycznie wypowiadała się o Niemcach, podkreślając, jak barbarzyńskie metody prowadzenia wojny stosują. Jej prace charakteryzują się dużą emocjonalnością. Być może jako kobieta nie tylko koncentrowała się na „technicznych" aspektach wojny, lecz także zwracała większą uwagę na ludzi, często bezwolnych świadków i ofiary wojennej zawieruchy, na ich cierpienie i bezsilność. Lee fotografowała pojedyncze osoby i niecodzienne zdarzenia. W przemyślany sposób kadrowała ujęcie, aby w bardziej uderzający sposób przemawiało do odbiorców. Nieprzytomny żołnierz przygotowywany do transfuzji krwi, umierające na rękach pielęgniarki dziecko, łyse kobiety, które ogolono ze względu na ich domniemaną kolaborację z Niemcami – Lee Miller w pewnym sensie odzierała wojnę z patosu.

W kwietniu 1945 r. Lee i Scherman dotarli do wyzwolonych dopiero co obozów w Buchenwaldzie i Dachau. Tam powstały jej najbardziej wstrząsające fotografie. Niestety, nawet pomimo jej niepodważalnego świadectwa nie wszyscy chcieli później dać wiarę, że Niemcy zdolni byli do takiego bestialstwa.



Lee Miller z mężem Rolandem Penrose'em, artystą i historykiem, w 1954 r. FOT. EVENING STANDARD/HULTON ARCHIVE/GETTY IMAGES

eprasa.pl 20df05361f



Portret Lee Miller autorstwa Mana Raya
FOT. DAN KITWOOD/GETTY IMAGES

Tuż po pobycie w niemieckim obozie koncentracyjnym Dachau Lee i jej przyjaciel z „Life" dotarli do Monachium, krótko po jego zajęciu przez wojska alianckie. Trafili wówczas do willi Adolfa Hitlera. Lee twierdziła później, że doskonale znała ten adres od lat i chciała zobaczyć to miejsce na własne oczy. W domu Führera Lee i Scherman wykonali kilka ikonicznych fotografii, w tym jedno najbardziej znane, na którym widać ją biorącą kąpiel w wannie Hitlera. Dla spotęgowania wrażenia obok wanny stoją jej brudne buty, na których znajduje się jeszcze błoto z obozu Dachau. Zdjęcie zyskuje na symbolice, ponieważ tego samego dnia, 30 kwietnia 1945 r., Hitler popełnił samobójstwo.

Nie była to jedyna fotografia wywołująca kontrowersje. Podobne zdjęcia Lee i Scherman wykonali jeszcze w monachijskiej willi Ewy Braun, gdzie Amerykanka leżała z papierosem w ręku w łóżku kochanki Hitlera. „Zło jest banalne" – pisała Hannah Arendt. Jej słowa dobrze oddają metodę, którą w obliczu spotkania ze złem przyjęła Lee Miller.

Amerykanka udała się następnie do Austrii. W Wiedniu dokumentowała m.in. pracę pielęgniarek i lekarzy. Nie unikała najtrudniejszych tematów. Bohaterami jej prac były m.in. umierające w szpitalach dzieci. Z Wiednia wyjechała na Węgry. Tam była świadkiem linczów i rozliczeń z faszystowskimi politykami. Miller fotografowała egzekucję premiera László Bárdossyego, którego skazano na rozstrzelanie. Zrobiła też kilka pośmiertnych fotografii niemieckich oficerów, którzy, wobec klęski III Rzeszy, popełnili samobójstwo.

Po zakończeniu drugiej wojny światowej Lee Miller pozostała jeszcze jakiś czas na kontynencie, dokumentując wojenne zniszczenia. W końcu wróciła do Wielkiej Brytanii, gdzie czekał na nią Roland Penrose. Jej ukochany w czasie wojny także nie próżnował. Współpracował z brytyjską armią jako instruktor kamuflażu. Przez krótki czas przebywał też na froncie włoskim (pod Monte Cassino), gdzie uczył żołnierzy technik kamuflowania. Mimo to, jak przyznawał po latach, czuł wstyd, że Lee z własnej woli podjęła się dużo trudniejszych i bardziej niebezpiecznych zadań.

Początkowo brytyjski „Vogue" nie chciał opublikować jej najbardziej brutalnych wojennych fotografii. Zdjęcia ukazały się pierwszy raz dopiero w amerykańskiej wersji magazynu. Mimo to Lee Miller dalej pracowała także dla brytyjskiego wydawcy, m.in. przy reportażach dotyczących Jamesa Joyce'a.

Historia w pudłach

Lee i Roland zamieszkali w Anglii. Pobrali się w maju 1947 r. – po tym, gdy Amerykanka zmusiła pierwszego męża, Egipcjanina Aziza, do zgody na rozwiązanie małżeństwa. We wrześniu tego samego roku na świat przyszedł jedyny syn Lee i Rolanda – Antony. W 1949 r. rodzina kupiła dom Farley Farm House we wsi Chiddingly w East Sussex. Dom stał się miejscem spotkań znanych w Europie i Stanach Zjednoczonych dadaistów, surrealistów i kubistów. W tym czasie Lee fotografowała coraz rzadziej. W końcu „Vogue" zrezygnował z dawania jej zleceń z powodu niedotrzymywania terminów.

Lee Miller z roku na rok staczała się coraz bardziej. Jej syn dopiero po jej śmierci określił jej stan jako zespół stresu pourazowego. Do końca życia prześladowały ją drastyczne obrazy z czasów drugiej wojny światowej. Na jej pogarszający się stan miał zapewne także wpływ romans jej męża (Roland w tym czasie rozwijał karierę, był współzałożycielem Instytutu Sztuki Współczesnej w Londynie oraz kustoszem w Tate Gallery). W domu Penrose'ów kłótnie stały się codziennością. Miller, z zawsze dbającej o siebie kobiety, zmieniła się w osobę niechlujną i nieuważną. Coraz częściej sięgała po alkohol i coraz rzadziej wychodziła z domu. Przez wiele lat miała bardzo słabe relacje z synem. Poprawa ich stosunków nastąpiła dopiero tuż przed jej śmiercią. Lee Miller zmarła 21 lipca 1977 r. w swoim domu w wyniku choroby nowotworowej.

Nigdy nie zabiegała o rozgłos. Gdy przestała fotografować, zdjęcia i negatywy schowała w pudłach i ukryła je na strychu. Jej twórczość na wiele lat została niemal zapomniana. O tym, co robiła w czasie wojny, nie wiedział nawet syn, który dopiero po jej śmierci odnalazł w rodzinnym domu pamiątki po matce: ok. 60 tys. negatywów i zdjęć. Po tym odkryciu Antony Penrose zaczął interesować się historią swojej matki. Poszukiwania skłoniły go do napisania jej biografii, którą wydano w 1985 r. Dzięki jego zaangażowaniu dziedzictwo Lee Miller przetrwało.

Dlaczego kobieta odnosząca tyle sukcesów była tak nieszczęśliwa? Dlaczego u schyłku życia tak bardzo się stoczyła, zrażając do siebie nawet najbliższych? Czy wpływ miała na to trauma z dzieciństwa czy bardziej praca na wojennym froncie? Film „Lee. Na własne oczy" próbuje odpowiedzieć na te pytania. Nie jest to obraz idealny, lecz choćby dla tytułowej roli Kate Winslet, której towarzyszy m.in. Marion Cotillard, warto odnotować jego pojawienie się w kinach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

WYBRANA BIBLIOGRAFIA:

Penrose A., ***„The Lives of Lee Miller"***; *Prose F.*, ***„Żywoty muz"***; *Sikorska P.*, ***„Lee Miller – ikona stylu, muza, fotograf-przedsiębiorca, fotoreporter wojenny"***, *www.niezlasztuka.net.*

eprasa.pl 20df05361f



12 sierpnia 1943 r. / Wielki łup Armii Krajowej

Akcja na 100 milionów

Kadr z filmu „Akcja »Góral«", scen. Sławomir Zajączkowski, rys. Krzysztof Wyrzykowski FOT. IPN, CHIMNEY POLAND



Piotr Włoczyk

Polskie podziemie w dwie i pół minuty odebrało Niemcom ponad 100 mln zł. Akcja „Góral" była jednym z najbardziej niesamowitych wyczynów AK

Stare Miasto w Warszawie, 5 sierpnia 1943 r. Niemieccy konwojenci przeciskają się wąskimi uliczkami, wioząc na Dworzec Wschodni milionowy ładunek z Banku Emisyjnego przy ul. Bielańskiej. Z dworca pieniądze miały zostać przewiezione pociągiem do centrali banku w Krakowie.

– Uzbrojony byłem w pistolet automatyczny Sten i miałem rozpocząć tę akcję razem z drugim „stenistą" – moim kolegą Stanisławem Zołocińskim „Domanem". Powiedziano nam, że mamy czekać w katedrze św. Jana na sygnał rozpoczęcia akcji. Mieliśmy następnie wsiąść na naszą ciężarówkę, z której mieliśmy ostrzelać Niemców – opowiadał w rozmowie ze mną Andrzej Żupański (ur. 1921 r.), żołnierz grupy specjalnej „Sęk/Pola" Kedywu KG AK. – Do kościoła wbiegł w końcu mój brat, Tadeusz Żupański „Tadeusz", i krzyczał do nas, czemu nie wychodzimy, skoro akcja już się rozpoczynała. Niestety, dostaliśmy sygnał zbyt późno i nie zdążyliśmy. Trzeba było odwołać akcję. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, kto wtedy zawalił sprawę. Po wszystkim okazało się jednak, że konwój bankowy z 5 sierpnia przewoził „tylko" 50 mln zł...

Było to pierwsze podejście Kedywu do przejęcia ogromnego łupu, który miał zasilić kasę polskiego podziemia. Tydzień później żołnierze AK ponowili próbę napaści na niemiecki konwój. Efekt akcji miał przejść najśmielsze oczekiwania...

„Ciocia zajechała"

Pomysł przeprowadzenia brawurowego skoku na konwój Banku Emisyjnego wyszedł od mjr. Emila „Krzysia" Kumora, kierownika Wydziału Legalizacji AK, który postanowił w ten sposób odpowiedzieć na troski finansowe gen. Stefana Roweckiego „Grota", komendanta głównego. Major Kumor powiedział generałowi, że jeżeli polskiemu podziemiu tak bardzo brakuje gotówki na prowadzenie akcji, to można spróbować napaść na wiozący pieniądze konwój Banku Emisyjnego, utworzonego przez Niemców. Rozmowa odbyła się rok przed akcją. Wykonać ją miały trzy oddziały Kedywu Komendy Głównej AK: „Osa/Kosa", „Sęk/Pola" i grupa „Jerzego" (późniejsza „Zośka").

Co ciekawe, Andrzej Żupański nigdy nie wziąłby udziału w „Góralu", gdyby 5 czerwca 1943 r. nie doszło do tragedii podczas ślubu jednego z żołnierzy Kedywu.

– Pierwotnie akcję miała przeprowadzić sama „Osa/Kosa". „Osa" powstała rok wcześniej, powołana przez KG AK do specjalnych misji. Gdy jednak odział ten przeszedł na początku 1943 r. do Kedywu, zmienił nazwę na „Kosa" – wyjaśniał Andrzej Żupański. – „Osa/Kosa" została rozbita przez Niemców podczas ślubu ppor. Mieczysława Uniejowskiego „Marynarza", jednego z członków tej grupy,

eprasa.pl 20df05361f

w kościele św. Aleksandra. Aresztowano wtedy ponad 20 żołnierzy „Osy/Kosy"! Zgromadzenie tylu ludzi z podziemia w jednym miejscu było czymś niedopuszczalnym, ale – niestety – podczas okupacji wielokrotnie dochodziło do takich rzeczy. Kierownictwo akcji mogło tylko mieć nadzieję, że mimo aresztowania tylu osób wtajemniczonych w „Górala" Niemcy jakimś cudem nie dowiedzą się o tej akcji.

I tak się stało – ponieważ nie było więcej aresztowań, dowództwo uznało, że można kontynuować przygotowania. Plan podziemia przewidywał zaatakowanie konwoju tuż po opuszczeniu przez niego gmachu Banku Emisyjnego przy ul. Bielańskiej. AK miała dobre informacje na temat sytuacji w tej instytucji, ponieważ dwóch polskich pracowników banku, określanych jako „Michał I" i „Michał II", było informatorami podziemia. Ciężarówka przewożąca pieniądze ochraniana była przez czterech niemieckich żandarmów, ale w konwoju poruszało się też auto obstawy z kolejnym żandarmem i strażnikiem z Banku Emisyjnego.

Tydzień po pierwszym nieudanym napadzie AK-owcy przygotowali kolejną zasadzkę. – O godz. 10.45 zastępca dowódcy akcji, „Jurek", czekający w kawiarni przy ul. Piwnej, usłyszał w słuchawce telefonu hasło: „Ciocia zajechała". Oznaczało to, że konwój przyjechał do banku po pieniądze. Kilka minut później telefon ponownie się odezwał: że konwój wyruszył w trasę na Dworzec Wschodni.

Tym razem plan wyglądał trochę inaczej – opowiadał Andrzej Żupański. – Nie czekaliśmy na sygnał w katedrze, tylko od razu przyjechaliśmy na pl. Zamkowy „kitajcem" (śmiech). To była ciężarówka Forda produkowana w ZSRS, a nie w Chinach, ale i tak nazywaliśmy ją „kitajcem". Siedzieliśmy z kolegą „Domanem" w kuckach na skrzyni. Dowodzący nami Arnold Kubański „Jawor" obserwował teren przed nami, wypatrując ciężarówki z pieniędzmi. My też obserwowaliśmy przez szpary w burcie, co się dzieje na ul. Senatorskiej. Byliśmy gotowi do przeprowadzenia akcji. Poskładaliśmy do kupy nasze steny, które na potrzeby transportu rozkładało się na trzy części. W magazynku miałem 32 naboje. Z przodu naszej ciężarówki siedzieli dowódca por. „Pola" i jego zastępca ppor. „Jurek". W pobliskich sklepach czekali inni żołnierze grupy uderzeniowej.

Dwie i pół minuty

W akcji zaangażowanych było 34 żołnierzy podziemia. Jak wspominał Andrzej Żupański, ul. Senatorska była pełna AK-owców. Plan przewidywał ostrzelanie konwoju przy pl. Zamkowym. W kluczowym momencie AK-owcy wypchnęli na ulicę wózek z pudłami, który zatarasował przejazd.

– Otworzyliśmy ogień do policjantów wiszących na przednich rogach ciężarówki z pieniędzmi. Trzech z nich miało mausery, a jeden pistolet maszynowy. My mieliśmy ich „zdmuchnąć" z tego auta i przydusić ogniem, żeby nie byli w stanie celnie strzelać. I tak się stało. Pamiętam strach w oczach Niemca, który stał przy prawym nadkolu. Spojrzeliśmy sobie w oczy, gdy wychyliłem się ze stenem zza burty „kitajca". Niemiec

REKLAMA



eprasa.pl 20df05361f

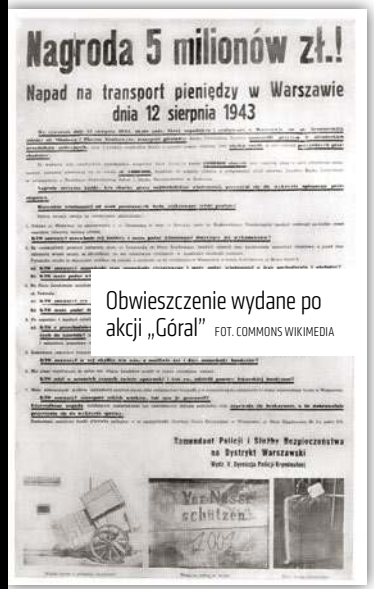
natychmiast się schował – opowiadał Andrzej Żupański. – Od razu też wybiegli ze sklepów chłopcy i zasypali konwój gradem pocisków. Bardzo szybko stłumili wszelki opór, zarówno jeżeli chodzi o załogę ciężarówki, jak i osobowego fiata z osłony, w którym siedzieli wachmajster policjantów, a także dowódca straży bankowej. Wszyscy z fiata zostali zabici.

Andrzej Żupański otwarcie przyznawał, że najprawdopodobniej nikogo wówczas nie trafił. – Wystrzeliłem po prostu cały magazynek w kierunku konwoju, postawiłem w ten sposób z drugim „stenistą" zaporę ogniową, która sparaliżowała Niemców i umożliwiła reszcie chłopaków doskoczenie do ciężarówki – podkreślał.

Akcja trwała dokładnie dwie i pół minuty. – Ja jednak miałem wrażenie, że całość trwała poniżej minuty, takie to były emocje. Szczególnie jak się strzela ze stena (śmiech). Trzeba to było zrobić w ekspresowym tempie, żeby zdążyć przed pojawieniem się na miejscu akcji odsieczy w postaci ciężarówki pełnej Niemców z karabinem maszynowym na dachu – wspominał Andrzej Żupański.

W przejętej ciężarówce leżały worki z oznaczeniami „5 mln zł i „1 mln zł". W sumie AK-owcy wyrwali wówczas Niemcom 106 mln zł. A skąd wziął się kryptonim tej brawurowej operacji? Pięćsetzłotowy banknot okupacyjny ozdobiony był wizerunkiem górala, więc dowodzący akcją stwierdzili, że nie ma co szukać lepszego kryptonimu.

– Część ludzi uważała potem tę akcję za nieczystą grę ze strony AK, za coś, co nie przystoi polskim żołnierzom. Dla mnie jednak była to czysta akcja bojowa Kedywu, a nie żaden napad rabunkowy. Niemcy okradali nas w czasie okupacji na potęgę, więc to nie my byliśmy rabusiami – komentował Andrzej Żupański.


Nagroda 5 milionów zł.!
Napad na transport pieniędzy w Warszawie dnia 12 sierpnia 1943

Obwieszczenie wydane po akcji „Góral" FOT. COMMONS WIKIMEDIA

5 mln zł nagrody

Pod względem finansowym akcja była fantastycznym sukcesem, jednak nie obyło się bez ofiar po stronie polskiej. Rannych zostało dwóch żołnierzy podziemia, ale w strzelaninie poległo też trzech polskich pracowników Banku Emisyjnego, którzy jechali w konwoju.

– To było tragiczne, ale musieliśmy się z tym liczyć. Dlatego nie mogliśmy być w pełni zadowoleni z „Górala", choć generalnie była to akcja bardzo dobrze przygotowana i przeprowadzona. Jeżeli wierzyć danym policji niemieckiej, to zginęło sześciu policjantów, a sześciu zostało ranionych. Dodatkowo zabitych zostało kilku żołnierzy niemieckich – mówił Andrzej Żupański. – Najważniejsze, że po wszystkim Niemcy nie



Andrzej Żupański (z prawej) i Tadeusz Żupański pod tablicą upamiętniającą akcję „Góral", 2013 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ZUPAN 60

dokonali represji na ludności Warszawy – być może nie byli pewni, czy był to napad podziemia czy zwykły skok rabunkowy. Pamiętajmy bowiem, że Niemcy wówczas za wszelkie akcje zbrojne bezlitośnie się mścili na cywilach. Wyznaczono natomiast nagrodę w wysokości 5 mln zł za pomoc w odzyskaniu łupu.

AK-owcy przewieźli następnie worki z pieniędzmi na Wolę, gdzie ukryli je w małym gospodarstwie. Mój rozmówca rano kolejnego dnia miał przewieźć łup do centrum Warszawy.

– Wraz z por. „Jurkiem" i pchor. „Podkową" przewieźliśmy wozem konnym pieniądze ukryte w skrzynkach na warzywa. Na górze były pomidory i ogórki. Woźnica dziwił się, że te skrzynki z pomidorami są takie lekkie (śmiech) – opowiadał Andrzej Żupański. Pojechaliśmy do Śródmieścia na ul. Śliską. Dziś stoi w tym miejscu Pałac Kultury. Modliliśmy się, żeby Niemcy nas nie zatrzymali, bo byłoby wtedy z nami krucho – w takim przypadku zapewne stracilibyśmy pieniądze z „Górala". Na szczęście nikt nas nie skontrolował. Dojechaliśmy na Śliską i wyładowaliśmy skrzynki w pustym sklepie. Pieniądze odebrało dwóch panów odpowiedzialnych za finanse Polskiego Państwa Podziemnego. Na tym kończy się mój udział w tej akcji.

Andrzej Żupański (zmarł w 2017 r. w wieku 96 lat) napisał po latach książkę, w której drobiazgowo zebrał informacje i relacje na temat „Górala". Niedługo po odebraniu Niemcom 106 mln zł Andrzej Żupański trafił ze swoim oddziałem na Wołyń, gdzie walczył w szeregach 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty AK.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 20df05361f

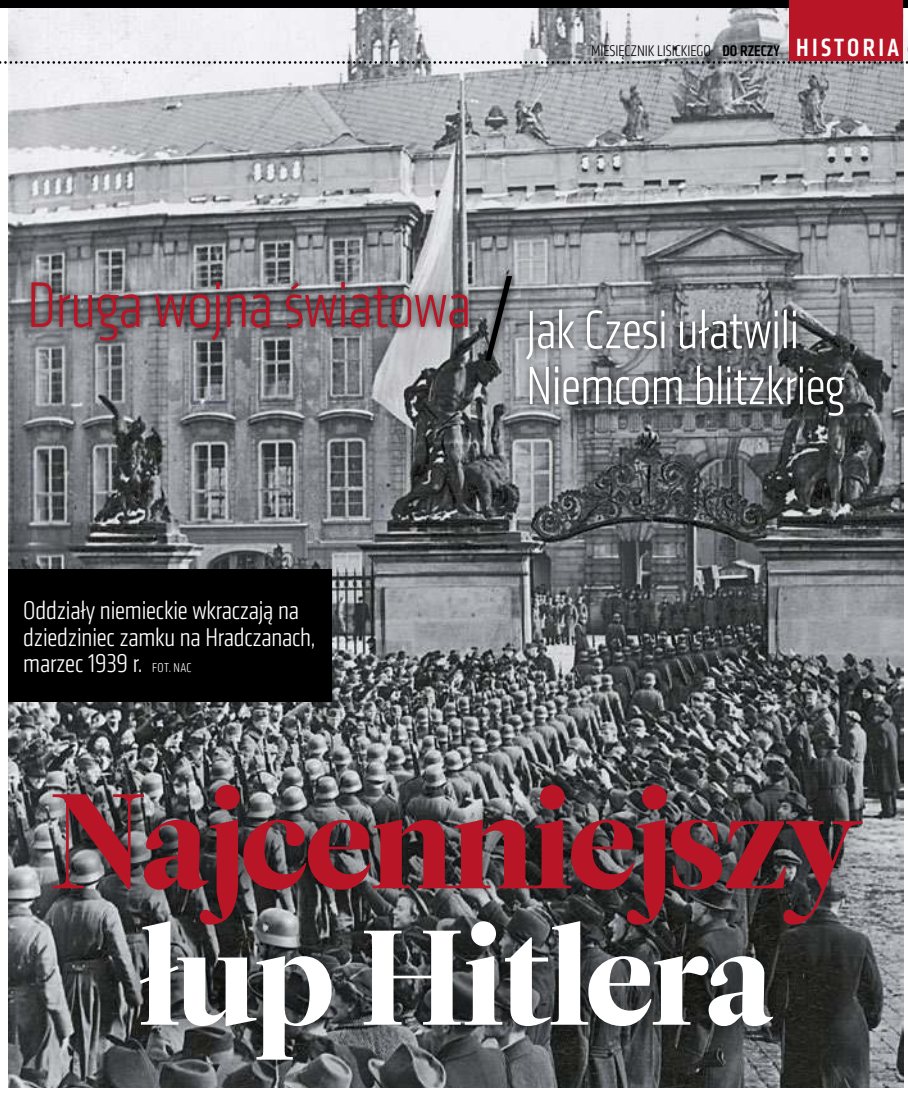


Piotr Semka

Druga wojna światowa

Najcenniejszy łup Hitlera

Jak Czesi ułatwili Niemcom blitzkrieg



Oddziały niemieckie wkraczają na dziedziniec zamku na Hradczanach, marzec 1939 r. FOT. NAC

Przejęcie przez Niemców w nienaruszonym stanie czeskich arsenałów oraz tamtejszego przemysłu zbrojeniowego znacząco wzmocniło potencjał wojskowy III Rzeszy

Już w czasach Austro-Węgier Czechy i ziemie Austrii niemieckiej skupiały większość przemysłu zbrojeniowego monarchii Habsburgów. Choć tereny czeskie i austriackie stanowiły jedynie 20 proc. monarchii, to działało tam aż 70 proc. przemysłu imperium. Wynikało to z kilku czynników: wysokiej kultury technicznej panującej na ziemiach Korony św. Wacława, przedsiębiorczości Niemców i Czechów oraz kwalifikacji czeskich robotników. Mieszkańcy kraju nad Wełtawą do dziś są zresztą dumni ze „złotych czeskich rączek".

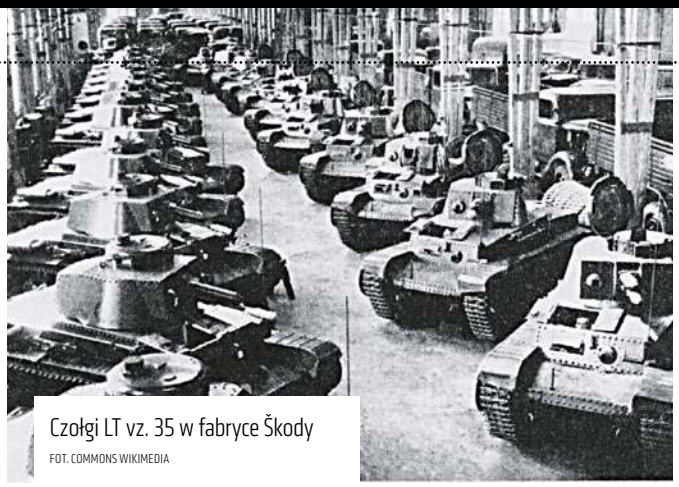
Zakłady założone w Pilźnie przez Emila Škodę produkowały w czasie wielkiej wojny niezwykle cenione działa i moździerze wielkokalibrowe, które dobrze sprawdzały się w służbie armii austriackiej. W 1918 r., po powstaniu niepodległej Czechosłowacji, posiadanie silnej armii stało się dla młodej Czechosłowacji kwestią ambicjonalną, a także egzystencjalną. Nic dziwnego. Republika pod wodzą prezydenta Tomáša Masaryka czuła się zagrożona ze strony Niemiec, a także Węgier, które nie wyzbywały się nadziei na odzyskanie ziem słowackich. Podejrzliwie patrzono też na Polskę, która nie zapomniała swym południowym sąsiadom zaboru Zaolzia.

Stworzenie silnej armii wymagało jednak najpierw uporządkowania sytuacji w przemyśle. Władze w Pradze wywłaszczyły niemieckich właścicieli i na stanowiska kierownicze awansowały czeskich fachowców. Do restrukturyzacji tamtejszych fabryk broni chętnie przyłączyli się Francuzi – główny sojusznik militarny Czechosłowacji. Już we wrześniu 1919 r. francuski koncern zbrojeniowy Schneider-Creusot przejął znaczną część udziałów w zakładach Škoda. Systematycznie budowano nowe fabryki w ramach rodzimego koncernu Česká Zbrojovka, który w Brnie stworzył zakład produkujący nowoczesną broń strzelecką, na czele z doskonałym karabinem maszynowym Bren, skonstruowanym w ramach kooperacji z angielską firmą Enfield. W 1929 r. brneńska Zbrojovka wyprodukowała 144 tys. sztuk broni strzeleckiej, a w 1938 r. już 260 tys.

Osobną inwestycją były Czeskie Zakłady Zbrojeniowe w Strakonicach. Ważnym producentem pojazdów wojskowych (ciężarówek i łazików) były zakłady Tatra, które z czasem stały się groźnym rywalem pilzneńskiej Škody. Z kolei praska firma Avia zaprojektowała całą rodzinę stosunkowo nowoczesnych na tamte czasy samolotów myśliwskich i rozpoznawczych, na czele z myśliwcem Avia B-534. Koncern Škoda skonstruował natomiast w drugiej połowie lat 30. całą rodzinę niezwykle udanych lekkich czołgów LT vz. 34, LT vz. 35 i LT vz. 38. Wprowadzony w czerwcu 1938 r. do służby w armii czechosłowackiej LT vz. 38 był uznawany przez specjalistów za najlepszy czołg średni. Zakładaniu nowych fabryk uzbrojenia towarzyszyło rozbudowywanie zakładów produkujących amunicji.

Eksport broni stał się jedną z ważniejszych gałęzi czechosłowackiej gospodarki. O ile w 1925 r. produkcja fabryk zbrojeniowych zaspokajała głównie potrzeby armii i policji (120 tys. sztuk broni) – przy 48 tys. przeznaczonych na eksport – o tyle już 13 lat później liczby te wyglądały zupełnie inaczej: na potrzeby czechosłowackich służb mundurowych

eprasa.pl 20df05361f



Czołgi LT vz. 35 w fabryce Škody
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

wyprodukowano 612 tys. sztuk broni, a na eksport 682 tys.

Najchętniej czeską broń kupowały państwa tzw. Małej Ententy związane sojuszem wojskowym z Pragą – Jugosławia i Rumunia. Cenni byli także egzotyczni partnerzy, jak Argentyna czy Peru. Ale czeską broń kupowały także Francja czy Belgia. Hitem eksportowym w latach 30. były karabinki przeciwpancerne 37 mm, armaty przeciwlotnicze 8,35 mm, działa forteczne 400 mm i moździerze model 36/B5 o kal. 800 mm. Škoda wyposażyła w działa forteczne pas umocnień w Karkonoszach, strzegący granicy z III Rzeszą. Ofertę czechosłowackiego rynku zbrojeniowego dopełniały prywatne firmy rodzinne, które dominowały na rynku pistoletów, na czele z fabryką Sellier & Bellot, oraz zakłady Roth w Bratysławie.

Deficyt ducha

Armia była w Czechosłowacji, podobnie jak w Polsce, rękojmią bezpieczeństwa państwa. Nawet wśród sztabowców Wehrmachtu siły zbrojne południowo-wschodniego sąsiada budziły respekt i część generałów zachęcała Hitlera latem 1938 r. do przemyślenia decyzji o rozpętaniu kryzysu sudeckiego.

Początkowo wydawało się, że rząd w Pradze jest zdeterminowany stawić czoła III Rzeszy. Mobilizacja armii czechosłowackiej 22 września 1938 r. zamieniła się w jedną wielką demonstrację patriotyczną. Szeregi młodych rekrutów, którzy zdążali do koszar, były odprowadzane przez licznych Czechów skandujących hasła o stawianiu oporu do samego końca. Szok przyszedł wraz z konferencją monachijską, w trakcie której przedstawiciele Francji i Wielkiej Brytanii, przy pośrednictwie Włoch, zgodzili się na oddanie Niemcom bez walki terenów sudeckich. Zdrada ze strony Zachodu przy jednoczesnym uchyleniu się od udzielenia pomocy wojskowej przez ZSRS (z którym Praga także była w sojuszu) spowodowały pojawienie się apatii i zniechęcenia.

Pakt monachijski nakazywał Czechosłowacji oddanie w dobrym stanie fortyfikacji na granicy z Niemcami i znajdujących się na tamtych terenach garnizonów wojskowych. W czeskiej tradycji istnieje teoria, według której Praga gotowa była stawić opór Niemcom, ale „polski cios w plecy" w postaci ultimatum w sprawie Zaolzia skłonić miał najwyższe dowództwo do rezygnacji z walki. Widać w tej teorii chęć usprawiedliwienia własnego niezdecydowania. Można bowiem podejrzewać, że gdyby Czesi zaakceptowali utratę Zaolzia, ale podjęli jednak bój z Niemcami, to Polska byłaby wobec nich życzliwa, a być może z czasem przyłączyłaby się do walki. Ale to tylko historia alternatywna. Konkretem jesieni 1938 r. było zdumiewająco lojalne wypełnianie zapisów paktu monachijskiego przez oficerów czeskich w trakcie przekazywania fortyfikacji i garnizonów w ręce Niemców. Był to jednak dopiero początek wielkiego szabru. Oficerowie Wehrmachtu po cichu zaczęli przygotowywać się do kolejnego etapu zawłaszczenia Czech i przy pomocy Abwehry zbierali informacje o najważniejszych czeskich fabrykach zbrojeniowych i miejscach magazynowania broni.



Myśliwiec Avia B-534 FOT. COMMONS WIKIMEDIA

15 marca 1939 r. Hitler rozkazał zajęcie Czech i Moraw. Nawet wtedy jednak Wehrmacht zajmował czeskie miasta i garnizony z dużą ostrożnością, spodziewając się oporu. Do wymiany ognia z żołnierzami stacjonującymi na terenach najbliższych nowej granicy czesko-niemieckiej doszło tylko w rejonie Morawskiej Ostrawy i Mistka (DO KONSULTACJI Z SEMĄ – NIE MA TAKIEGO MIASTA. NIESTETY SEMA WYJECHAŁ DO KANADY). W tym ostatnim miasteczku żołnierze 8. śląskiego pułku piechoty postanowili bronić swoich koszar. Dalszych walk zakazał jednak surowy rozkaz ministra obrony gen. Jana Syrovego, który wydany został na polecenie złamanego przez Hitlera prezydenta Emila Háchy.

„Niemieckie wojska – tak piechota, jak lotnictwo – rozpoczęły obsadzanie koszar naszej Republiki w dniu 8 marca o godz. 6 – czytamy w rozkazie gen. Syrovego. – Tej procedurze nie wolno się sprzeciwiać, gdyż najmniejszy incydent może mieć niewyobrażalne skutki i spowodować potraktowanie nas z całą brutalnością. Wszyscy dowódcy zobowiązani zostają do oczekiwania na przybycie niemieckich jednostek i przestrzegania wszystkich wydawanych im przez niemiecką stronę poleceń. Jednostki naszej armii zostaną rozbrojone. Pracownicy wojskowi i cywilni oraz siły powietrzne muszą pozostać na miejscu. Obrona przeciwlotnicza nie zostanie uruchomiona. Do żadnego samolotu niemieckiego nie można strzelać i żaden z naszych samolotów nie może opuścić lotnisk".

Dokument ten przeszedł w Czechach do historii hańby. Co ciekawe, jego autor cieszył się opinią jednego z najodważniejszych dowódców. Swoje męstwo i umiejętności bojowe wykazał w czasie pierwszej wojny światowej, walcząc w szeregach legionu czechosłowackiego u boku Rosjan w bitwie pod Zborowem. Dwadzieścia trzy lata później Syrový zachowywał się wobec Niemców z żenującą czołobitnością.

eprasa.pl 20df05361f



Generał Jan Syrový, minister obrony narodowej do kwietnia 1938 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ARMY.CZ

Na tle tego paraliżu woli walki czescy historycy wskazują parę pozytywnych przykładów – część patriotycznych oficerów ukryła pewną ilość broni, głównie pistolety, z myślą o konspiracji. W pierwszym pułku artylerii w Pradze ppłk Josef Mašín próbował wysadzić składy amunicji, ale został ubezwłasnowolniony przez resztę oficerów. Z kolei 26 kwietnia 1939 r. z jednego z czeskich lotnisk uciekli do ZSRS na pokładach dwóch samolotów Avia B-71 dwaj lotnicy – Boguslav Zigmunt i Josef Návesník. Paru pilotów uciekło natomiast ze swymi samolotami do Polski. I to niestety wszystko. W pozostałych garnizonach dominowały zdumiewający fatalizm i bezradność.

Dopiero z czasem Niemcy odkryli, jak fantastyczne zdobycze militarne wpadły im w ręce. Analitycy Wehrmachtu szacowali, że wskutek zajęcia Czech i Moraw potencjał niemieckiego przemysłu zbrojeniowego wzrósł o 25 proc. Żołnierzy i oficerów, którzy nie budzili obaw o nielojalność, zachęcano do podjęcia służby w Wehrmachcie i Luftwaffe. Część specjalistów od budowy fortyfikacji wysłano na zachodnią Linię Zygfryda, gdzie wykorzystywali oni swoje doświadczenia przy budowie kolejnych pasm niemieckich umocnień. Najwięcej korzyści przyniosło jednak Niemcom przejęcie ogromnych zakładów Škody w Pilźnie, które od razu zaczęły wytwarzać sprzęt dla Wehrmachtu. Bez żadnych strat przejęto dokumentację produkcyjną, prototypy, nad którymi tam pracowano, i kadrę inżynierską. Niemcy najbardziej zadowoleni byli jednak ze zdobycia 244 czołgów LT vz. 35, porównywalnych z niemieckimi czołgami średnimi PzKpfw III. Na początku 1939 r. Niemcy dysponowali tylko 230 maszynami PzKpfw III – dzięki przejęciu czeskich czołgów średnich ich potencjał w tym typie broni wzrósł dwukrotnie.

28 kwietnia 1939 r. Hitler, przemawiając w Berlinie, pochwalił się łupami z Czech: 469 czołgami, 1582 samolotami, 2 tys. dział polowych, 501 działami przeciwlotniczymi, 44 tys. karabinów maszynowych, 785 moździerzami, milionem karabinów, 114 tys. pistoletów i ogromnymi zapasami amunicji.

Blitzkrieg czeskich czołgów

Średnie czołgi LT vz. 35 i LT vz. 38 nie zawiodły nadziei Wehrmachtu w czasie agresji na Polskę. Niemiecka 3. dywizja lekkich czołgów otrzymała 58 egzemplarzy tych maszyn. Niemieccy historycy wskazują, że to właśnie te czołgi przyczyniły się do zniszczenia Krakowskiej Brygady Kawalerii. Czeskie czołgi z czarnymi krzyżami wzięły też udział w operacji, której finałem były okrążenie i kapitulacja polskiej 7. Dywizji Piechoty pod Częstochową.

Kolejnym konfliktem, w którym używano czołgów Škody, była inwazja na Norwegię, do której skierowano 100 czeskich pojazdów. Jak się okazało, czołgi te dobrze radziły sobie w trudnym górzystym terenie i przyczyniły się do sukcesu w bitwie pod Tretten, stoczonej z oddziałami norweskimi. Czeskie czołgi chwalił też gen. Erwin Rommel w czasie kampanii francuskiej. Tworzyły one trzon nowo sformowanych niemieckich 6., 7. i 8. dywizji pancernych. To one przyczyniły się do przełamania francuskiej linii obrony na rzece Mozie 12 maja, a następnie odniosły zwycięstwo w bitwie pancernej pod Flavion.

Tam jednak po raz pierwszy wyszły na jaw także słabości czeskich pojazdów pancernych. Doskonale radziły sobie z nimi brytyjskie czołgi Matilda I i II wyposażone w armaty 40 mm i przedni pancerz o grubości 80 mm. Porażki w pojedynkach z brytyjskimi czołgami były preludium do doświadczeń Wehrmachtu w czasie ataku na ZSRS. Czeskie czołgi potrafiły pokonać w walce swoje odpowiedniki służące w Armii Czerwonej (z serii BT i T-26), ale już w starciu ze słynnym czołgiem T-34 nie miały większych szans. Dlatego począwszy od letniej kampanii 1942 r., Wehrmacht zrezygnował z produkcji czołgu LT vz. 38. Na dodatek stosunkowo delikatny czeski pojazd pancerny nie nadawał się za bardzo do zimowych warunków panujących na froncie wschodnim. Praktyczni Niemcy stwierdzili jednak, że podwozia czeskich czołgów doskonale nadadzą się do budowy dział samobieżnych Hetzer i Marder.

Ostatnim sposobem wykorzystania czeskiej broni były działa forteczne, które zdemontowano z linii obronnych w Karkonoszach i umieszczono na Wale Atlantyckim. Szczególnie ceniono tam działa Škody o kal. 210 mm, które strzelały pociskami o wadze 135 kg nawet na odległość 33 km. 6 czerwca 1944 r. właśnie takie działa zainstalowane na półwyspie Cotentin zdołały zatopić amerykański niszczyciel USS „Corry". I to właściwie był koniec wkładu czeskiego przemysłu zbrojeniowego w wysiłek wojenny III Rzeszy. Oczywiście jeśli nie liczyć niemieckich tygrysów, które z taśm fabryk Škody schodziły aż do pierwszych dni maja 1945 r.



Czołg LT vz. 38 FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ZENTRALBIBLIOTHEK SOLOTHURN/ERNST KLÖTI

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Podczas pisania tekstu korzystałem z opracowań Jiřiego Suchánka oraz Marka i Norberta Brzkovskich.

eprasa.pl 20df05361f



Krzysztof Masłoń

Wańkowicz potrafił poruszyć czytelników i zyskać ich miłość. Przed nim był tylko Henryk Sienkiewicz. Po nim już nikt



FOT. NAC

1892–1974 / 50. rocznica śmierci Melchiora Wańkowicza

Czytelnicy go kochali

Pisarz kilku epok, debiutujący artykułami prasowymi jeszcze w zaborze rosyjskim. W II RP pisze pierwsze książki, do masowego czytelnika trafiając m.in. „Szczenięcymi latami". Zostaje współwłaścicielem wydawnictwa Rój, propaguje budowę Centralnego Okręgu Przemysłowego, wydaje „Na tropach Smętka" i „Sztafetę". W czasie wojny pracuje jako korespondent wojenny przy 2. Korpusie Polskim gen. Władysława Andersa. Sławi czyn zbrojny i walkę Polaków ze znienawidzonymi okupantami – sowieckim i hitlerowskim. Pisze „Bitwę o Monte Cassino". W 1949 r. wyjeżdża z żoną z Londynu do USA, gdzie zamieszkują na farmie córki i jej męża. Z odczytami objeżdża ośrodki polonijne w USA i Kanadzie. W 1956 r. po raz pierwszy od 1939 r. jedzie do Polski, by dwa lata później wrócić z żoną do kraju na stałe. Decyzja ta przysporzy mu wrogów wśród znaczących postaci emigracji, choć i w kraju nie zabraknie osób mu niechętnych. Dlaczego?

W 1956 r. w „Dzienniku Polskim" w Detroit Roman Orwid-Bulicz napisał: „Wańkowicz nie cieszy się powszechną sympatią wśród polskich pisarzy. Jednych drażni literackim sobiepaństwem, u drugich budzi zawiść. Jest za wydajny, siedzi »na boku« i sam sobie jakoś rządzi. Gdyby – jak Norwid – przymierał głodem i żył w skrajnej nędzy, wówczas byłby otoczony ogólnym uznaniem i podawany za wzór polskiego piśmiennictwa".

„Wańkowicza ciągle usiłowano zaszufladkować. Z jednej strony brano go za szlagona, z drugiej za radykała, za patriotę, komunistę, szydercę, materialistę, za człowieka bezinteresownego.

eprasa.pl 20df05361f

Za rubasznego i lirycznego, za człowieka nierealnego, za antyfeministę i feministę, antysemitę i filosemitę, za pieniacza i ugodowca" – wyliczała w „Wokół Wańkowicza" Aleksandra Ziółkowska-Boehm, w młodości sekretarka pisarza, później przez długie lata, po dziś dzień, strażniczka jego pamięci, znawczyni życia i dorobku literackiego twórcy „Tworzywa".

Lekcja patriotyzmu

Czy pisarz miał rację, zgadzając się na publikację w kalekiej formie – uszkodzonej przez cenzurę – „Bitwy o Monte Cassino"? Odpowiem twierdząco. W przeciwnym razie musielibyśmy czekać na wydanie pełnej wersji książki do roku 1989, bo nawet drugi obieg nie poradziłby sobie z wydaniem tak obszernego dzieła. A tak wielokrotnie wznawiane „Monte Cassino" znalazło się w wielu polskich domach, gdzie zajmowało honorowe miejsca w biblioteczkach, powszechnie czytano je, nie tylko ucząc się z niego prawdy o bitwie, lecz także pobierając przy okazji świetną lekcję patriotyzmu. Tak jak z „Westerplatte" i z „Hubalczyków", i z „Ziela na kraterze".

„Ta ostatnia to w jednym gawęda, reportaż i kronika rodzinna – jak pisali Stanisław Falkowski i Paweł Stępień w »Ciężkich norwidach, czyli subiektywnym przewodniku po literaturze polskiej«. – To tren na śmierć córki, powstańczej łączniczki, poemat o cierpieniach matek i medytacja na temat krzyży podejmowanych przez kolejne pokolenia, to przede wszystkim wielki esej o tym, w jaki sposób od samego urodzenia wrastamy w rodzinę, dom, język, obyczaj, krajobraz, naród i ludzkość – jak po dziejowych katastrofach z popiołów kiełkuje cud pamięci wcielony w kilkuletnie dziecko i cud życia wcielony w dziecko nowo narodzone".

Autorzy „Ciężkich norwidów…", nazywający „Ziele na kraterze" arcydziełem nieodkrytym, polemizują z wyrażoną w „Dziennikach" przez Marię Dąbrowską opinią o Wańkowiczu jako o „Kiepurze polskiej literatury". Opinią dowcipną, ale niewątpliwie niewolną od zazdrości o popularność i jednocześnie nieco lekceważącą.



Melchior Wańkowicz pod Monte Cassino FOT. NAC

Roześmiany Mieczysław Moczar powiedział: „No to, k.... m.., będzie pan siedział". „No to, k.... m.., będę siedział" – odrzekł Melchior Wańkowicz

„Kiepura? – czytamy – Wańkowicz to raczej Wojski i Rzewuski, gotów nas zaciekawiać, rozśmieszać i wzruszać nieprzeliczonym mnóstwem historii – czołowego gawędziarza naszej literatury XX w. łatwo posądzać o gadulstwo. Niesłusznie jednak. Kto mówi jak on rzeczowo o trosce współczesnej Niobe (»nie może znaleźć głowy«), ten przemawia bez niedomówień, ale i bez gadulstwa. »Album spłonął. Krysi nie ma«; »Bywają takie ciśnienia, w których nie można wyżyć, z których ucieczka jest w śmierć albo do Boga«; »Ludzie pierzchają od tego uśmiechu«. Podobnej wagi komentarze w »Zielu na kraterze« rzadko wykraczają poza jedno zdanie".

To charakterystyczne dla tego pisarza, dostosowującego swój język do tematu, którym się zajmuje. Tak było w napisanych przez niego w 1943 r. „Dziejach rodziny Korzeniewskich" o umierających z głodu w ZSRS w latach 1939–1941 polskich wysiedleńcach. „Wańkowicz – pisał o książce w »Orle Białym« Gustaw Herling-Grudziński – wysłuchał opowiadania Hanki Korzeniewskiej z tą wewnętrzną czułością pisarza, który pozwala zrozumieć każde nazbyt ostrożne słowo, każde urwane zdanie, każdy wstydliwy ruch ręką, przelotny grymas twarzy – jeśli się chce uczestniczyć ex post". I w żadnej innej swojej książce nie osiągnął ten mistrz językowej palety, niezrównany znawca gamy barw polskiej prozy, takiego skupienia, takiej oszczędności słowa, takiej prostoty czy wręcz ascezy.

Znów sięgnijmy do „Ziela na kraterze" odczytanego przez Stanisława Falkowskiego i Pawła Stępnia: „Dla człowieka wstrząśniętego bezmiarem zbrodni i dotkniętego jej skutkami najgłębiej osobiście wiara staje się problemem, a wybaczenie zadaniem, z którym musi się zmagać. Jednak człowiek ten wierze nie przeczy. Wańkowicz nie prowadzi żadnej jawnej polemiki, lecz jego teza jest jasna. Dwudziestowieczni głosiciele rozpaczy, zagłady człowieczeństwa, absolutnej nieufności do człowieka nie mają racji. To nie oznacza żadnej naiwności. Wańkowicz wie i dobitnie

eprasa.pl 20df05361f

dowodzi, że ludzie potrafią przemienić ogrody w kratery, i pokazuje – naocznie, konkretnie i szczegółowo – jak sprawcy zbrodniczych okrucieństw w zniszczeniu szerzonym przez siebie sięgają samych fundamentów życia. Ale cud życia i rodzinnej miłości, który opiewa na pięciuset stronach swego poematu, jest zbyt wspaniały, by nawet największe zbrodnie zdołały podważyć zachwyt".

Dodam tylko, że ów „poemat" wyszedł spod ręki człowieka, który – choć wychowany i żyjący w wierze katolickiej – uważał siebie za agnostyka.

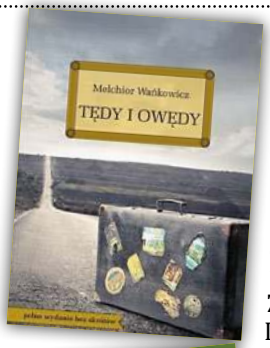
Człowiek z zasadami

Na pogrzebie pisarza na Powązkach Jan Józef Lipski powiedział: „Bardzo niewielu ludzi o tym wie, że Pan Melchior był człowiekiem, który po wielokroć spieszył z pomocą ludziom potrzebującym tej pomocy. Nieraz ludziom prześladowanym". Tak było. Aleksandra Ziółkowska-Boehm w swojej książce „Wokół Wańkowicza" wspomina: „Pamiętam dobrze wizyty Jana Olszewskiego, Marty Miklaszewskiej i Jana Józefa Lipskiego. Wańkowicz ofiarowywał pewne sumy pieniędzy na wykupienie studentów zatrzymanych przez milicję za udział w politycznych ruchach. Andrzej Friszke w książce »Opozycja polityczna w PRL 1945–1980« przytacza wypowiedź J.J. Lipskiego, że Wańkowicz w 1965 r. ofiarował znaczną kwotę do »kasy pomocy dla represjonowanych opozycjonistów i ich rodzin«. W czasie jednej z ostatnich wizyt Olszewskiego i Lipskiego w 1974 r. pisarz przekazał im sporą naówczas sumę. Chciał, by z ofiarowanych pieniędzy korzystano po jego śmierci, by wspierano ludzi popadających w polityczne kłopoty. Jan Olszewski, premier Polski w latach 1991–1992, był wówczas, w latach PRL, znanym obrońcą w procesach politycznych".

Mecenas Olszewski w marcu 1968 r. został zawieszony w wykonywaniu zawodu adwokata, w związku z czym znalazł się w trudnej sytuacji finansowej. I wtedy na jego konto wpłynęła na owe czasy znacząca suma 10 tys. zł. Wpłacającym był Melchior Wańkowicz, od którego po procesie pisarza w 1964 r. i będącej jego pokłosiem sprawie o zniesławienie, którą wytoczył autor „Bitwy o Monte Cassino" redaktorowi naczelnemu „Prawa i Życia" Kazimierzowi Kąkolowi (przed Sądem Koleżeńskim Związku Literatów Polskich!), mecenas odmówił przyjęcia honorarium, gdyż – jak wyjaśniał – „w mojej praktyce adwokackiej przyjąłem zasadę niepobierania wynagrodzenia za występowanie w procesach politycznych, a tak właśnie traktuję jego sprawę". A w 1968 r., gdy usiłował oponować przeciw dokonanej przez Wańkowicza wpłacie, usłyszał od niego: „Pan ma swoje zasady, a ja swoje. Pan prowadzi bezpłatnie obrony polityczne, a ja w miarę moich możliwości staram się świadczyć pomoc ludziom prześladowanym z powodów politycznych. Szanujmy wzajemnie nasze zasady".

„Musiałem się z tym zgodzić – wspominał po latach, w 2009 r., Jan Olszewski – bo od połowy lat sześćdziesiątych Wańkowicz przekazywał pieniądze na akcję pomocy dla represjonowanych ludzi opozycji, prowadzoną przez Jana Józefa Lipskiego, w której ja także z nim współpracowałem. Pisarz zastrzegł sobie w tej sprawie całkowitą i bezwzględną tajemnicę. O przekazywanych przez niego pieniądzach wiedziały tylko trzy osoby: J.J. Lipski, ja i b. prezes Klubu Krzywego Koła Aleksander Małachowski. Zobowiązanie zachowania tajemnicy zostało przez wszystkich ściśle wykonane. Dzisiaj uważam za swój obowiązek jej ujawnienie".

W 2006 r. Andrzej Friszke w przedmowie do książki Jana Józefa Lipskiego „KOR" napisał: „W tych latach Lipski zbliżył się z Wańkowiczem, a po jego śmierci w 1974 r. był wykonawcą testamentu pisarza. Zapisał on prowadzonej przez Lipskiego kasie ogromną na owe czasy sumę 8 tysięcy dolarów. Pozwoliło to myśleć o stypendiach dla represjonowanych twórców i młodej inteligencji, a także stworzeniu funduszu rezerwowego »na wszelki wypadek«. Sumy te, którymi zarządzano w warunkach konspiracji, stały się w przyszłości podstawą akcji KOR-u".











Synteza polskich problemów

„Współczesność bez Wańkowicza? – stawiał znak zapytania Kazimierz Dziewanowski. I zaraz odpowiadał: – A cóż by to była za współczesność?".

W 2011 r. Rafał A. Ziemkiewicz tak pisał o „Kundlizmie", po opublikowaniu którego „Orzeł Biały" orzekł, że autor zniesławia naród polski: „Wańkowicz miota się między mitotwórcami a szydercami, między tymi odwiecznymi stronnictwami polskiej głupoty, w tej samej pułapce wiecznej polskiej niedojrzałości, pułapce »Polski zdziecinniałej«, pułapce upartej dążności do »życia ułatwionego«, w której szarpali się jego wielcy poprzednicy i niejeden z następców. Nie był przecież mitotwórcą, choć gdy trzeba było, umiał grać na patetycznych nutach, jak we wspaniałym reportażu »Bitwa o Monte Cassino«. Nie jest i szydercą, choć szydercze nuty rozbrzmie-

eprasa.pl 20df05361f

wają w przypominanych tu klasycznych dziś już tekstach, raz po raz. Jest reporterem, z bystrym okiem do obserwacji i darem celnego skrótu, oraz publicystą, który z podchwyconych przez reportera szczegółów buduje syntezę polskich problemów, w swej istocie, mimo upływu lat i zmian powierzchownych, wciąż, niestety, bardzo aktualnej".

„Mit Wańkowicza funkcjonuje w naszej kulturze o wiele żywiej od jego spuścizny literackiej – powiada Aleksandra Ziółkowska-Boehm w »Wokół Wańkowicza«. – I jeśli nigdy nie jest rzeczą obojętną, czy legenda otacza dzieło czy też raczej jego twórcę, to w tym wypadku ma to znaczenie szczególne. Chodzi bowiem o pisarza, który tworzenie własnej legendy uznał publicznie za cel swych literackich i pozaliterackich zabiegów".

Jednak ta legenda z czegoś się brała. Podsycały ją takie wydarzenia, jak podpisany przez niego List 34 w obronie wolności słowa, w efekcie którego komuna postanowiła krnąbrnego pisarza wsadzić za kraty, co jej się nawet udało, ale jeśli ktoś na tym zyskał, to tylko Wańkowicz.

W pałacu Mostowskich

Proces Melchiora Wańkowicza w 1964 r. był jedną z najważniejszych spraw, które toczyły się w Polsce tamtego czasu. Oskarżony o „przekazanie za granicę dla rozpowszechnienia materiału oczerniającego Polskę Ludową" (w istocie przemówienia pisarza przygotowywanego na spotkanie przedstawicieli rządu z literatami), skazany został na trzy lata więzienia. Sąd jednak, podpierając się amnestią, zmniejszył wyrok o połowę, zwalniając skazanego ze względu na spodziewaną apelację, do której nigdy nie doszło – pisarz nie poniżył się bowiem na tyle, by o cokolwiek prosić organ ze sprawiedliwością niemający niczego wspólnego. Areszt w końcu uchylono ze względu na wiek i stan zdrowia 72-letniego Wańkowicza.

Sprawa wywołała zainteresowanie światowej opinii publicznej. Oficjalnie protestował m.in. amerykański PEN Club, a senator Robert Kennedy, stając w obronie pisarza (nie tylko dlatego, że Wańkowicz od 1956 r. posiadał obywatelstwo amerykańskie), odbył osobistą rozmowę z ówczesnym ambasadorem PRL w Waszyngtonie.

8 stycznia 1965 r. ma miejsce trzygodzinna rozmowa Melchiora Wańkowicza z Władysławem Gomułką. To w jej wyniku pisarz zostaje „odblokowany", uzyskuje zabrane mu prawo druku, stopniowo ukazują się też jego książki. O przebiegu rozmowy niewiele wiadomo, za to wiemy, co miało miejsce wcześniej. Otóż, gdy do procesu trzymano Wańkowicza w pałacu Mostowskich, a gdy pierwszego dnia procesu odmówił wyjaśnień, uzależniając je od widzenia z przedstawicielem władz, spotkał się z nim Mieczysław Moczar. Kiedy okazało się, że pisarz nie ma ochoty pójść na jakiekolwiek koncesje, rozeźlony Moczar miał powiedzieć: „No to, k…. m.., będzie pan siedział". „No to, k…. m.., będę siedział" – odrzekł Wańkowicz.

Rozmowa z Gomułką okazała się znacznie bardziej efektywna. Pisarz mówił potem – co wiemy z tekstu Aleksandry Ziółkowskiej w 86. numerze „Zeszytów Historycznych" z 1988 r. – że „»jedynie w Polsce możliwa jest sytuacja, aby skazany żył z wyrokiem półtorarocznego więzienia, poruszał się swobodnie, a nawet wyjeżdżał za granicę«. Była to uwaga podkreślająca paradoksy i niekonsekwencję władzy.

Ostatecznie proces przyniósł Wańkowiczowi jeszcze większą popularność, stał się on kimś w rodzaju bohatera. Ludzie zatrzymywali go na ulicy, dostawał kwiaty i listy od czytelników. Znany stał się powszechnie wypadek, kiedy Wańkowicz przyszedł do teatru, zajął miejsce w pierwszym rzędzie i w połowie aktu jeden z aktorów, rozpoznawszy go, podszedł do rampy, ukłonił się i dopiero potem wznowił grę. Brawa publiczności pokwitowały to zdarzenie".

Pan z panów

Magiczny Wańkowicz? Dziś literatura magiczna kojarzy się starszym z nas z Ameryką Południową, a młodszym z Harrym Potterem. Autor „Ziela na katerze" przywoływał zaś Henryka Sienkiewicza, tak pisząc o nim w tej książce:

„King często zastanawia się, jak też maluje malarz? Wziął na pędzel tego koloru, owego koloru i nagle na płótnie jest twarz. Albo granie: są cztery kiszki baranie i nagle – symfonia. King nie może pojąć tych czarów. Jak się to robi? […].

Ale jak pisze Sienkiewicz? Pan z panów – bez trudu. Jedzie ze swymi bohaterami po kraju, mówi ich językiem o ich ubiorach, zbrojach, sprzęcie. Rzędach końskich, obyczajach, porusza się po żmudzkich zaściankach, ukraińskich chutorach, nad Wisłą, w Wielkopolsce, jakby to wszystko schodził. Jakby w tym wszystkim był. Czytając innych autorów powieści historycznych, wciąż zastanawiamy się, czy utrafili. Tu wierzy się absolutnie, nie dość: chyba bohaterowie musieli rządzić Sienkiewiczem, żeli jak chcieli".

Kokiet był z Wańkowicza nie lada. O swoich bohaterów nie musiał się troszczyć, protagonistą jego utworów był bowiem on sam. Ale czytelnicy pozwalali mu rządzić sobą, jak mu się żywnie podobało, i jeszcze byli mu za to niesłychanie wdzięczni. Tego mocno już starszego pana kochała młodzież w równym stopniu jak jej rodzice. W 1959 r. na jego odczyt w Sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki dostać się było niemal tak trudno, jak osiem lat później na koncert Rolling Stonesów w tym samym miejscu. Gdy w 1971 r. miał wykłady na Uniwersytecie Warszawskim, odwoływano zajęcia, bo każdy, niezależnie, co studiował, chciał ich wysłuchać. Kiedy w następnym roku w telewizji zdecydowano się na emisję jego pogadanek ułożonych w cykl „Jacy jesteśmy Polacy", pustoszały ulice niczym podczas transmisji meczów Górnika Zabrze. Tego, co się działo na kiermaszach książki z jego udziałem, nie da się opowiedzieć ludzkim słowem. Gdy pisarza zabrakło, wystarczała sama możliwość kupna jego książki, by napór tłumu groził wywróceniem stoiska.

Był pisarzem czytanym i – proszę o wybaczenie być może pewnej egzaltacji – kochanym. To po to właśnie wrócił do kraju, o co zawsze miała do niego pretensje nieprzejednana część emigracji: po sławę, uznanie i miłość. Żadnemu człowiekowi pióra nie udało się uzyskać tego w takim stopniu jak jemu. Przed nim był tylko Henryk Sienkiewicz. Po nim już nikt.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 20df05361f



Pomnik Lenina przed Teatrem Wielkim we Lwowie i portret Stalina na fasadzie FOT. DOMENA PUBLICZNA

Książka miesiąca / Ciężkie lata 1945–1949

Polacy w sowieckim Lwowie

Miasto zostało założone przez ruskiego księcia, ale budowali je od XIV do XX w. i dali mu charakter oraz świetność Polacy, a także Żydzi i Ormianie. Lwów był w latach zaborów najważniejszym ogniskiem polskiej nauki i kultury. Na uczelniach Lwowa wykładali w latach II RP światowej sławy uczeni – Ignacy Mościcki, Rudolf Weigl, Stefan Banach. Lwów to kolebka polskiego niepodległościowego ruchu zbrojnego, miasto, w którym narodził się polski skauting i powstały pierwsze polskie kluby piłkarskie.

W 1945 r. rozpoczął się exodus Polaków ze Lwowa, który faktycznie był wypędzeniem. Nieznaczna tylko część polskich lwowian pozostała w swoim mieście. O nich opowiada książka Piotra Olechowskiego pod mocnym tytułem „Agonia Polaków we Lwowie 1945–1956". Agonia kończy się śmiercią, a jednak Polacy we Lwowie wciąż na szczęcie są, choć stanowią garstkę w mieście liczącym ponad 700 tys. mieszkańców. A są dlatego, że ich dziadkowie, rodzice z różnych przyczyn nie chcieli opuścić swojego miasta, w tym z miłości do niego.

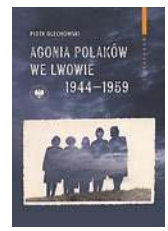
W sowieckim Lwowie istniały trzy polskojęzyczne szkoły średnie. Wprowadzone limity sprawiały, że nie każdy młody Polak mógł się do nich dostać. Oczywiście szkoły te sowietyzowały i ateizowały młodzież. Ale – jak pisze autor – „dawały jednak poczucie przynależności do narodu polskiego. Było to niezwykłe ważne w warunkach postępującej sowietyzacji Lwowa".

Najważniejszą rolę w zachowaniu narodowej tożsamości przez lwowskich Polaków odegrał oczywiście Kościół katolicki, nękany przez władze sowieckie. Wobec masowego wyjazdu Polaków ze Lwowa – 100 tys., pozostało kilkanaście – Polakom pozostawiono tylko trzy–cztery kościoły spośród 37. „Świątynie miały doczekać, aż umrą pracujący w nich księża, a potem zostać zamknięte. Oznaczało to, że wyznanie rzymskokatolickie w ZSRR miało zginąć w sposób naturalny".

Nie zginęło dzięki poświęceniu i bohaterstwu zaledwie tylko kilku księży. Autor pisze o ks. Hieronimie Kwiatkowskim, opisywanym przez polskojęzyczny „Czerwony Sztandar" jako „pełen wrogości do wszystkiego, co radzieckie", który prowadzi „krecią nienawistną robotę". Ksiądz został skazany na 10 lat lagrów. Z kolei o. Kazimierz Lendzion, który bez wymaganego zezwolenia sprawował kult po zmarłym proboszczu w parafii Marii Śnieżnej, został skazany na 10 lat łagru. Ojcowi Rafałowi Kiernickiemu robiono zarzuty, że w swoim kazaniu nie dał wzmianki o… śmierci Stalina. Kiernicki został pozbawiony prawa do sprawowania kultu. Pracował jako stróż nocny, ale nadal – potajemnie – sprawował funkcje kapłańskie.

Piotr Olechowski pisze: „Niestety, dzisiejszy dyskurs historyczno-polityczny na Ukrainie nadal wykazuje silne tendencje do swoistego »ukrainizowania« całej historii Lwowa. Dotyczy to także okresu ZSRR. Przejawia się to przede wszystkim w unikaniu podawania narodowości wybitnych mieszkańców Lwowa". Zamiast „polski" pisze się „lwowski". Są wszakże – jak zwraca uwagę autor – pozytywne zjawiska: na ulicach miasta pojawiły się tablice upamiętniające jego mieszkańców: Stanisława Lema, Wojciecha Kilara, Kazimierza Górskiego, Stefana Banacha. Przy okazji remontów domów są odnawiane dawne polskie napisy. Fredro, Matejko, Orzeszkowa, Słowacki są patronami ulic. Nadal jednak – jak stwierdza Olechowski – „wyczuwa się wyraźną niechęć władz Lwowa do obrządku rzymskokatolickiego, który wciąż jest utożsamiany z żywiołem polskim (czyt. obcym, złym)". ©℗

Tomasz Stańczyk



PIOTR OLECHOWSKI
„AGONIA POLAKÓW WE LWOWIE 1944–1959"
IPN

eprasa.pl 20df05361f

Podwójne życie Heydricha

Szef Sicherheitsdienst oraz protektor Czech i Moraw – Reinhard Heydrich – to postać budząca grozę. Wokół niego narosło przez lata wiele mitów. Czasami spotkać można się nawet z opinią, że z dystansem do niego podchodził Adolf Hitler. Choć Heydrich zajmował bardzo wysokie stanowiska w III Rzeszy, to Hitler nigdy nie dopuścił go do grona swych najbliższych współpracowników. Heydrich zasłynął przede wszystkim jako inicjator konferencji w Wannsee i architekt „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej". Znany jest także jako cel udanego zamachu czeskich komandosów w 1942 r. w Pradze. Czy jednak poza tym wiadomo o nim coś więcej? Czym urzekła go NSDAP? Jak znalazł się w otoczeniu Himmlera? Kim naprawdę był?

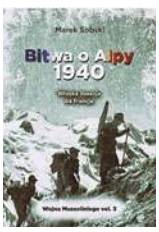
Jak twierdzą autorzy książki, Reinhard Heydrich to postać dużo bardziej złożona, niż wydaje się to na pierwszy rzut oka. Pełna sprzeczności, której zachowanie, postępowanie i podejmowane decyzje trudno zrozumieć i wyjaśnić. Był oddanym członkiem partii narodowo-socjalistycznej, gorliwie wypełniającym wszystkie polecenia i bez mrugnięcia okiem, dla dobra Niemiec, posyłającym ludzi na śmierć. Jednocześnie prowadził przykładne życie rodzinne, był kochającym i dbającym o bliskich mężem i ojcem. Takiego właśnie Heydricha zapamiętała jego żona, Lina von Osten Heydrich, która jest, obok Heydricha, bohaterką książki. Współautorka książki przeprowadziła z nią przed laty długi wywiad. Trudno nie odnieść wrażenia, że żona szefa SD, pomimo upływu lat, wciąż żyje atmosferą Niemiec lat 30. i 40. oraz splendorem, który otaczał wówczas jej rodzinę. Choć Lina Heydrich ma świadomość popełnionych przez Niemców – w tym przez swojego męża – zbrodni, to wciąż myśli o nim z miłością, spoglądając podczas rozmowy raz po raz na jego maskę pośmiertną, która zajmuje jedno z głównych miejsc w pokoju. Autorzy książki próbują zrozumieć fascynację Liny Heydrich jej mężem, ich relacje rodzinne oraz sposób, w jaki Reinhard Heydrich oddzielał domową sielankę od makabrycznych zbrodni, które inicjował. ©℗ ***Anna Szczepańska***



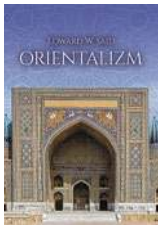
NANCY DOUGHERTY, CHRISTOPHER LEHMANN-HAUPT
„MĄŻ, OJCIEC, ZBRODNIARZ. PRYWATNE ŻYCIE REINHARDA HEYDRICHA"
PRÓSZYŃSKI I S-KA

Alpejska Linia Maginota

W III części serii „Wojna Mussoliniego". Marek Sobski opisuje kampanię włosko-francuską w Alpach Zachodnich w czerwcu 1940 r. Francuscy strzelcy alpejscy oraz bataliony forteczne powstrzymały próby armii włoskiej zdobycia alpejskiej Linii Maginota. Brak odpowiednich środków bojowych do przełamywania pozycji ufortyfikowanych i duże ich nasycenie artylerią spowodowały, że Włosi zdołali wedrzeć się w głąb Francji na zaledwie parę kilometrów. Autor stwierdza, że wielu włoskich żołnierzy zdało egzamin na polu walki. Przykładem jest zmarły z ran kpr. Livio Marbello z Batalionu Alpejskiego Val Dora. Ranny w głowę podczas przejmowania stanowiska ogniowego po poległym koledze, przy rkm-ie, nie pozwolił się opatrzeć i ewakuować na tyły, prowadził nieprzerwany ogień w kierunku przeciwników. ©℗ ***(a.k.)***



MAREK SOBSKI
„BITWA O ALPY 1940. WŁOSKA INWAZJA NA FRANCJĘ. WOJNA MUSSOLINIEGO, VOL. 3"
WYD. MAREK SOBSKI



EDWARD W. SAID
„ORIENTALIZM"
ZYSK I S-KA

FAŁSZYWY OBRAZ?

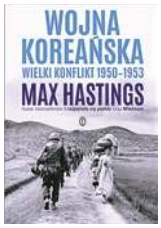
Ta książka to jedna z najważniejszych prac dotyczących postkolonializmu. Autor obala większość tez, które zachodni naukowcy stawiają, badając kraje Orientu, a nawet mierzy się z samym pojęciem „orientalizmu". Bo czym właściwie jest Orient? Czy europocentryczne spojrzenie na państwa Bliskiego i Dalekiego Wschodu jest wystarczające, aby zrozumieć mechanizmy, które nimi władają? ©℗ ***(a.s.)***



MICHAŁ PRZEPERSKI
„DZIKI WSCHÓD. TRANSFORMACJA PO POLSKU"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

DZIECI TRANSFORMACJI

Autor przedstawia proces przejścia z gospodarki centralnie planowanej do dzikiego kapitalizmu Patrzy na tzw. transformację oczami zwykłych ludzi. Na co czekali? Czy w roku 1989 mogli przypuścić, jakie zmiany przyniosą im kolejne lata? Jak stwierdza autor, bez zrozumienia tamtego czasu nie pojmiemy, gdzie i dlaczego jesteśmy dzisiaj. ©℗ ***(a.s.)***



MAX HASTINGS
„WOJNA KOREAŃSKA. WIELKI KONFLIKT 1950–1953"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

NIEDOKOŃCZONE SPRAWY

Autor, znany historyk, pisze o pierwszym otwartym konflikcie między światem Zachodu a komunizmem. Praca jest analizą wydarzeń z lat 1950–1953. Jak doszło do wojny i jak wspominają ją zwykli żołnierze? Choć Półwysep Koreański po 1953 r. podzielony został między Północ i Południe, to konflikt między dwoma państwami koreańskimi wciąż wisi w powietrzu. ©℗ ***(a.s.)***

eprasa.pl 20df05361f

/ Felieton



Rafał A. Ziemkiewicz

Nie było, ale było

Prawda została już ustalona i żadne fakty tego nie zmienią". Sławne zdanie z anteny TVN24 o katastrofie w Smoleńsku wydaje mi się idealnym uchwyceniem naszego stosunku do własnej historii. Jest on całkowitym zaprzeczeniem postulatu Goethego, żeby „każde pokolenie pisało historię swego narodu na nowo". Przeciwnie – pokolenia poprzednie już ją opowiedziały i jeśliby w tej opowieści coś zmieniać, to byłoby to okazaniem im lekceważenia. A przodków trzeba szanować! Historia to dla Polaka święta księga, to Mojżeszowe tablice. Kto by śmiał na nich bazgrolić i coś dopisywać?

Jedną z takich świętości jest kanoniczna wersja polskiej zagłady we wrześniu 1939 r. Nic się nie dało zrobić, koniec. Kto twierdzi, że jednak coś było można, jest miażdżony morderczym argumentem: przecież Polska nie mogła być w sojuszu z Hitlerem!

Wyjaśnianie, że nie tylko mogła, ale była w sojuszu z Hitlerem, przypomina rzeźbienie gołymi rękami kamienia. Ileż razy można to tłumaczyć? Ale zajrzyjcie w świadectwa epoki, gdzie kto chce. Plany wojskowe Stalina sprzed roku 1939 zakładały obronę przed połączonym atakiem niemiecko-polskim, jako o sojuszniku Hitlera („szakal przy niemieckim lwie") pisała o nas prasa amerykańska, za sojusznika Hitlera w przyszłej wojnie uważali nas Włosi, Anglicy i przede wszystkim sam Hitler. Dlatego tak się wściekł, gdy w kwietniu 1939 r. Polacy ten oczywisty – w jego przekonaniu – sojusz zerwali i oddali się pod opiekę Anglii.

Ale Polska przecież żadnego przymierza z Niemcami nie podpisała, nie ma żadnego takiego dokumentu! To prawda, ale cały świat widział, że Polska życzliwie sekunduje planom niemieckim. Państwo, które istniało tylko dzięki traktatowi wersalskiemu, odmawiało wspólnej z Zachodem akcji przeciwko negowaniu przez Niemcy tego traktatu i szukało mocarstwowej współpracy na Bałkanach z Węgrami: drugim państwem, które dążyło do obalenia powersalskiego ładu. Jak to można było logicznie wyjaśnić? Tylko w jeden sposób: Polska po cichu jest już dogadana z III Rzeszą.

> Uboczną ofiarą sanacyjnego sojuszu z Hitlerem, **którego nie było formalnie, ale jednak wszyscy uważali, że był, padła nasza niepodległość**

Prawdziwe wyjaśnienie nie mieściło się światu w głowie, toteż nikt go nawet nie podejrzewał: że Polacy tak się nadęli własną wielkością i urojeniami, że uważają się za mocarstwo równorzędne wobec Niemiec i ZSRS. Że odrzucili francuskie wezwania do obrony Czechosłowacji, a nawet sami wzięli udział w jej rozbiorze, by ukarać za jego zdrady Zachód, nazwany przez Piłsudskiego „parszywieńkim" – w przekonaniu, że jeśli Hitler okaże się tak szalony, by zwrócić się przeciwko Warszawie, potężna armia Śmigłego-Rydza po prostu spuści mu bęcki i rozniesie na kopytach jego kartonowe czołgi. „Nikt nam nie zrobi nic, nikt nam nie weźmie nic".

Piłsudczycy w przededniu wojny nie chcieli słyszeć o podzieleniu się władzą, o „rządzie pojednania narodowego". Nawet już po klęsce zamierzali utrzymać całkowity monopol i szykowali się do zwycięskiego powrotu do Warszawy u boku aliantów. To, że Francja i Wielka Brytania pozwoliły ich odizolować w Rumunii i same wybrały sobie swój polski rząd, stawiając na jego czele Sikorskiego, wynikało właśnie z tej przedwojennej polityki: Londyn i Paryż nie chciały mieć z tymi ludźmi nic wspólnego. Uboczną ofiarą sanacyjnego sojuszu z Hitlerem, którego nie było, formalnie, ale jednak wszyscy uważali, że był, padła nasza niepodległość. Bo skoro alianci raz wyznaczyli polski rząd, to dlaczego nie mieliby potem tego zrobić raz jeszcze, w gronie poszerzonym o ZSRS? ©℗

eprasa.pl 20df05361f

/ Felieton



Piotr Semka

Diabeł o anielskich oczach

To się nazywa odejście w wielkim stylu. Śmierć gwiazdora francuskiego kina Alaina Delona (18 sierpnia br.) wywołała w mediach delonomanię. Wszystkie stacje telewizyjne prześcigały się w przypominaniu jego najwybitniejszych ról. Wraz z Catherine Deneuve, Jeanem Moreau czy Jeanem-Paulem Belmondo był on symbolem złotej epoki francuskiego kina. Kobiety za nim szalały. Producenci filmowi szybko zwietrzyli, że obsadzanie go w filmie ogromnie podbija oglądalność. Problem w tym, że często były to średnie filmy i gwiazdor rozmieniał się w nich „na drobne".

A jak Delon wypadał w filmach historycznych? We włosko-francuskiej megaprodukcji „Lampart" z 1963 r. gwiazdor zagrał cynicznego i sprytnego siostrzeńca głównego bohatera filmu księcia Saliny. Delon w roli Tancrediego Falconeriego bardzo umiejętnie oddał podejście młodszej generacji sycylijskiej arystokracji, która sprawnie dostosowała się do prądów nowej epoki. Najpierw przyłączając się do sił rewolucyjnych Garibaldiego, a potem wżeniając się w parweniuszowskie rody mieszczańskie, które miały już fortuny, ale do spełnienia marzeń o awansie potrzebowały jeszcze sławy arystokratycznych nazwisk.

W 1965 r. Alain Delon zagrał w filmie „Czy Paryż płonie?" opowiadającym o powstaniu stolicy Francji w sierpniu 1944 r. Superamant wcielił się w rolę Jacques'a Chaban-Delmasa, jednego z przywódców zrywu, który należał wówczas do najbardziej wpływowych polityków obozu generała de Gaulle'a. Rola nie była specjalnie pogłębiona, ale i tak Delon ściągnął za to na siebie gromy ze strony lewicy za rzekome wysługiwanie się gaullistom.

W 1966 r. zagrał kpt. Philippe'a Esclaviera w filmie „Wojna w Algierze". Była to pierwsza próba dotknięcia bolesnego wtedy tematu przegranych wojen w Indochinach i Algierii. Delon jako 17-latek sam służył w Wietnamie. Obraz był dziwacznym łamańcem. Z jednej strony reżyser filmu Mark Robson sławił braterstwo broni żołnierzy francuskiego i algierskiego pochodzenia walczących w bitwie pod Dien Bien Phu, a z drugiej strony scenariusz poruszał temat francuskich okrucieństw wobec Algierczyków. W rezultacie powstał film, który dla nikogo nie był przekonujący.

> Nie zawsze obsadzano go w dobrych rolach, jednak **nikt nie odmawiał mu niepowtarzalnej osobowości.** Zapamiętamy jego aktorski charme

Dziwaczną kreację stworzył Delon w filmie z 1971 r. pt. „Zabójstwo Trockiego" w reżyserii Anglika Josepha Loseya. Wcielił się w nim w rolę komunistycznego zamachowca Ramóna Mercadera, który wkrada się w łaski Lwa Trockiego jako jego zwolennik z Kanady. Wszystko po to, by z polecenia NKWD zamordować niegdysiejszego wodza Armii Czerwonej. Mercader w wydaniu Delona to chwiejny wrażliwiec, który długo broni się przed dokonaniem mordu. Nijak to się jednak ma do faktów. Mercader był ideowym komunistycznym mordercą i żadnych skrupułów na pewno nie miał.

I wreszcie najlepsza jego rola historyczna. W filmie „Pan Klein" z 1976 r. aktor wciela się w bezwzględnego handlarza dzieł sztuki działającego w okupowanym przez Niemców Paryżu. Klein bardzo długo żeruje na walczących o przeżycie francuskich Żydach, którzy szukając środków na ucieczkę z Francji, za grosze wyprzedają wspaniałe kolekcje dzieł sztuki. Pech chce, że wróg Kleina skutecznie używa wobec niego oskarżenia o żydowskie pochodzenie. W rezultacie tej intrygi główny bohater otrzymuje nakaz stawienia się na podparyską stację kolejową, skąd odjeżdżają transporty do obozu Auschwitz-Birkenau...

Nazywano go „diabłem o anielskich oczach". Mimo że nie zawsze obsadzano go w dobrych rolach, nikt nie odmawiał mu niepowtarzalnej osobowości. Zapamiętamy jego aktorski charme i niepowtarzalny wdzięk. Żegnaj, Alain... ©℗

eprasa.pl 20df05361f



XIX w. / Narodziny hymnu USA

Siła gwiaździstego sztandaru

Brytyjskie okręty ostrzeliwują fort McHenry FOT. COMMONS WIKIMEDIA



Grzegorz Janiszewski

Jedno z najważniejszych dla Ameryki i jej mitów wydarzeń miało miejsce podczas zapomnianej już nieco wojny. Powstała wówczas pieśń, która stała się symbolem USA

Trzydziestopięcioletni prawnik Francis Scott Key siedział w szalupie, wiosłując w stronę brytyjskiego okrętu liniowego HMS „Tonnant", kołyszącego się u ujścia rzeki Patapsco, niedaleko Baltimore. Wokół wyrastał las masztów kilkudziesięciu innych okrętów wojennych stojących na kotwicach na rzece. Ich działa mogły zmiażdżyć chroniące miasto fortyfikacje i przesądzić o losach trwającej już dwa lata wojny. Wchodząc na pokład, Key spojrzał jeszcze na widoczne w oddali mury broniącego miasta Fortu McHenry. Powiewał nad nimi wielki gwiaździsty sztandar. Był wrzesień 1814 r., a Fort McHenry miał odegrać znaczącą rolę nie tylko w nadchodzącej bitwie o Baltimore, lecz także w całej amerykańskiej historii.

Key wypełniał właśnie specjalną misję, w którą wysłał go prezydent James Madison. Jej celem miało być uwolnienie dr. Williama Beanesa, który dwa tygodnie wcześniej został uwięziony przez plądrujących okolice Anglików. Spotkanie na pokładzie HMS „Tonnant" przebiegło w miłej atmosferze. Goście zjedli nawet obiad z adm. Thomasem Cochranem – dowódcą brytyjskich sił. Jednak warunkiem uwolnienia Beanesa było pozostanie obu Amerykanów na morzu przez kilka kolejnych dni. Anglicy obawiali się bowiem, że w innym przypadku goście ostrzegą swoich o zbliżającym się ataku. Key pod strażą został odwieziony na slup, którym przypłynął, i pozostał tam, pilnowany przez Anglików, przez kilka następnych kluczowych dni. To właśnie w tym czasie powstał utwór, który stał się dla Amerykanów potężnym symbolem.

Zapomniany konflikt

Wojna roku 1812, jak nazywają ją Amerykanie, była dosyć niespodziewana, a jej przebieg sprawił, że młode amerykańskie państwo znalazło się w poważnych opałach. Europą wstrząsały wówczas wojny napoleońskie i amerykańscy przywódcy nie chcieli mieszać się w kłopoty za oceanem. Zauważyli jednak ciekawą okazję. Od dawna ostrzyli sobie zęby na hiszpańskie terytoria na zachód od Luizjany i Florydę, a także część brytyjskiej Kanady. Wojna była również szansą na eksport amerykańskich towarów dla walczących stron. I wreszcie można się było odegrać na Anglikach za czasy kolonialne i uszczknąć imperium część jego bogactw i wpływów.

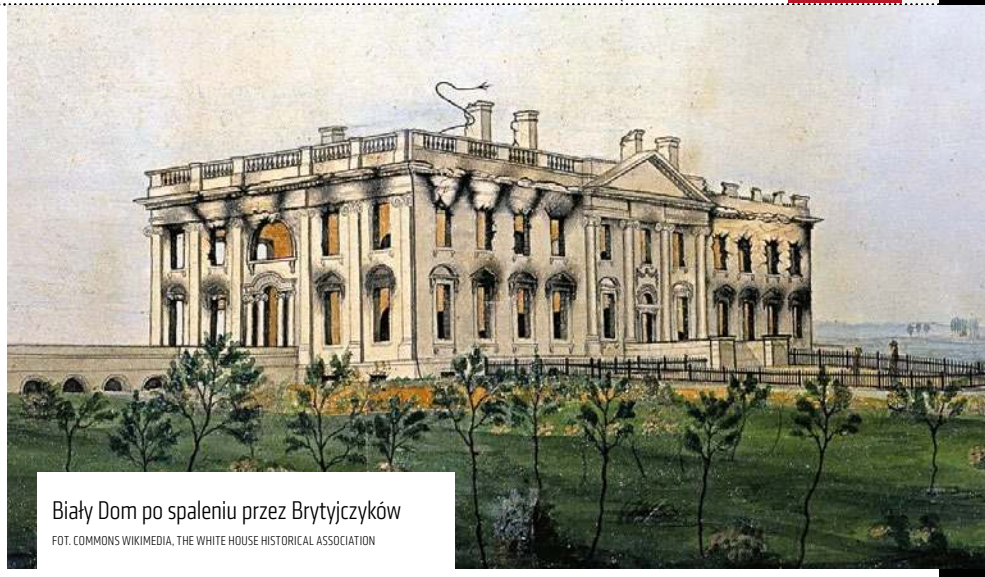
Nie było to łatwe. Hiszpania była wprawdzie całkowicie pochłonięta wojną, ale Wielką Brytanię stać było na

eprasa.pl 20df05361f

walkę na kilka frontów. Anglicy, posiadając w Kanadzie szczupłe siły, mobilizowali do walki Indian, dostarczając im broń i amunicję. Brytyjski sojusznik, wódz Tecumseh, podróżował od Wielkich Jezior do Florydy, starając się pozyskać Indian do walki z grabiącymi ich ziemie Amerykanami. Ci ostatni handlowali zarówno z Anglikami, jak i z objętą napoleońską blokadą Europą kontynentalną, co narażało ich na represje obu stron. Amerykańskie statki były zatrzymywane, a ich towary konfiskowane. Anglicy gwałtownie powiększali swoją flotę i wyłapywali na amerykańskich statkach swoich marynarzy, którzy wybrali spokojną służbę w marynarce handlowej zamiast walki pod Union Jackiem. Dochodziło do starć, w których padały ofiary. Bulwersowało to Amerykanów, którzy zaczęli palić się do wojny. Były prezydent Thomas Jefferson w liście do Jamesa Madisona, który był wówczas głową państwa, tak opisał nastroje panujące wśród młodych mieszkańców Wirginii: „Pytają tylko, czy mają iść przeciwko Kanadzie czy Florydzie" (ta ostatnia należała wówczas do Hiszpanii).

Amerykańskie dostawy żywności uratowały armię walczącego z Francuzami w Portugalii i Hiszpanii Wellingtona, a mimo to Anglicy nadal nie chcieli wpuszczać amerykańskich statków do swoich portów. A gdy w końcu zrobili to w czerwcu 1812 r., było już za późno. Amerykanie wybrali handel z Francją i zemstę na Wielkiej Brytanii.

Wojna toczyła się ze zmiennym szczęściem. Front walk początkowo przebiegał na granicy z Kanadą. Amerykańscy milicjanci niezbyt kwapili się do walki na nie swojej ziemi. Podobnie jak napoleońscy jeńcy, których Anglicy wcielali do swoich oddziałów. Wyszkoleni i wyekwipowani brytyjscy żołnierze byli jednak trudnym przeciwnikiem. Indianie Tecumseha wyparli Amerykanów z Fortu Dearborn, czyli dzisiejszego Chicago, a Brytyjczycy wkroczyli do Detroit. Seminole z Florydy zaatakowali Georgię. Na morzu generalnie lepsi byli Amerykanie, ponieważ Anglicy rzucili najlepsze jednostki do walki z flotą Napoleona i jego sprzymierzeńców. W sierpniu 1812 r. fregata USS „Constitution" zatopiła brytyjski okręt HMS „Guerriere", a USS „Argus" w ciągu kilku miesięcy przejął 21 angielskich statków handlowych. Tego Korona nie mogła puścić płazem. Po abdykacji Napoleona w kwietniu 1814 r. do Ameryki wysłano posiłki. Anglicy postanowili zadać cios w samo serce USA. Desanty wysadzone w zatoce Chesapeake opanowały Waszyngton, paląc Biały Dom i Kapitol. Następnie angielska flota podążyła do głównego celu – portu w Baltimore. Amerykanie nie przywiązywali dużej wagi do wojsk lądowych, budowali za to silne fortyfikacje obrony wybrzeża. Jedną z nich był wspomniany już Fort McHenry.



Biały Dom po spaleniu przez Brytyjczyków
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, THE WHITE HOUSE HISTORICAL ASSOCIATION

Pasy i gwiazdy

Amerykańska flaga nie miała dużego znaczenia w wojnie o niepodległość. Legendy, jak ta o Betty Ross, która uszyła pierwszą flagę dla Jerzego Waszyngtona, powstały dużo później. Przez pierwsze lata młodej republiki flaga służyła głównie do oznaczania wojskowych fortów i okrętów wojennych. Amerykanie odwoływali się chętniej do symboli tradycyjnie kojarzonych z wolnością – postaci Jerzego Waszyngtona, amerykańskiego orła i Lady Liberty (wyobrażonych na pierwszych dolarach). Powszechny dzisiaj zwyczaj wywieszania flagi na domach był wówczas nieznany.



Francis Scott Key
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, THE LIBRARY OF CONGRESS PRINTS & PHOTOGRAPHS ONLINE CATALOG

Prawnik z Maryland, Francis Scott Key, nie był zwolennikiem wojny z Wielką Brytanią. Nazywał ją „wstrętną" i „górą niegodziwości". Stosunek do niej zmienił na przełomie lat 1813 i 1814, gdy Brytyjczycy zaczęli najeżdżać okolice zatoki Chesapeake – wstąpił wtedy do milicji w Georgetown. Spalenie Waszyngtonu głęboko nim wstrząsnęło i misję powierzoną mu przez prezydenta uznał za wielkie wyróżnienie.

O świcie 13 września 1814 r. zaczęło się bombardowanie, które trwało 25 godzin. Anglicy wystrzelili ponad 1,5 tys. pocisków. Key był przekonany, że z fortu zostaną gruzy. Jak sam później napisał, „wyglądało to tak, jakby matka Ziemia otwarła usta i zaczęła rzygać pociskami i bombami otulonymi ogniem i siarką". Jednak kiedy rozwiał się armatni dym, dostrzegł, że mury fortu wciąż stoją. Co więcej, powiewał nad nimi wielki gwiaździsty sztandar, w niewytłumaczalny sposób ocalały z kanonady.

Wzruszony Scott wyjął z kieszeni list i zaczął pisać na jego odwrocie wiersz. Na okręcie powstała pierwsza zwrotka. Cztery kolejne spisał po powrocie do Baltimore. Przeczytał go jego szwagier,

eprasa.pl 20df05361f

dowódca milicji w Forcie McHenry, i wydał w formie ulotki pt. „Obrona Fortu McHenry". Następnie opublikowały go dwie gazety z Baltimore.

W ciągu tygodnia o utworze zrobiło się bardzo głośno. Przedrukowywały go gazety na całym Wschodnim Wybrzeżu. W listopadzie 1814 r. po raz pierwszy ukazał się pod nazwą „Gwiaździsty Sztandar" – „The Star-Spangled Banner". „Sztandar", będący inspiracją Scotta, został wykonany specjalnie na taką właśnie bitwę. Dowódca Fortu McHenry, mjr George Armistead, spodziewał się, że jego placówka prędzej czy później stanie się celem dla Anglików. Latem 1813 r. zwrócił się więc do głównodowodzącego obroną Baltimore o zakupienie flagi „tak dużej, żeby Brytyjczycy nie mieli wątpliwości, widząc ją z daleka".

Wykonała ją Mary Pickersgill, doświadczona szwaczka, która zajmowała się szyciem bander i proporców dla licznych statków oraz okrętów zawijających do portu. Pickersgill przy pomocy córki, siostrzenic i czarnego kontraktowego niewolnika uszyła dwie flagi. Dużą, o wymiarach 9 na 12 metrów, i małą – 5 na 7,5 metra. Do wywieszenia tej większej potrzeba było 11 ludzi. Gdy namokła deszczem, ważyła ok. 300 kg i mogła złamać maszt. Dlatego zamówiono mniejszą, sztormową, do wywieszania podczas złej pogody. W czasie bombardowania w deszczowej pogodzie wisiała prawdopodobnie mała flaga, a dużą wywieszono rano, już po zakończeniu ataku, co uchroniło ją przed zniszczeniem.

Pasy większej flagi miały szerokość ponad 60 cm, podobną wielkość miało 15 gwiazd. Prace zajęły ok. siedmiu tygodni. Flaga była tak duża, że nie mieściła się w mieszkaniu szwaczki i trzeba było ją przenieść do położonego naprzeciwko browaru Clagetta. Pickersgill spędziła nad nią wiele nocy. Odebrała jednak godziwą zapłatę – 405 dolarów i 90 centów – więcej, niż większość baltimorczyków zarabiała przez cały rok. Po bitwie flaga dostała się w ręce rodziny Armisteada. Wdowa po nim aż do 1861 r. rozdawała jej kawałki, traktowane jak relikwie. Większość flagi jednak ocalała. Zaginęła za to jedna z gwiazd. Według legend miała zostać pochowana z żołnierzem, który zginął przy obronie Fortu, albo podarowana Lincolnowi. Dzisiaj pieczołowicie



Tecumseh w mundurze brytyjskiego generała

FOT. TORONTO PUBLIC LIBRARY

zrekonstruowaną flagę można oglądać w Instytucie Smithsona w Waszyngtonie.

Na ulotkach z wierszem od razu zaznaczono, że powinien on być śpiewany na modłę pieśni „Do Anakreonta w niebie". Muzyka niezbyt pasowała jednak do przyszłego przeznaczenia utworu. Była to angielska pieśń członków Stowarzyszenia Anakreonta – greckiego antycznego poety, lubującego się w zabawie i winie. Utwór zadebiutował w 1776 r. i towarzyszył klubowym spotkaniom, wzywając tytułowego bohatera do stania się inspiracją i patronem stowarzyszenia. Ówczesne wykonanie pieśni różniło się znacznie od dzisiejszego. Miała ona o wiele szybsze tempo i była zwykle śpiewana przez prowadzącego tenora. Pozostali biesiadnicy przyłączali się jedynie podczas refrenu. Melodia była popularna w Stanach Zjednoczonych przed wojną 1812 r. pt. „Adams and Liberty". Key z pewnością ją znał, bo w 1805 r. użył jej jako oprawy muzycznej do swojego wiersza, który sławił wyczyny amerykańskich marynarzy w pierwszej wojnie berberyjskiej. W podobny więc sposób ułożył pod nią „The Star-Spangled Banner". Potem dał swój wiersz do zaaranżowania profesjonalnemu kompozytorowi Thomasowi Carrowi.

Key po zakończeniu wojny kontynuował karierę prawniczą. Był członkiem tzw. kuchennego gabinetu prezydenta Adamsa – nieoficjalnej grupy jego wpływowych doradców. W 1833 r. został prokuratorem federalnym Dystryktu Kolumbia. Dalej pisał wiersze, ale żaden nie osiągnął już takiej popularności jak „Gwiaździsty Sztandar". Zmarł w 1843 r. na zapalenie opłucnej. A jego dzieło zaczęło żyć własnym życiem.

Odbicie Ameryki

Po wojnie wielokrotnie przerabiano pierwotny tekst, nawiązując do kwestii, które aktualnie rozpalały debatę publiczną. Przyszły hymn stał się poniekąd lustrem, w którym odbijały się problemy Ameryki. Służył on abolicjonistom, którzy śpiewali: „O powiedz, czy słyszysz w pierwszym świetle świtu krzyki niewolników, widzisz lejącą się ich krew", albo zwolennikom prohibicji – „O, któż nie widział w pierwszym świetle świtu toczących się do domów nieszczęsnych, spuchłych pijaków".

Pieśń, mimo znacznej popularności, długo ustępowała innym utworom, np. „Yankee Doodle" i „Hail Columbia". Symbolem patriotyzmu stała się w czasie wojny secesyjnej. Podzielone amerykańskie społeczeństwo i politycy z Północy na gwałt szukali symboli podkreślających jedność Amerykanów. Gwiaździsty sztandar wciąż używany przez Unię doskonale się do tego nadawał. Jej zwolennicy zaczęli wtedy traktować opiewającą go pieśń jako narodowy hymn. Konfederaci też tego próbowali. Key był w końcu mieszkańcem Maryland – jednego z kilku stanów, które wystawiały jednostki walczące zarówno po stronie Południa, jak i Północy. Posiadał też niewolników. Konfederatom trudno jednak było powiązać pieśń z flagą. Na początku wojny przyjęli bowiem jej nowy wzór, potem jeszcze kilkukrotnie zmieniany.

W czasach rekonstrukcji po wojnie tradycja odgrywania pieśni podczas podnoszenia i opuszczania flagi rozpowszechniła się również na Południu, gdzie stacjonowała US Army. W latach 90. XIX w. zwyczaj ten został oficjalnie przyjęty podczas uroczystości wojskowych. W 1916 r. na podstawie rozporządzenia prezydenta Wilsona pieśń stała się hymnem narodowym. Jednak Kongres przyjął ustawę potwierdzającą to dopiero w 1931 r.

Hymn grany jest też z wielką pompą podczas zawodów sportowych, i to już od końca XIX w. Tak właśnie było 5 września 1918 r., podczas zawodów baseballa

eprasa.pl 20df05361f

w Chicago. Zmierzyły się wówczas Boston Red Sox i Chicago Cubs. Nastroje kibiców były podłe. Od półtora roku Stany Zjednoczone uczestniczyły w wielkiej wojnie. Zginęło już ponad 100 tys. amerykańskich żołnierzy. Zaledwie dzień wcześniej pod główną pocztą w Chicago wybuchła bomba, zabijając cztery osoby. Podłożyli ją prawdopodobnie anarchiści, przeciwni zaangażowaniu robotników w wojnę. Na stadion przyszła zaledwie jedna trzecia kibiców zwykle obserwujących zawody. Podczas przerwy między połówkami siódmej rundy, tradycyjnie wykorzystywanej na rozprostowanie kości i ostatnie przekąski i drinki, orkiestra US Navy zaczęła grać „Gwiaździsty Sztandar". Jeden z zawodników, urlopowany z marynarki wojennej Fred Thomas, obrócił się w stronę masztu z flagą, stanął na baczność i zasalutował. Pozostali gracze też odwrócili się do flagi, kładąc prawe dłonie na piersiach. Stojący kibice zaczęli powtarzać te gesty i śpiewać. Kiedy orkiestra skończyła grać, tłum wybuchnął aplauzem. „Daleko większym od wszystkiego, co dotychczas widział baseball" – jak z emfazą zauważył ówczesny „Time". Od tego czasu utwór coraz częściej pojawiał się na zawodach sportowych, zwłaszcza podczas drugiej wojny światowej. Wkrótce po jej zakończeniu Elmer Layden, prezydent największej zawodowej ligi futbolu amerykańskiego, zapraszając na rozgrywki prezydenta Trumana, zaproponował, aby odgrywanie hymnu stało się stałym fragmentem każdego meczu. „Nie możemy przestać grać tylko dlatego, że skończyła się wojna. Nie możemy zapomnieć, komu jest to poświęcone".

Gest Kaepernicka

Hymn nie jest łatwy do zaśpiewania, a jego wykonywanie w atmosferze amerykańskiego pikniku, w towarzystwie cheerleaderek i piwa, było krytykowane jako banalizowanie go i odbieranie szacunku poległym pod gwiaździstym sztandarem. Kolejne wojny, które toczyła Ameryka, sprawiły jednak, że odgrywanie hymnu i oddawanie czci poległym stało się trwałym elementem sportowych widowisk, których prawie nikt nie wyobraża sobie dziś bez celebrowania tego rytuału.

Prawie nikt, bo oczywiście takie gloryfikowanie amerykańskiej flagi spotkało się z krytyką „postępowych" środowisk, dla których stało się ono symbolem białej supremacji. Najbardziej znana demonstracja odbyła się podczas ceremonii rozdania nagród na igrzyskach olimpijskich w Meksyku w 1968 r. Dwóch czarnych sprinterów, Tommie Smith i John Carlos, podczas hymnu odwróciło się plecami do masztu z flagą, unosząc dłonie w czarnych rękawiczkach. Amerykańscy kibice na trybunach zaczęli gwizdać i buczeć, co Carlos opisał później jako „mniej wyglądające na hymn narodowy, a bardziej na wezwanie do barbarzyńskiego ataku".

Prezydentura Baracka Obamy spowodowała wzrost społecznych napięć, co nie ominęło stadionów. W sierpniu 2016 r. gracz NFL Colin Kaepernick siedział podczas odgrywania hymnu przed meczem w San Francisco. Jak wyjaśniał, był to jego protest przeciwko „systemowemu rasizmowi" w USA. Później przybrało to formę przyklęku. Lewicowe media zaczęły przedstawiać to jako słuszną formę protestu. Świeżo wybrany na prezydenta Donald Trump w typowy dla siebie sposób potępiał taki brak szacunku dla hymnu i ludzi, których upamiętniano odgrywaniem go, krzycząc do telewizyjnych kamer: „Natychmiast wyrzućcie tych suki.synów z boiska! Jesteście zwolnieni!".

Po ogólnokrajowych zamieszkach, które wybuchły w maju 2020 r. po śmierci George'a Floyda, flaga i hymn znalazły się w centrum nowej wojny amerykańsko-amerykańskiej. Komisarz NFL Roger Goodel potępił rasizm i kajał się za uprzednią politykę ligi, zgodnie z którą zawieszano protestujących zawodników. Od tego czasu takie gesty stały się częścią rozgrywek, a zawodnicy są wręcz nakłaniani do brania w nich udziału.

Przeciętni Amerykanie reagują na to z typową dla nich tolerancją, akceptującą najgłupsze nawet wybryki innych, o ile nie szkodzą ich własnej wolności, a zwłaszcza finansom. W każdej amerykańskiej szkole publicznej dzień wciąż zaczyna się od odegrania „Gwiaździstego Sztandaru". Uczniowie stoją, zwykle kładąc rękę na sercu. Hymn i flaga towarzyszą prawie wszystkim publicznym uroczystościom. Próba zmiany tego stanu rzeczy i dekonstrukcji największych amerykańskich symboli i mitów to proszenie się o kolejną wojnę domową.



Gwiaździsty sztandar, który powiewał nad fortem McHenry

FOT. COMMONS WIKIMEDIA, GEORGE HENRY PREBLE

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

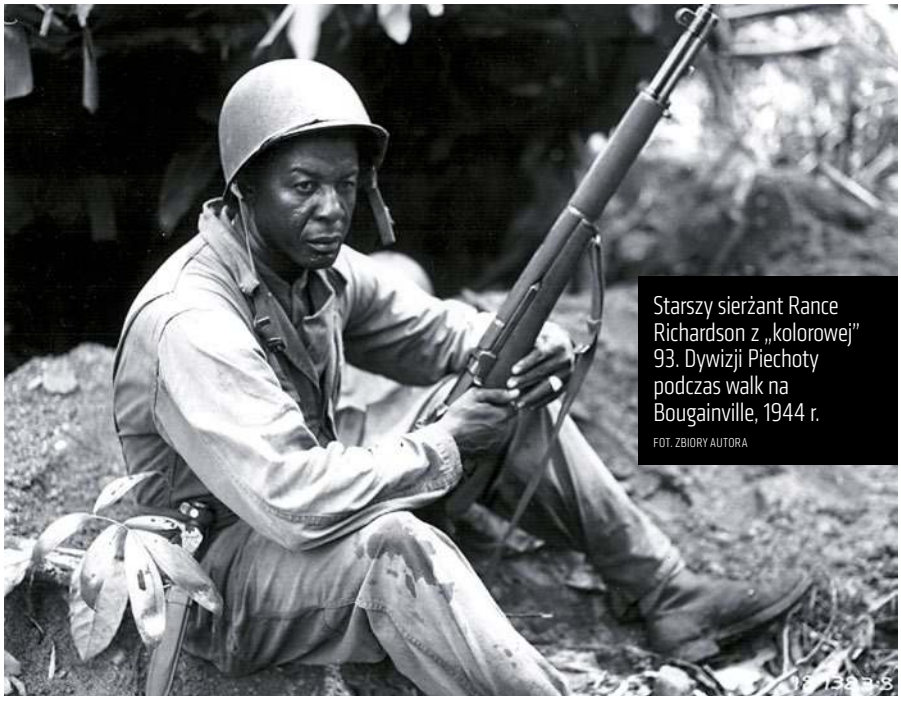
eprasa.pl 20df05361f

Legendarny Garand



Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Młodzież na całym świecie zna tę broń z gier komputerowych w rodzaju „Call of Duty". Dla Amerykanów M1 Garand jest prawdziwą legendą – ucieleśnieniem ich najlepszych tradycji rusznikarskich i symbolem zwycięstwa w drugiej wojnie światowej



Starszy sierżant Rance Richardson z „kolorowej" 93. Dywizji Piechoty podczas walk na Bougainville, 1944 r.
FOT. ZBIORY AUTORA

W pierwszych dekadach XX w. w wielu państwach rozpoczęto prace nad stworzeniem broni, która zastąpiłaby używane dotychczas karabiny powtarzalne (przeładowywane ręcznie). Sprawa wydawała się z pozoru prosta, od lat znane były przecież w pełni efektywne konstrukcje automatyczne – karabiny maszynowe. Okazało się jednak, że zbudowanie lekkiej i ergonomicznej szybkostrzelnej broni indywidualnej jest dużym wyzwaniem.

Problemem były wojskowe oczekiwania. Po pierwsze, parametry balistyczne oraz amunicja miały być takie same jak w regulaminowych karabinach powtarzalnych. Broń powinna zachować stabilność i pracować bez zacięć podczas prowadzenia ognia serią. Istotne było też zachowanie wagi zbliżonej do karabinu powtarzalnego oraz podobnej żywotności broni. Tymczasem silny nabój karabinowy, który doskonale sprawdzał się w karabinach maszynowych, wyposażonych w ciężkie lufy i stabilizowanych podstawami, w lekkiej broni indywidualnej powodował duże problemy w funkcjonowaniu automatyki. Niemal wszystkie pionierskie konstrukcje z końca XIX i początków XX w. odznaczały się bardzo skomplikowaną budową, niepożądaną w warunkach frontowych. Rozwiązaniem mogły być zastosowanie słabszego naboju albo istotne zwiększenie wagi całej broni, ale tego nie zaakceptowaliby wojskowi. Ostatecznie udało się jednak stworzyć broń, która spełniała niemal wszystkie te wymagania i trudny frontowy sprawdzian zdała – nomen omen – celująco. Jej twórcą był John Cantius Garand urodzony w Kanadzie w 1888 r.

Uzdolniony konstruktor

Podobnie jak wielu innych słynnych rusznikarzy nie posiadał kierunkowego technicznego wykształcenia, a ostateczny sukces zawdzięczał talentowi, silnej woli i ambicji. Karierę zawodową rozpoczął w przemyśle włókienniczym, a pierwszym „technikum" młodego samouka był warsztat przędzalniczy w fabryce w amerykańskim Connecticut. Jak się okazało, zdobył tam na tyle solidną podstawę, że w latach służby wojskowej w artylerii w okresie pierwszej wojny światowej pełnił funkcję zbrojmistrza, mając okazję zapoznania się z bronią strzelecką i warsztatem rusznikarskim. Na wielką wojnę nie zdążył, ale jego techniczny potencjał został dostrzeżony. Po demobilizacji Garand znalazł zatrudnienie w rządowych zakładach zbrojeniowych Springfield Armory. Po 1918 r. prace nad karabinami samopowtarzalnymi ruszyły z kopyta, a Garand – mający już za sobą pierwsze doświadczenia

eprasa.pl 20df05361f



Amerykański żołnierz w gąszczu normandzkich żywopłotów FOT. ZBIORY AUTORA

z bronią automatyczną – wziął w nich udział. Pierwszą propozycją był karabin samopowtarzalny wykorzystujący zasadę odprowadzania gazów prochowych poprzez dno łuski. Gazy działały na spłonkę, która uruchamiała mechanizm karabinu. Broń wzbudziła zainteresowanie wojskowych i zaowocowała powstaniem niewielkiej partii próbnej (1922).

Oczywiście Garand nie był jedynym konstruktorem pracującym w pocie czoła nad stworzeniem karabinu samopowtarzalnego. Najpoważniejszym konkurentem był John D. Pedersen, zdolny rusznikarz i dawny współpracownik zakładów Remington Arms Company of Bridgeport (Connecticut), który wyrobił sobie markę, przerabiając w 1918 r. standardowy karabin powtarzalny M1903 na broń samopowtarzalną (tzw. urządzenie Pedersena). Obaj konstruktorzy w ciągu kilku lat zaprezentowali wojskowej komisji wiele obiecujących modeli dostosowanych do różnych rodzajów amunicji, ale ostatecznie wygrał Garand. Jego karabin był mniej skomplikowany, a przede wszystkim dobrze „pracował" ze standardową amerykańską amunicją wojskową kaliber .30-06 Springfield (7,62 x 63 mm).

Próby poligonowe wypadły wprost rewelacyjnie, a żołnierze testujący nową broń szybko się z nią oswoili. 9 stycznia 1936 r. Armia Stanów Zjednoczonych oficjalnie przyjęła do uzbrojenia karabin M1. Pierwsze seryjne egzemplarze – 120 karabinów – powstały w sierpniu 1937 r. Produkcja rozkręcała się bardzo wolno i dopiero w grudniu 1941 r. osiągnęła zadowalające rezultaty, blisko 30 tys. egzemplarzy miesięcznie. I to tylko w Springfield, ponieważ na początku 1941 r. realizację rządowego kontraktu rozpoczęła prywatna wytwórnia z New Haven – Winchester Repeting Arms Company. Do końca drugiej wojny światowej oba zakłady wyprodukowały łącznie przeszło 4 mln sztuk.

Rywal M1

Zdumiewające jest to, że w trakcie produkcji seryjnej, kiedy wydawało się, że nic nie jest już w stanie zagrozić projektowi Garanda, nad M1 zaczęły się zbierać ciemne chmury. Stało się to za sprawą niezwykle wpływowego cywilnego stowarzyszenia zrzeszającego ekspertów i miłośników broni strzeleckiej – National Rifle Association – któremu nowa broń bardzo się nie spodobała. Jakby tego było mało, na horyzoncie pojawiła się kolejna obiecująca konstrukcja, która zyskała wielu zagorzałych zwolenników, zwłaszcza wśród oficerów Korpusu Piechoty Morskiej: 10-strzałowy samopowtarzalny karabin skonstruowany przez Melvina M. Johnsona. Miał on kilka interesujących rozwiązań konstrukcyjnych i bez wątpienia lepszy system zasilania niż M1. Wszystko to sprawiło, że pod koniec lat 30. karabin Garanda poddany został wielu testom i próbom porównawczym, a sprawa jego przyjęcia do uzbrojenia otarła się nawet o Kongres USA. Ostatecznie fakt, że produkcja seryjna trwała w najlepsze, okazał się decydujący i wszelkie przeszkody zostały pokonane. Za symboliczny sukces M1 można uznać 1941 r., kiedy to piechota morska zdecydowała się przyjąć go do uzbrojenia. To brzemienne w skutki opóźnienie oznaczało, że w początkowej fazie walk na Guadalcanal marines uzbrojeni byli w poczciwe powtarzalne springfieldy M1903. I choć byli do nich bardzo przywiązani, głównie ze względu na legendarną precyzję i płynność pracy zamka, to nowe karabiny w niczym nie ustępowały springfieldom; były łatwe w obsłudze, a ich celność okazała się wystarczająca, biorąc pod uwagę stosunkowo niewielki dystans, na którym zazwyczaj walczono.



Karabin M1 był bronią samopowtarzalną, ze stałym magazynkiem i z zamkiem ryglowanym, działającą na zasadzie odprowadzania gazów prochowych przez boczny otwór w lufie. Gazy parły na tłok umieszczony wewnątrz rury znajdującej się pod lufą; tłok stanowił integralną część suwadła sprzęgniętego z zamkiem. Jego zaryglowanie odbywało się poprzez obrót dwóch symetrycznych rygli, z których jeden współpracował z odpowiednim wycięciem w suwadle (ruch suwadła powodował obrót zamka). Wewnątrz tłoka znajdowała się sprężyna powrotna, która poprzez profilowaną żerdź działała jednocześnie na podajnik magazynka. Broń zasilano z symetrycznych ośmionabojowych blaszanych ładowników (można je było włożyć do magazynka dowolną stroną), które po ostatnim strzale wypadały automatycznie; zamek zatrzymywał się wówczas w tylnym położeniu i był zwalniany po włożeniu nowego ładownika. Przyrządy celownicze składały się z muszki i nastawnego celownika przeziernikowego. Do M1 stosowano bagnet sieczny.

Chrzest bojowy karabinu miał miejsce na Filipinach i chociaż działania zakończyły się sromotną porażką Amerykanów, to M1 dowiódł swoich niezaprzeczalnych walorów. Entuzjastyczną laurkę wystawił nowej broni słynny gen. Douglas MacArthur, który w depeszy do szefa sztabu gen. George'a C. Marshalla stwierdził: „Karabiny Garanda górują walorami bojowymi nad springfieldami [karabinami M1903 – przyp. red.], nie odnotowano żadnych zacięć spowodowanych kurzem i brudem z okopów. Wymagają dobrej jakości smaru karabinowego zapobiegającego zapiekaniu się części, ale używane były dniem i nocą przez cały tydzień bez czyszczenia i oliwienia. Ta broń jest wspaniała […]".

Pomimo drobnych wad (krytykowano m.in. system zasilania karabinu, który utrudniał doładowanie magazynka pojedynczymi nabojami) karabiny M1 cieszyły się wielkim uznaniem, dając Amerykanom wyraźną przewagę nad Niemcami i Japończykami uzbrojonymi w karabiny powtarzalne. Były szybkostrzelne i działały niezawodnie. Generał George S. Patton, ekscentryczny dowódca amerykańskiej 3. Armii z czasów drugiej wojny światowej, miał ponoć określić broń Garanda „najbardziej śmiercionośnym karabinem na świecie". To najlepiej świadczy o wyjątkowej renomie, którą U.S. Rifle, cal .30, M1 zyskał wśród frontowych żołnierzy w latach drugiej wojny światowej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 20df05361f



Samuraj z kataną FOT. COMMONS WIKIMEDIA, WELLCOME COLLECTION GALLERY

Japońska szabla / Symbol wykuty przez popkulturę

Wielka kariera katany



Tymoteusz Pawłowski

Jej popularność była – i jest – związana nie tyle z japońską tradycją, ile z amerykańską popkulturą

Claude Lévi-Strauss sformułował pojęcie relatywizmu kulturowego: żadna kultura nie dysponuje kryterium absolutnym, które uprawniałoby ją do przyznawania „wyższości" lub „niższości" wytworom innej. Natomiast każda kultura musi to robić sama wobec siebie, ponieważ jej członkowie są zarazem obserwatorami i podmiotami działań. Zarówno Europejczycy, jak i Japończycy uważają, że są lepsi niż inni.

Według japońskiego kalendarza Kōki mija właśnie 2684 r. cesarstwa, a 11 lutego przypada „narodowe święto założenia", z czego wynika, że oficjalnie Japonia została założona 11 lutego 660 r. p.n.e. Możemy uznać taką narrację tylko wówczas, jeśli uwierzymy, że pierwszy japoński cesarz Jimmu był bezpośrednim potomkiem bogini Amaterasu, a Popiela zjadły myszy.

Mieszko i Kinmei

Wyspy Japońskie zostały zajęte przez przybyszów z Azji, wywodzących się z kręgu kultury chińskiej. Zbliżone do chińskiej są religia japońska, japońskie pismo, a i historię starożytnej Japonii znamy niemal wyłącznie z chińskich kronik. Przybysze stopniowo opanowywali kolejne wyspy, a w VI w. władzę nad nimi sprawował Kinmei, odpowiednik późniejszego o 400 lat Mieszka I. Obaj byli pierwszymi władcami, co do których istnienia nie ma wątpliwości; obaj zadecydowali o kształcie religijnym swojego państwa – Kinmei przedłożył buddyzm ponad starą wiarę wywodzącą się z Chin.

W 1543 r. do wysp dotarli pierwsi Europejczycy, ale kilkadziesiąt lat później Japonia dobrowolnie wybrała samoizolację, która trwała do połowy XIX w. Zmuszona siłą do nawiązania stosunków dyplomatycznych i handlowych zdołała zbudować silny przemysł na wzór zachodni, dzięki czemu nie tylko zdołała obronić swoją niezależność, lecz także rozpocząć ekspansję terytorialną. Szczęście skończyło się w 1941 r., gdy władze w Tokio zdecydowały się zaatakować Stany Zjednoczone. Po czterech latach Japonia doznała sromotnej klęski i od tamtej pory jest pokojowym członkiem społeczności międzynarodowej przodującym w wielu dziedzinach przemysłu.

Japończycy nie tylko eksportują doskonałą elektronikę, samochody i zegarki, lecz także kulturę. Manga i anime są równie popularne, co sushi i zupki instant, niewiele ustępują im japońskie sztuki walki oraz ich atrybuty: shurikeny, nunczaka oraz samurajskie miecze. To właśnie japoński miecz – katana – uchodzi za najlepszą białą broń wszech czasów, a o jego możliwościach krążą prawdziwe legendy.

Na ostro!

Katana jest bronią, której samurajowie używają w japońskich filmach. Wbrew pozorom jest to całkiem dobra definicja przedmiotu, o którym jest ten tekst. W innym przypadku potrzeba bardzo

eprasa.pl 20df05361f

wielu zastrzeżeń oraz bronioznawczych i lingwistycznych wyjaśnień. Zaczynając od tego, że w Japonii chiński znak oznaczający katanę, oznacza także niemal każdą białą broń boczną, niezależnie od kształtu czy kraju pochodzenia (co nie do końca zgodne jest z chińską etymologią tego słowa).

Katana nazywana jest powszechnie japońskim mieczem, ale miecz w rozumieniu Europejczyka to – z reguły – biała broń obosieczna, służąca przede wszystkim do pchnięć i sztychów, o prostej głowni. Tymczasem katana ma – z reguły – jednosieczną, lekko zakrzywioną głownię, służącą przede wszystkim do cięcia. Z tego powodu powinna być zaliczana do szabel, chociaż specyficznych, bo używanych oburącz.

Faktyczne zastosowanie bojowe katany ma niewiele wspólnego ani z choreografią scen walk w filmach o samurajach, ani ze szlachetną japońską sztuką szermierki – czy to kenjutsu, czy też kendo. Samuraj sięgał po katanę wówczas, gdy nie mógł użyć swojej podstawowej broni, czyli łuku lub muszkietu, a nie miał na podorędziu włóczni – czy to w formie prostszej yari, czy bardziej zaawansowanej naginaty. Katany były więc używane albo w ostateczności, albo w zamkniętych pomieszczeniach zamków i okrętów.

Katany w obecnym kształcie pojawiły się w Japonii ok. XVI w., ale w latach 1603–1868 trwała epoka Edo, podczas której nie tylko ograniczono kontakty z zagranicą, lecz także zakończono permanentne wojny domowe. Katany służyły wówczas przede wszystkim jako elementy stroju, świadczące o statusie samuraja. Później Japonia otworzyła się na Zachód, w 1876 r. noszenie mieczy zostało zakazane i jedynie wojskowi mieli przy boku – jak w armiach Zachodu – masowo produkowane szable wojskowe zwane guntō. Choć wizualnie przypominają one katany, to nie są za nie uznawane. Przynajmniej w Japonii.

Relatywizm i popkultura

Paradoksalnie to właśnie masowo produkowane, tanie, niskiej jakości guntō przyniosły katanie popularność. Amerykańscy żołnierze powszechnie bali się walki wręcz: Japończycy mieli przecież ostre miecze, z których US Army zrezygnowała w XIX w. Strach był na tyle powszechny, że nie tylko o nim opowiadano, lecz także pisano powieści! Nic dziwnego, że japońska szabla wojskowa – czy też miecz, dla większości ludzi to bez różnicy – stał się najbardziej pożądaną pamiątką z wojny, dowodem na okazane bohaterstwo.

Kto nie zdobył japońskiej szabli na polu walki, mógł ją później kupić: w okupowanej Japonii uznano, że to doskonały sposób na zarabianie na amerykańskich okupantach. Kolejnym impulsem dla popularności katany były filmy o samurajach, które robiły karierę w USA. Zauważano podobieństwa japońskich filmów do westernów oraz podobieństwo szlachetnych samurajów do równie szlachetnych szeryfów: nawet pojedynki były podobne – wygrywał ten, który szybciej sięgnął po broń, niezależnie od tego, czy była to katana czy rewolwer.

Popularność katany była – i jest – związana nie tyle z japońską tradycją, ile z amerykańską popkulturą. Miecze świetlne z „Gwiezdnych wojen" nie są wzorowane na broni europejskich rycerzy, lecz na katanach (co ciekawe, choć walczy się nimi jak dwuręcznymi mieczami i w języku polskim noszą nazwę mieczy, to po amerykańsku nazwano je „light sabre" – „świetlne szable"). Podobnie zresztą jak miecze amerykańskich komiksowych superbohaterów, którzy ostatnio trafili do kin, chociażby Deadpoola.

Popkulturowe katany zdają się być bronią idealną, którą otacza niemal mistyczna tajemnica. Wykuwali ją wspaniali rzemieślnicy, a praca nad jednym ostrzem wymagała lat kucia żelaza i stali. Katana jest tak ostra, że można się nią golić, i tak wytrzymała, że przecina klingi mieczy. Te opowieści można włożyć między bajki, każdy kawałek stali – nawet siekierę – da się zaostrzyć tak, żeby golił, a głownia katany jest równie wytrzymała, co innych szabel i mieczy. Albo nawet mniej…

Japońscy płatnerze mieli bowiem dość ograniczony dostęp do rudy żelaza i uzyskanie dobrej jakościowo stali wymagało od rzemieślnika umiejętności i szczęścia. W Europie były inne warunki: jeśli nie udało się kupić dobrej stali w Górach Świętokrzyskich, to zawsze można było importować ją z Toledo, Solingen czy Sheffield. W Europie dość wcześnie opanowano masową produkcję żelaza i stali, co pozwalało wytwarzać broń o powtarzalnych cechach: produkować ją w fabrykach, a nie wykonywać w warsztatach rzemieślniczych.

Co jest więc lepsze: katana, miecz, a może szabla? Odpowiedź brzmi: rapier, czyli wyspecjalizowana broń kolna z XVI w. Szermierze uzbrojeni w rapiery byli najskuteczniejsi, o czym przekonało się wielu polskich szlachciców, którzy wyzywali na pojedynek Francuzów przybyłych do Polski wraz z Henrykiem Walezym. Rapier miał jednak względnie krótką karierę, ponieważ szybko zastąpił go pistolet. Szabla pozostała w użyciu nieco dłużej jako uzbrojenie kawalerii, ponieważ z końskiego grzbietu trudno walczyć zarówno rapierem, jak i pistoletem. A czy lepsza byłaby katana czy szabla? To albo zależy od umiejętności szermierza albo – zgodnie ze słowami Lévi-Straussa – od narodowości odpowiadającego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone





Miecze guntō (u góry) i katana

FOT. COMMONS WIKIMEDIA/GARY TODD/XINZHENG CHINA I AUCKLAND MUSEUM

eprasa.pl 20df05361f



XX w. / Ekstremiści przeciw procesowi pokojowemu

Masakra w Hebronie

Wnętrze sanktuarium Abrahama w Hebronie, część muzułmańska FOT. COMMONS WIKIMEDIA



Piotr Zychowicz

Żydowski terrorysta Baruch Goldstein zmasakrował wiernych w meczecie. Chciał w ten sposób zatrzymać proces pokojowy

Fadżr to pierwsza, poranna modlitwa, którą zmawiają muzułmanie. Tego dnia do świętego sanktuarium Abrahama w Hebronie na Zachodnim Brzegu Jordanu przybyło kilkuset wiernych. Była piąta nad ranem. Ramadan.

Porządku przed świątynią jak zwykle pilnowało kilku zaspanych izraelskich żołnierzy. W pewnej chwili jeden z nich – w mundurze oficera, z długą brodą i jarmułką na głowie – wszedł do środka. Miał przy sobie karabin automatyczny Galil. Do tego cztery magazynki ze 140 nabojami.

Wierni zwróceni w stronę Mekki nie widzieli Izraelczyka, który stanął za ich plecami. Poczekał, aż pochylą głowy i dotkną czołami posadzki. Wtedy odbezpieczył broń i ściągnął język spustowy. Sceny, które następnie rozpętały się w świątyni, ocalali z masakry określili później krótko – pandemonium.

Mężczyzna z bliskiej odległości strzelał w kłębiący się przed nimi tłum. Ludzie krzyczeli, tratowali się nawzajem i padali na ziemię. Ze świątyni było jednak tylko jedno wyjście, które zastawiał terrorysta. Huk wystrzałów był ogłuszający, podobno napastnik rzucił w ludzi kilka granatów.

Wreszcie ktoś chwycił gaśnicę i cisnął nią w terrorystę. Trafiony w głowę przewrócił się na posadzkę. Tłum ze skowytem dopadł go i rozerwał na strzępy.

Lekarz z Brooklynu

Nazywał się Baruch Goldstein. Miał 38 lat i był żydowskim lekarzem z Brooklynu. Należał do ekstremistycznej organizacji zrzeszającej osadników z terytoriów okupowanych. Nie był żołnierzem – przebrał się w mundur, aby dostać się do świątyni. Zamachu dokonał 25 lutego 1994 r.

Bilans masakry był przerażający. Zginęło 29 osób, a 125 zostało rannych, w tym wiele dzieci i nastolatków. Większość zamordował terrorysta, ale część została zaduszona przez tłum. Inni zginęli z ręki stojących przed meczetem izraelskich podoficerów. Gdy rozległy się wystrzały i ze świątyni wybiegł tłum

WWW.DOROZECZY.PL
eprasa.pl 20df05361f

przerażonych Arabów, młodzi żołnierze wpadli w panikę. Nie wiedzieli, co się dzieje, więc… otworzyli ogień do cywilów.

Nie przypadkiem do tragicznego wydarzenia doszło akurat w Hebronie. To najbardziej zapalny punkt na terytoriach okupowanych. To tu napięcie jest największe. Mieszkająca w palestyńskim mieście garstka fanatycznych żydowskich osadników uważa się bowiem za strażników świętych grobowców Abrahama, Jakuba, Izaaka i ich żon. Szkopuł w tym, że są to miejsca święte również dla muzułmanów.

Po masakrze dokonanej przez Goldsteina władze izraelskie rozwiązały problem, dzieląc wznoszącą się nad grobowcami świątynię na dwie części. Z jednej strony muzułmanie biją pokłony na kolorowych dywanach, z drugiej brodaci Żydzi kiwają się nad zwojami. Wierni mogą się nawzajem obserwować przez grube, kuloodporne okienka.

Kiedy wiele lat temu odwiedziłem Hebron, w jednym z żydowskich domów zobaczyłem na ścianie oprawione w ramkę zdjęcie Goldsteina. Patrzył z niego – na pozór – sympatyczny ortodoksyjny Żyd w wyciągniętym swetrze. Miał pejsy, długą brodę, a do piersi przyczepioną gwiazdę Dawida z napisem „Jude". To był jego znak rozpoznawczy. Uważał bowiem Izrael za nowe wcielenie III Rzeszy. Miał za złe państwu żydowskiemu złe traktowanie osadników.

Goldstein przyjechał do Izraela w 1983 r. Dostał obywatelstwo, odbył służbę wojskową. Jeszcze w Stanach Zjednoczonych należał do Żydowskiej Ligi Obrony (JDL), rasistowskiej paramilitarnej organizacji uznanej przez FBI za „prawicową grupę ekstremistyczną". Nawet żydowska Liga przeciw Zniesławieniom nazwała JDL „grupą złożoną z łobuzów i chuliganów".

W izraelskim wojsku Goldstein służył jako lekarz. Potem zamieszkał w położonym obok Hebronu osiedlu żydowskim Kirjat Arba. Tam opatrywał ofiary palestyńskich ataków terrorystycznych. Odmawiał jednak pomocy rannym druzom i beduinom służącym w izraelskich siłach zbrojnych. Uważał bowiem, że pomaganie gojom jest sprzeczne z żydowskim prawem religijnym.

Zabrane z Hebronu szczątki Goldsteina zostały złożone właśnie w Kirjat



Baruch Goldstein FOT. AFP

Arba. Na jego grobie napisano, że „oddał życie za lud Izraela, jego Torę i jego ziemię". Podczas pogrzebu radykalni rabini wygłosili zaś wychwalające Goldsteina przemówienia. Rabin Jaakow Perrin ogłosił, że „milion Arabów nie jest wart jednego żydowskiego paznokcia".

Z kolei Rabin Samuel Hakohen stwierdził, że Goldstein był „największym spośród żyjących Żydów", a rabin Dow Lior – że był „świętszy niż męczennicy Holokaustu".

Rabin na celowniku

Gdy żydowscy osadnicy tańczyli wokół nagrobka, aby okazać radość z masakry, miasta Autonomii Palestyńskiej płonęły. Setki tysięcy wściekłych Palestyńczyków wyległy na ulice. Doszło do zamieszek i krwawych, zaciętych walk ulicznych. Zginęło w nich 25 Arabów i pięciu Izraelczyków. Aby opanować sytuację, armia musiała na części terytoriów okupowanych wprowadzić stan wyjątkowy.

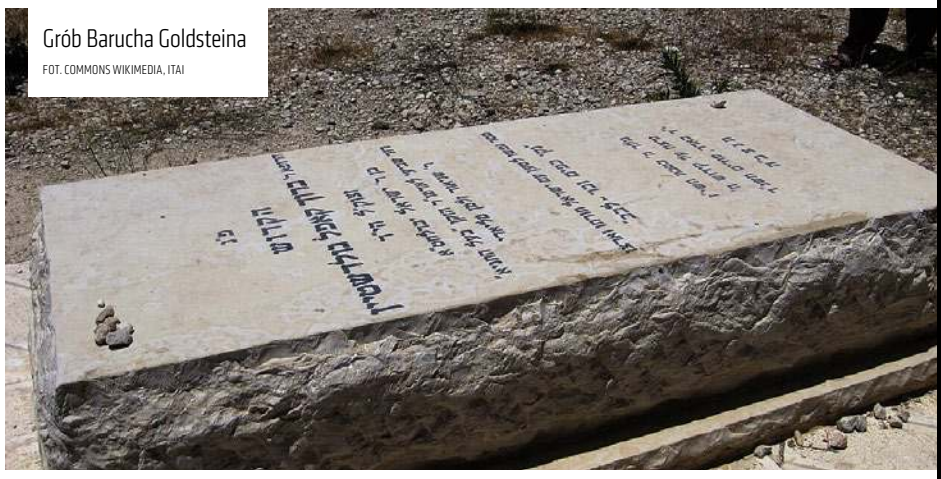
Zamach dokonany przez Goldsteina został stanowczo potępiony przez izraelski rząd i czołowych rabinów. Premier Icchak Rabin nazwał terrorystę „zdegenerowanym mordercą" oraz „hańbą dla ruchu syjonistycznego i judaizmu". Rabin zadzwonił do Jasira Arafata i wyraził głęboki żal z powodu tragedii. Podobne stanowisko zajęła większość zszokowanego zamachem w Hebronie izraelskiego społeczeństwa.

Warto przy tym dodać, że już wkrótce – 4 listopada 1995 r. – sam premier Rabin padł ofiarą zamachowca ekstremisty. Po pokojowym wiecu na centralnym placu Tel Awiwu do szefa rządu podszedł radykalny student Jigal Amir. Wyciągnął pistolet Beretta i dwukrotnie nacisnął spust. Kule trafiły Rabina w korpus. Nie miał najmniejszych szans.

„Czułem się, jakbym strzelał do terrorysty" – powiedział później Amir. Podobnie jak Goldstein swoim zamachem zamierzał zatrzymać proces pokojowy. Nie chciał się zgodzić na oddanie Palestyńczykom ziemi, którą – jak wierzą żydowscy fanatycy – narodowi wybranemu podarował Bóg. Amir, tak samo jak Goldstein, dla środowisk izraelskich szowinistów i osadników stał się bohaterem narodowym.

Na grób Goldsteina w osiedlu Kirjat Arba do dzisiaj ściągają pielgrzymki żydowskich ekstremistów. Wybudowali oni nawet w pobliżu poświęconą zamachowcowi świątynię dziękczynną. W 1999 r. została ona jednak zburzona za pomocą buldożerów przez izraelskie władze. W państwie żydowskim obowiązuje bowiem zakaz stawiania pomników terrorystom.

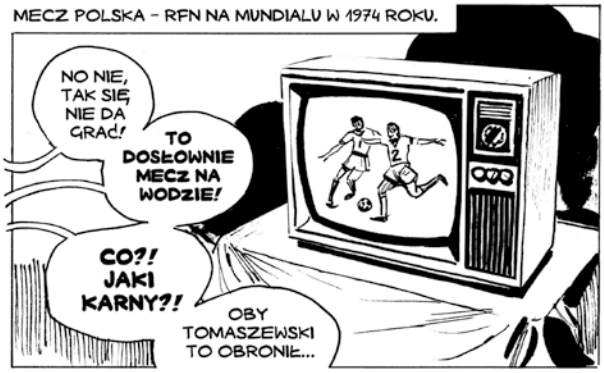
© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Grób Barucha Goldsteina
FOT. COMMONS WIKIMEDIA, ITAI

eprasa.pl 20df05361f

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński



OSTATECZNIE REPREZENTACJA POLSKI PRZEGRAŁA Z RFN, ALE W MECZU O TRZECIE MIEJSCE POKONAŁA BRAZYLIĘ PO GOLU, KTÓREGO STRZELIŁ GRZEGORZ LATO. KAPITANEM DRUŻYNY BYŁ KAZIMIERZ DEYNA, ZAWODNIK KLUBU LEGIA WARSZAWA, DO KTÓREGO TRAFIŁ W RAMACH SŁUŻBY WOJSKOWEJ W 1966 R.







WOJSKOWA SŁUŻBA WEWNĘTRZNA PROWADZIŁA ROZPOZNANIE DEYNY I JEGO KONTAKTÓW, NADANO SPRAWIE KRYPTONIM ,,MUNDZIO''.



CAŁA TA SPRAWA MIAŁA WPŁYW NA STARANIA DEYNY O ZGODĘ NA TRANSFER Z LEGII DO ZACHODNIEGO KLUBU. PO ZNAKOMITEJ GRZE NA MUNDIALU 1974 MIAŁ WIELE OFERT, JEDNAK BYŁY ONE BLOKOWANE ZE WZGLĘDU NA TO, ŻE PIŁKARZ BYŁ OFICEREM LWP. DOPIERO W 1978 ROKU MINISTER OBRONY NARODOWEJ, KTÓRYM BYŁ WÓWCZAS WOJCIECH JARUZELSKI, WYRAZIŁ ZGODĘ. W LISTOPADZIE 1978 ROKU DEYNA PODPISAŁ UMOWĘ Z MANCHESTEREM CITY.



NA POCZĄTKU LAT 80. DEYNA WYSTĄPIŁ W FILMIE ,,UCIECZKA DO ZWYCIĘSTWA'' OPOWIADAJĄCYM O GRUPIE JEŃCÓW WOJENNYCH ROZGRYWAJĄCYCH W CZASIE II WOJNY ŚWIATOWEJ MECZ Z NIEMCAMI. W FILMIE GŁÓWNE ROLE ZAGRALI SYLWESTER STALLONE, MICHAEL CAINE I MAX VON SYDOW, A W MIĘDZYNARODOWEJ DRUŻYNIE JEŃCÓW POJAWILI SIĘ MIĘDZY INNYMI: PELE, BOBBY MOORE, PAUL VAN HIMST ORAZ KAZIMIERZ DEYNA – JAKO JEDYNY PIŁKARZ Z EUROPY WSCHODNIEJ. W DNIU PREMIERY W 1981 ROKU BYŁ TO BARDZO SYMBOLICZNY WYSTĘP.



eprasa.pl 20df05361f

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

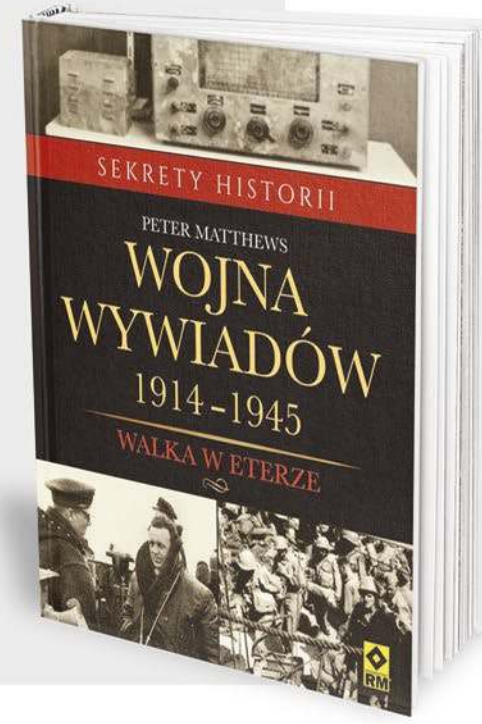
ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA PETER MATTHEWS: „WOJNA WYWIADÓW 1914-1945”

Wojna wywiadów 1914-1945. Walka w eterze

Podczas pierwszej wojny światowej szybko rozwijająca się łączność radiowa objęła swym zasięgiem całą kulę ziemską. Równocześnie pojawiła się nowa dziedzina wywiadu wojskowego, zajmująca się szyfrowaniem, odszyfrowywaniem oraz analizowaniem tysięcy radiowych telegramów i meldunków. Radiooperatorzy i kryptolodzy ze sławnego ośrodka wywiadowczego brytyjskiej Admiralicji, znanego jako Room 40, położyli podwaliny pod osiągnięcia kryptoanalityków z Bletchley Park z lat drugiej wojny światowej. Podczas tej wojny zmagania wywiadów sygnałowych, znanych też pod angielską nazwą Sigint (od signals intelligence), wiązały się z wykorzystaniem różnych maszyn szyfrujących, a agenci i kryptolodzy z Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec, Związku Radzieckiego, Stanów Zjednoczonych i Japonii starali się wzajemnie przechytrzyć, stosując coraz bardziej złożone kody. Swój udział w złamaniu kodu słynnej niemieckiej Enigmy mieli też Polacy.

Ta książka odkrywa tajemnice historii wywiadu sygnałowego podczas obu wojen światowych. Dopuszcza do głosu bezpośrednich uczestników zdarzeń: niemieckich kryptologów pracujących po wojnie dla aliantów, brytyjskich specjalistów od łamania szyfrów, a także amerykańskich i rosyjskich kryptoanalityków.



152 zł

oszczędność 33 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NUMER
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO S.A.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 20df05361f



eprasa.pl 20JF053611